



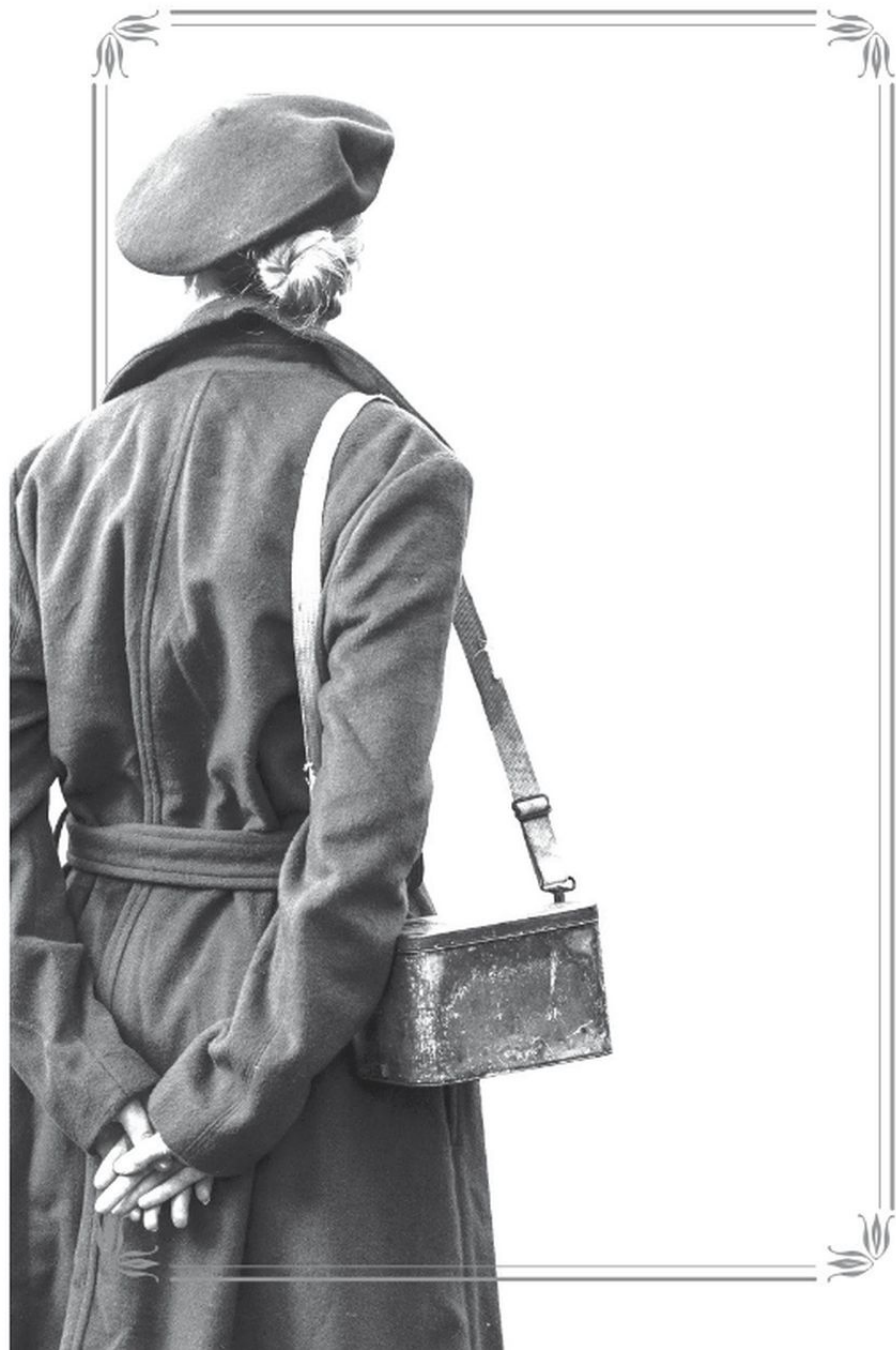
ANETA  
KRASIŃSKA

NAUCZYCIELKA

Z

GETTA

WCIĄŻ  
POD WIATR



ANETA  
KRASIŃSKA

NAUCZYCIELKA  
Z  
GETTA

WCIĄŻ  
POD WIATR



Redakcja: Justyna Techmańska  
Korekta: Renata Kuk  
Konsultacja historyczna: dr Adam Sitarek

Copyright © Aneta Krasieńska 2022

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart  
Fotografie wykorzystane na okładce: © leolintang/Shutterstock.com, © Stephen Mulcahey / Trevillion Images  
Zdjęcie łódzkiego getta umieszczone na skrzydełku pochodzi ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łodzi.

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-182-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)  
<tel:691962519>

Wydanie pierwsze w wersji e-book  
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

# SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

ROZDZIAŁ I W PYLE WSPOMNIĘĆ

ROZDZIAŁ II WCIAŻ NOWE WYZWANIA

ROZDZIAŁ III MALEŃKIE SUKCESY

ROZDZIAŁ IV MAŁO NAS, CORAZ MNIEJ

ROZDZIAŁ V ŚWIATEŁKO W MROKU

ROZDZIAŁ VI POSZUKUJĄC UKOJENIA

ROZDZIAŁ VII SŁUSZNA DECYZJA

ROZDZIAŁ VIII TOŻSAMOŚĆ

ROZDZIAŁ IX DYLEMATY I DECYZJE

ROZDZIAŁ X GDZIE LILAK?

ROZDZIAŁ XI PRZYJAŹŃ

ROZDZIAŁ XII POŻEGNANIE

Drodzy Czytelnicy,

Powieść ukazuje bohaterów fikcyjnych. Jedyną postacią historyczną jest Mordechaj Chaim Rumkowski – przywódca łódzkiego getta.  
Wydarzenia fikcyjne rozgrywają się na tle historycznym.

Niezlomnym, którzy walczyli i wciąż walczą  
o swoją wolność w imię wyższych wartości.

# ROZDZIAŁ I

## W PYLE WSPOMNIENI

Październik tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku nie należał do tych, które ktokolwiek z mieszkańców łódzkiego getta chciałby zapamiętać. Szare, nabrzmiałe deszczem chmury leniwie płynęły po niebie. Słońce, głęboko ukryte za stalową kurtyną, od kilku dni nie zdołało się przez nią przebić. Powietrze, przepełnione wilgocią i zgnilizną, szczelnie otuliło getto wciąż oplakujące utratę dzieci i starców. Wielka Szpera okaleczyła wiele serc i zasiała strach wśród pozostałych przy życiu. Nikt już nie mógł czuć się bezpieczny.

Laura zwlekła się z łóżka i włożyła znoszoną sukienkę oraz równie stary sweter. Dzisiaj czekała ich przeprowadzka. To mieszkanie kojarzyło jej się z bólem. W nim straciła dziecko, a później kolejno męża oraz teściową. Została sama z dwunastoletnimi chłopcami. W tej chwili tylko oni się liczyli i dlatego zdecydowała się na przeprowadzkę. Od kilku tygodni w pokoju Jordanów mieszkała nowa rodzina. Przenieśli się z jednego z przeludnionych kolektywów, które po przyjeździe z Austrii służyły im za mieszkanie. Bardzo szybko okazało się, jak wielkie szczęście spotkało Lewiatanów, że mogli przez dwa lata żyć pod jednym dachem z Jordanami – ludźmi spokojnymi i wrażliwymi. Nowi współlokatorzy okazali się zupełnym przeciwieństwem poprzednich. Każdy powód wykorzystywali do kłótni prowadzonej łamaną polszczyzną, a przy tym nie rozumieli, czym jest cudza własność. Jedzenie, które wcześniej Laura trzymała w kredensie w kuchni, teraz musiała chować w pokoju. Jeśli nieopatrnie pozostawiała choćby odrobinę czegoś, co nawet w niewielkim stopniu przypominało pożywienie, było bardziej niż pewne, że szybko zniknie z pola widzenia.

Jeszcze gorsze były głośnie zawodzenia, którymi nowi osiedleńcy chcieli wyprosić wolność i pomoc u wszechwładnego Boga. Początkowo Laura starała się nie zwracać uwagi na śpiewne modły kilkuosobowej rodziny, ale długo nie wytrzymała w swoim postanowieniu. Efektem była decyzja o wyprowadzce.

– Cieszysz się, że to nasz ostatni dzień w tym grajdole? – odezwał się Elias, który od dłuższej chwili przyglądał się jej krzątaniu.

– Wolalabym w ogóle nie mieszkać w getcie, ale jeśli to niemożliwe, to zrobię wszystko, by uwolnić się od tych ludzi.

– Myślisz, że u Szulca będzie nam lepiej? – do rozmowy włączył się Józef, który zdążył się obudzić.

– Szymon to dobry, choć bardzo samotny człowiek. Odkąd został sam, cierpi. Wiem, że potrzebuje towarzystwa, nawet takich nicponiów jak wy – zażartowała Laura i wskazała chudym palcem na chłopców.

Józef znowu podrosł i niemal o głowę przewyższał brata. Elias cierpiał z tego powodu, lecz nie mógł nic poradzić na to, że odziedziczył urodę i geny po matce, a nie po ojcu, jak jego brat bliźniak. Łączyła ich za to drobna budowa ciała, czarne włosy i równie ciemny kolor oczu ukrytych za zasłoną długich rzęs, których mogłaby im pozazdrościć niejedna kobieta. Chłopcy tak dawno nie byli strzyżeni, że włosy opadały im już na ramiona. Eliasowi spodnie sięgały do kostek, a Józefowi do połowy łydki. Laura nie mogła na to patrzeć. Wreszcie wyciągnęła z szafy dwie pary starych spodni Dawida i przerobiła je tak, by pasowały na Józefa. Chłopak był znacznie szczuplejszy od starszego brata, którego w grudniu Niemcy zabrali z ich domu.

Laura nosiła długie włosy, które dla własnej wygody zaplatała w warkocz. Miała jednak świadomość, że nie był on tak gruby jak przed wojną. Nie miała szansy zadbać o włosy i choćby zaaplikować im maseczki z żółtka czy płukanki z pokrzywy. Obecnie i jako, i pokrzywając najpewniej wyładowałyby w jej żołądku. Coraz częściej zdarzały się dni, w których nie mieli co jeść. Chłopcy rośli i potrzebowali coraz więcej pożywienia. Niestety racje żywnościowe nie odpowiadały potrzebom nastolatków. Kilka dni po wywózce blisko dwudziestu tysięcy Żydów



w getcie rzeczywiście pojawiało się więcej jedzenia. Propaganda głosiła, że teraz wszystkim, którzy pozostali, będzie żyło się lepiej. Rozbudzone nadzieje szybko się rozwiały, gdy z dnia na dzień naziści okroili racje żywnościowe, twierdząc, że nie stać ich na utrzymywanie darmozjadów. To miało jeszcze bardziej zmobilizować Żydów do pracy. Wielu po raz kolejny zawierzyło pustym obietnicom i pracując ostatkiem sił, wyrabiało zawyżone normy. Inni umierali z wycieńczenia.

Lewiatanowie próbowali się ratować. Laura wykorzystywała w kuchni wszystko, co tylko znalazła. Suszyła więc kwiaty dziurawca, liście malin i szałwii, kwiaty rumianku i lipy. W ten sposób szykowała się do kolejnej zimy i okresu chorób oraz wzmózonego głodu. Wiedziała, że kilka łyków gorącego naparu przyjmowanego każdego dnia pozwoli jej podnieść odporność swoją i chłopców.

Teraz pakowała w płócienne wężełki ususzone kwiaty i liście, dbając, by się nie wymieszały. To był jej skarb i musiała dopilnować, by nie trafił w ręce sąsiadów.

– Zabieramy wszystko, co tylko damy radę przenieść – zakomenderowała. – Ubrania wyniesiemy na końcu. Najpierw siennik i łóżko.

– A co ze stołem i krzesłami? – spytał Józef, prężąc wątle muskuły, by pokazać Laurze, że jest gotów do pracy.

– Też zabieramy. Być może trzeba je będzie spalić w piecu, by się ogrzać. Każdy mebel jest na wagę złota.

Chłopcy zaczęli związać pościel ze swojego siennika, ona zaś to samo robiła z pierzyną i poduszką, którą odziedziczyła po teściowej.

Od miesiąca nie mieli żadnych informacji o losie wywiezionych osób. W odciętym od miasta getcie nikt nie miał pojęcia, co się dzieje za drutami. Plotka głosiła, że wszyscy trafili do obóz pracy na wschodzie. Nikt nie śmiał wątpić, że mogło być inaczej.

Lewiatanowie uwijali się, pakując rzeczy, które chcieli przenieść do Szulca. Propozycję przeprowadzki otrzymali kilka dni temu. Początkowo chłopcy nie chcieli słyszeć o zmianie lokalu, ale widok Laury cierpiącej z powodu awantur oraz nieprzyjemnych wspomnień skłonił ich do zmiany zdania. Nie byli już dziećmi. Widzieli, że w jej oczach na stałe zagościł smutek. Wciąż walczyła, ale nie była w stanie ukryć tego, że słabnie i coraz mniej w niej nadziei na odzyskanie wolności.

Józef mocno związał prześcieradło, w którym schował pierzynę, dwa grube koce, ręczniki i kilka naczyń z kuchni. Razem z Eliaszem wystawili na środek pokoju jedyne łóżko, jakie posiadali, i położyli na nim przygotowany pakunek.

– Możemy ruszać – obwieścił triumfalnie.

Tylko uważajcie na schodach. – Laura założyła na głowę chustkę, po czym złapała drugi, znacznie mniejszy tobołek i zarzuciła go sobie na plecy. Następnie ruszyła za chłopcami.

– Idę pierwszy – oświadczył Józef.

– Nie! Ja będę pierwszy! – zbuntował się Eliasz i przepchnął się przed bratem.

– Jestem wyższy i silniejszy, więc idę pierwszy – upierał się Józef.

– Ale ja mam więcej rozumu.

– To może ja pójdę pierwsza? – odezwała się Laura, mierząc chłopców wzrokiem.

Józef natychmiast spuścił oczy. Nie chciał sprawić jej przykrości. Kochał ją jak siostrę, a od miesiąca szanował jak matkę. Cierpienie na jej twarzy odbierał jak najboleśniejszy policzek.

– Pójdę z tyłu. – Eliasz jako pierwszy przerwał milczenie.

Józef już miał zaoponować, ale zanim się odezwał, Laura przytaknęła i ucałowała Eliasza w czoło.

– Ruszajmy, bo czeka nas ciężki dzień – stwierdziła, po czym otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Schodzenie po schodach z takim bagażem nie należało do najłatwiejszych zadań, ale po kilku potknięciach chłopcy znieśli łóżko i wszyscy mogli wyjść na ulicę. Laura rozejrzała się na boki. Na szczęście było jeszcze bardzo wcześnie, dlatego ruch był niewielki. Trzymali się blisko budynków. Minęli kilka ulic i bezpiecznie dotarli do kamienicy Szulca. Na szczęście mężczyzna mieszkał na pierwszym piętrze. Chłopcy sprawnie wnieśli łóżko. Szymon Szulc, słysząc odgłosy na klatce schodowej, otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

– Wchodzić, wchodzić – ponagłał.  
– Pierwsza partia towaru dostarczona – z dumą podsumował Józef i postawił łóżko pod ścianą.

Pokój zamieszkiwany przez Szulca i jego córkę był znacznie większy od tego, który wcześniej zajmowali Lewiatanowie. Miał wysokie okno skierowane na wschód, więc w pomieszczeniu było bardzo jasno. Żółte ściany sprawiały wrażenie, że w mieszkaniu jest znacznie cieplej niż w rzeczywistości. Drewniana podłoga przyjemnie skrzypiała przy każdym kroku. W kącie, obok łóżka Szulca, stała duża szafa, która mogła pomieścić ubrania kilkusobowej rodziny.

– Tam możecie ustawić łóżko. – Mężczyzna pokazał na ścianę za drzwiami. – Tu schować ubrania i wszystkie drobiazgi. – Otworzył jedno z trojga drzwi i wskazał kilka wolnych półek w szafie.

– Biegniemy po resztę rzeczy – oświadczył Elias i pociągnął za sobą brata.

Laura zaczęła wyjmować przyniesione drobiazgi i ustawiać w szafie. Od dawna nie czuła takiej radości. Mrok, w którym żyła, zaczął się rozjaśniać i dzisiaj przybrał kolor ścian pokoju Szymona.

– Cieszyć się, że ty zdecydowałeś się na przeprowadzkę – odezwał się starszy mężczyzna. – Odkąd Eliza wyjechała, ten pokój stracił duszę. Nie chcę się stąd wyprowadzać, ale już dwa razy urzędnicy Rumkowskiego chcieli mi dokwaterować jakąś obcą rodzinę. Wybłągać w urzędzie, ale musiałeś to sownie zapłacić. To jednak warte tych dwóch obrączek. Teraz już nikt obcy się do mnie nie wprowadzi – tłumaczył, kalecząc język polski.

– Miałabym do pana jeszcze jedną prośbę – zaczęła Laura i usiadła na przyniesionym łóżku. – Chciałabym mieć chłopców na oku przez cały dzień. Boję się o nich, gdy sami idą do pralni. Oni wciąż są tylko dziećmi i czasem przychodzą im do głowy głupie pomysły. Nie chcę, żeby się narażali, dlatego wolałabym, żeby pracowali razem ze mną.

Szymon Szulc podrapał się w łysiejące czoło. Wiedział, czym jest miłość rodzicielska. I choć jego córka była dorosła, to każdego dnia myślał o tym, czy udało jej się uciec z piekła i gdzie teraz przebywa.

– Zobaczycie, co da się zrobić. Zgłosić potrzebę zatrudnienia kolejnych osób, ale musicie zacząć na decyzję z góry – wyjaśnił.

Wiedział, że choć Szulc jest kierownikiem szwalni, to nad nim są zwierzchnicy w wydziale zajmującym się nadzorem przemysłu w getcie i to oni decydują, który zakład potrzebuje większej siły roboczej. Po ostatniej wywózce ludzi widać było, że naziści postanowili zwiększyć wydajność fabryk w getcie. Teraz już prawie wszyscy pracowali. Nawet starsze dzieci musiały siedzieć po kilkanaście godzin w resortach.

– Obiecuję, że nie sprawimy panu kłopotów. – Laura uśmiechnęła się szeroko. Już dawno tego nie robiła.

Żyła z dnia na dzień. Musiała się zatroszczyć o braci męża. Niekiedy po powrocie z pracy nie miała siły odpowiadać na ich pytania. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek i zasnęła, marząc o przebudzeniu w lepszej rzeczywistości. Wtedy siedziałaby na ławce w parku słodko pachnącym lipami i wpatrywałaby się w twarz ukochanego, całującego jej dłoń. Tak bardzo pragnęła jego dotyku i zapachu. Chciała być dziewczyną, która kiedyś potrafiła śmiać się z tego, że umazała się kremem z eklerka, ale też wzruszała się, słuchając recytacji trenów Kochanowskiego czy epepei Mickiewicza. Od czasu do czasu usiłowała odnaleźć w sobie tamtą dziewczynę, lecz miała z tym coraz większy kłopot.

– My musicie sobie pomagać – oświadczył Szymon w zamyśleniu. – Nigdy nie wiedzieć, ile nam jeszcze zostać tego życia.

Gdy Laura skończyła układać drobiazgi w szafie, Szulc zaprowadził ją do kuchni i pokazał, gdzie przechowuje jedzenie. W starym kredensie z oberwanymi drzwiczkami ozdobionymi kolorowymi szkiełkami była odrobina pęczaku i garść mąki. Zasuszone liście i kwiaty, które zabrała ze swojego mieszkania ułożyła równo na półce, pozostawiając miejsce na chleb, który jutro miała odebrać z piekarni.

– Co moje, to i wasze – zachęcił Szymon, widząc niepewność dziewczyny.

Laura wsunęła kilka drobno porąbanych szczap drewna do kuchni kaflowej i rozpaliła ogień. Od wczoraj nie miała niczego w ustach. Woda szybko się zagotowała, Laura wrzuciła do

glinianych kubków po kilka listków malin i zalała je wrzątkiem. Tymczasem do wody gotującej się w niewielkim saganku nasypała pęczaku i nakryła, by się nieco podgotował, zanim wróćą chłopcy.

Chwilę później w kuchni pojawili się inni lokatorzy. W pokoju najdalej od wyjścia mieszkało małżeństwo z dwiema nastoletnimi córkami. Włosy całej rodziny skrzyły się miedzią, a na ich wychudzonych, pobladłych twarzach malowała się ciekawość. Dziewczynki bez skrępowania przysłuchiwały się rozmowie Laury z ich opiekunami. Szulc wspominał początki wspólnego mieszkania z rodziną Szifrin i swoją pomyłkę. Pierwszego dnia po przesiedleniu do mieszkania nie mógł wytrzymać i w nocy zszedł do latryny ustawionej z tyłu za kamienicą. Gdy już odetchnął z ulgą i wrócił do mieszkania, pomylił pokoje i wpakował się do łóżka Szifrinów. Estera i Jakub przyjęli go jak swego, myśląc, że to któraś z dorastających córek zatęskniła za czasami dzieciństwa i zrobiła im psikusa. Rankiem po przebudzeniu cała trójka miała zaskoczone miny. W końcu to Estera nie wytrzymała i zaczęła się głośno śmiać, budząc dzieci. Te natychmiast dołączyły do chichotu. Szulc jeszcze przez tydzień unikał Szifrinów, a gdy tylko nieopatrznie na nich wpadł, spuszczał wzrok i czerwienił się niczym uczniak.

Na szczęście po roku od tamtego wydarzenia potrafił się z tego śmiać. Laura po raz drugi szczerze się uśmiechnęła. Przysiadła na okrągłym stołku, popijając stygnący napar.

Pół godziny później zjawili się Józef i Eliasz z resztą dobytku. Zostawili przyniesione rzeczy i podążając za zapachem jedzenia, trafili do kuchni. Zaspokoiwszy największy głód, zabrali się do porządkowania pokoju, który miał stać się ich nowym domem.

Przeprowadzka okazała się wyczerpująca, dlatego wcześniej położyli się spać. Jednak żadne z nich nie mogło zasnąć w nowym miejscu. Chłopcy przekręcali się z boku na bok, usiłując znaleźć jak najlepszą pozycję. Laura również nie potrafiła uspokoić burzących spokój myśli. Nie miała pojęcia, co przyniesie kolejny dzień. Łudziła się, że przeprowadzka będzie początkiem nowego życia. Każdego dnia bała się o los chłopców. Drżała, gdy wychodzili do pracy. Zrobiłaby wszystko, żeby byli bezpieczni, jednak mieszkając tylko z nimi, stanowiła łatwy cel.

Dopiero nad ranem zdołała zasnąć i choć na chwilę przestać myśleć o świecie, w którym przyszło jej żyć.

\* \* \*

Następnego dnia żadne z nowych mieszkańców kamienicy przy Reigergasse, przed wojną znanej jako ulica Spacerowa, nie chciało się zwlec z łóżka. Szulc już drugi raz szarpnął pierzynę, spod której wystawały stopy chłopców. Laura niechętnie przeciągała się na łóżku, próbując sobie przypomnieć, co jej się śniło. Wreszcie poddała się i podniosła z łóżka. Szulc zdążył wyjść do kuchni. Była mu za to wdzięczna. Szybko włożyła za luźną sukienkę, którą niedawno pocerowała, a na stopy wsunęła pantofle z przetartą podeszwą. Na szczęście jeszcze się nie rozpadała, więc istniała szansa, że zdoła dojść do zakładu suchą stopą.

Właśnie wyszła na korytarz, gdy dostrzegła powoli uchylające się drzwi od drugiego pokoju. Wczoraj nie zdążyła poznać jego mieszkańców. Miała więc nadzieję, że nastąpi to dzisiaj. Bosa stopa wynurzyła się z ciemnego wnętrza. Laura zaciekawiona podeszła bliżej i już zamierzała się odezwać, gdy niespodziewanie noga zniknęła, a drzwi zamknęły się z hukiem. Laura podskoczyła jak oparzona i z rozdziawionymi ustami wpatrywała się w zatrzasknięte drzwi.

– Nie martwić się – pocieszyl ją Szulc, wychyliwszy się z kuchni, gdzie kończył jeść wczorajszy pęczak. – To tylko Izabela.

– Czy coś zrobiłam? – dopytywała Laura.

– Ona być chora z miłość. Ty nic nie poradzić.

Laura jeszcze przez chwilę przyglądała się zamkniętym drzwiom, w końcu jednak uznała, że Szulc ma rację, więc przygotowała napar z liści pokrzywy i wyskrobała z garnka resztki pęczaku dla siebie i chłopców.

Kiedy zjedli, wszyscy wyszli do pracy. Laura pomachała szwagrom na pożegnanie i ruszyła z Szulcem do szwalni. Szli szybko, bo na zewnątrz panował chłód. Słońce od kilku dni nie miało ochoty wyjrzeć zza chmur.

- Ty martwić się o chłopaki – stwierdził Szulc, nie patrząc na nią.
- Obiecałam Abigail, że się nimi zajmę.
- Ja zrobię wszystko, żeby ci pomóc.
- Nawet pan nie wie, jak bardzo jestem wdzięczna.
- My musimy sobie pomagać. Nikt inny o nas nie dbać.

Laura odruchowo chwyciła go za dłoń i uściśniła ją. Nie spodziewała się, że ten obcy człowiek okaże jej troskę. Oprócz niego i chłopców nie miała nikogo bliskiego.

- Zrobiłabym wszystko, by byli szczęśliwi – powiedziała w przepływie szczerości.

- Wy być młodzi i jeszcze być szczęśliwi – odparł Szymon i zatrzymał się, by spojrzeć na dziewczynę.

Tyle już w życiu przeszła, a i tak nie troszczyła się o siebie, tylko wciąż myślała o chłopcach. Sam bez przerwy myślał o Elizie. Oddałby wszystko, by dowiedzieć się, czy udało jej się uciec gdzieś daleko stąd. Zanim wyjechała, niewiele mówiła o planach na przyszłość. Sam wolał jej o to nie pytać. Gdyby wydało się, że uciekła, najpewniej trafiłby na przesłuchanie. W tym przypadku brak wiedzy był bezpieczniejszy. Teraz tego żałował. Minęło kilka miesięcy, a on wciąż drżał o życie córki.

- Chłopcy, choć się do tego nie przyznają, wciąż tęsknią za matką. Obwiniają się o to, że nic nie zrobili, by nie opuściła getta – wyjaśniła Laura, po czym głęboko wsunęła ręce w płaszcz, który odziedziczyła po Abigail.

- A jak oni chcą jej pomóc? Nikt ich nie pytać o zdanie. Nikt nas o nic nie pytać. Oni nas traktować jak te wszy, które trza wybić.

- Tamtego dnia nikomu nie wolno było wychodzić z domu. Niemcy kontrolowali ulice, ale chłopcy bardzo się kłócili i Abigail wyrzuciła ich do piwnicy. Mieli tam siedzieć, dopóki się nie pogodzą i nie zaczną ze sobą rozmawiać. Być może właśnie to uratowało życie i im, i mnie. – Westchnęła i na chwilę zawiesiła głos. Kilkunastu robotników szło z naprzeciwka. Wymięli się, uważając, by nie wpaść do rynsztoka, znad którego unosił się przeraźliwy fetor. Kiedy nieco się rozluźniło, Laura powróciła do rozmowy. – Siedzieli w tej piwnicy już trzecią godzinę, więc zesłałam do nich, by sprawdzić, czy się nie pozabijali. W rzeczywistości chciałam, żeby się pogodzili i wrócili na górę. Po chwili usłyszałam parkujące przed domem ciężarówkę. Kazałam chłopcom schować się głębiej, a kiedy usłyszałam kroki na schodach, wiedziałam, że nie możemy opuścić kryjówek. Czekaliśmy, aż samochody odjadą. Łudziłam się, że żołnierze nie przyszedli do naszego mieszkania. Józef wrywał się, chciał biec na górę, ale błagałam i zaklinałam go, by się nie wychylał. Wreszcie posłuchał, a ja odetchnęłam, czując, że to jedyne możliwe rozwiązanie.

- Nie być wyjścia – zapewnił Szymon i wszedł do resortu krawieckiego, w którym wspólnie pracowali.

- Wiem, że nie mogłam inaczej postąpić, ale oni tego nie rozumieją. Myślą, że gdyby wtedy byli w mieszkaniu, mogliby wyjaśnić, że Abigail jest młodsza i nie powinni jej wciągać na listę osób mających opuścić getto.

Szulc wszedł do niewielkiego kantorka, w którym, odkąd zabrakło Dawida, pochylał się nad dokumentami księgowymi, i kiwnął na Laurę, by do niego dołączyła. Dziewczyna zdjęła płaszcz i odwiesiła go na wbiły w drzwi gwóźdź.

- Jeszcze dziś ja postarać się załatwić robota dla chłopaki – obiecał Szulc i wyjął z szuflady grubą księgę rachunkową. To stanowiło znak dla Laury, że nadszedł czas na pracę.

Wyszła na korytarz i przeszła do szwalni. Kilkadziesiąt kobiet i dzieci siedziało stłoczonych i ciężko pracowało. Choć w pomieszczeniu znajdowało się kilka sięgających sufitu okien, to nie dawały one dostatecznej ilości światła, a prąd coraz częściej wyłączano. Niemcy otwierali kolejne zakłady produkcyjne, jakby nie chcieli, aby którykolwiek skrawek terenu getta mógł się marnować, a jakakolwiek para rąk pozostała bez pracy. Żołnierze potrzebowali ubrań, butów, plecaków, pasków czy czapek. Równie duże oczekiwania wobec produktów wychodzących z getta miała niemiecka ludność cywilna. Niemieckie dzieci zasługiwały na zabawki nawet w czasie wojny, a niemieckie domy potrzebowaly nowych mebli. Tylko więźniowie getta nie powinni mieć żadnych potrzeb. Nawet tych najbardziej prozaicznych.

– Laura, ty być mi potrzebna – odezwał się Szulc i skinął na dziewczynę siedzącą wśród młodzieży zasłuchanej w jej opowieści o życiu Sienkiewicza.

– O co chodzi? – zaniepokoiła się, ale natychmiast odłożyła koszulę, do której przyszywała kołnierzyk, i ruszyła w stronę biura zajmowanego przez Szymona.

Mężczyzna przepuścił ją przed sobą, a kiedy oboje znaleźli się w środku, zamknął drzwi.

– Udać mi się załatwić praca dla Józef i Eliasz. – Rozpromienił się.

Od kilku dni chodził do Centralnego Biura Resortów Pracy, by przekonać urzędników do swego pomysłu.

– Dziękuję! Bardzo panu dziękuję! – Laura rzuciła się na szyję mężczyzny i zaczęła go mocno ścisnąć.

– Ty mnie dusisz! – Próbował się wyswobodzić, choć z zaskoczeniem uświadomił sobie, że ta bliskość sprawiła mu przyjemność. Wreszcie się poddał. – Ty przestać do mnie mówić pan – nakazał, a w jego głosie brzmiała życzliwość.

Oczy Laury uśmiechały się, a jej duszę przepełniało szczęście, jakiego od dawna nie zaznała. W końcu mogła mieć chłopców na oku i dotrzymać obietnicy złożonej ich matce. Kiedy nieco ochłonęła, odsunęła się od mężczyzny.

– A teraz musicie mi pomóc – powiedział. – Zaraz przyjdź szwabski oficer, który chce, żebym ja mu uszyć palto. Trza go obmierzyć.

– Już lecę po miarkę.

– Ty nie odzywać się do niego, żeby go nie rozzłościć. Może on znać Eryk... – przerwał, jakby chciał zebrać myśli.

Laura natychmiast zrozumiała, na czym ma polegać jej rola. Odkąd zamieszkała u Szymona, codziennie widziała, jak bardzo tęskni za córką. Tak wiele dla niej zrobił. Nie mogłaby odmówić mu pomocy. Pobiegła do szwalni i przyniosła miarkę, po czym naszykowała kawałek kartki i ołówki na notatki.

Chwilę później do kantorka wszedł niemiecki oficer. Najpierw spojrzał na Szulca. Ten skłonił się usłużnie i powitał przybyłego, płynnie posługując się językiem niemieckim, który doskonale opanował, mieszkając ponad czterdzieści lat na terenach Rzeszy. Oficer szybko przeniósł wzrok na znajdującą się w pomieszczeniu kobietę.

– A ona tu po co? – odezwał się Franc Wagner, nie kryjąc zniechęcenia.

– Pomaga mi – wyjaśnił Szulc i pokazał na trzymane przez Laurę przybory.

– Nie będzie mnie dotykać jakaś zawszona Żydówka – warknął oficer o nordyckiej urodzie, który wyraźnie manifestował swoje przywiązanie do idei Hitlera o rasie panów.

– Ona nie jest... – zaczął Szulc, ale szybko ugryzł się w język. – Ona tylko zapisze wymiary – obiecał, czerwieniąc się po uszy.

Laura doskonale rozumiała, co zaszło. Wiedziała, że powinna milczeć, by nie przysporzyć Szymonowi kłopotów. Mocno zacisnęła palce na ołówku i cierpliwie czekała. Szulc zaś ostrożnie zaczął mierzyć szerokość ramion i długość rąk oficera. Kilka razy kazał mu zgiać i wyprostować ręce, by mieć pewność, że rękawy płaszczka będą dostatecznie długie. Później zasugerował krój płaszczka i zaczęła na decyzję wojskowego. Przez cały czas skupiony był na tym, by zadowolić klienta. Laura skrupulatnie notowała uwagi Szulca. Kiedy skończył zdejmować miarę, mrugnął do niej porozumiewawczo. Zrozumiała, czego oczekiwał. Bez słowa skłoniła się i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Jednak niektórych z was można czegoś nauczyć – zaśmiał się Wagner, wyjmując papierosa ze srebrnej papierośnicy.

Szulc zapalił zapałkę i podsunął ją Niemcowi. Szary, gryzący w gardło dym szybko wypełnił pomieszczenie. Mężczyzna zaciągnął się kolejny raz, jakby zdejmowanie miary stanowiło nadmierny wysiłek, po którym potrzebował wytchnienia.

– Kiedy płaszcz będzie gotowy? – zapytał wreszcie i ciężko opadł na krzesło.

– Najpierw przymiarka, podporuczniku – wyjaśnił Szulc, starając się, by jego głos zabrzmiał naturalnie. – Płaszcz musi dobrze leżeć, żeby niemieckie wojsko prezentowało się nienagannie.

Oficer podniósł wysoko brwi. Nie tego się spodziewał po żydowskim majstrze.

– Gdyby inni potrafili tak szanować Niemców, nie byłoby żadnej wojny.

Szulc zacisnął pięści, ale na jego ustach wykwitł uśmiech.

– Znam mieszkańców Rzeszy i wiem, że to wyjątkowi ludzie – ciągnął coraz pewniejszy siebie. – Nie bez powodu mieszkałem w Niemczech przez ponad cztery dziesięciolecia. Tam przysłała na świat moja córka.

– A widzisz, jacy my jesteśmy wielkoduszni. Każda przybłęda znalazła dla siebie miejsce. Szkoda, że nie potrafiliście tego uszanować. Gdybyście się tak nie panoszyli i znali swoje miejsce w szeregu, to teraz wszyscy siedzielibyśmy na tyłkach, oglądając dobre amerykańskie filmy przy lampce wyśmienitego francuskiego wina w dłoni.

Szulc miał ochotę coś odpowiedzieć o tym panoszeniu się, jednak uznał, że jednym zdaniem może zniweczyć to, co już udało mu się osiągnąć. Milczał więc, starając się znaleźć inny punkt zaczepienia.

– Znałem jednego Niemca, który kochał amerykańskie kino – podjął ochotczo. – Prawdziwy kinoman. Mógł godzinami oglądać filmy – ciągnął jak natchniony. – Cytował dialogi nawet po angielsku.

– Też znałem takiego wariata – podłapał Wagner i mocno zaciągnął się papierosem. Przez chwilę nie wypuszczał dymu, a kiedy złożył usta w dzióbek, na zewnątrz pojawiły się wirujące okręgi. – Nieraz pół nocy dyskutowaliśmy o jakiejś aktorze. On zawsze był wyrozumiały dla ich niedociągnięć. Ja wołę męskie role. Faceci nie muszą się mizdrzyć, a i tak potrafią przekazać głębię postaci. – Podeszedł do okna i zapatrzył się w krajobraz przed sobą. Jego oczy były jak u ślepcy, który nie ma pojęcia, na co patrzy.

Szulc aż się skręcał, tak bardzo chciał zapytać o Eryka, a jednocześnie obawiał się, że może wszystko popsuć. Wiedział, że kolejna szansa od losu nie trafi mu się prędko. Strach o życie córki czasem go przybijał i obezwładniał. Oddałby wszystko, by dowiedzieć się, czy wciąż żyje. Była jego światłem w ciemności, która odebrała mu żonę i nadzieję na lesze jutro. Musiał działać. Strzepnął niewidoczny pył z fartucha i nabrał powietrza, jednak zanim się odezwał, usłyszał głośne kaszlnięcie Wagnera, a później jego słowa:

– Braun był postrzelony, ale to jedyny facet, który jak nikt inny znał się na filmie.

Szulc niemal podskoczył. Jego skołatane ojcowskie serce szybciej zabiło, wyczekując dalszego ciągu.

– Eryk Braun? – zapytał, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

– A skąd wiesz? – Podoficer gwałtownie odwrócił się w jego stronę.

– Też go znałem – wyjaśnił posłusznie i odważył się zapytać: – Wiadomo, gdzie teraz służy?

Wagner znowu milczał, choć przez cały czas lustrował Szulca. Ten stary Żyd odważył się zadać pytanie jemu, niemieckiemu oficerowi, reprezentantowi wyższej rasy. Czy był aż tak bezczelny, że wyobrażał sobie, że mogą rozmawiać jak równy z równym? Czy fakt, że w młodości mieszkał na terenie Rzeszy, daje mu prawo wypytywać o rodowitych Niemców? Gdy tak myślał, czuł, że jego ciało z dumą się pręży. Głęboko wierzył w słowa Hitlera. Rozumiał jego ideały. Żył w zgodzie z nimi. Inaczej już dawno by oszalał, wykonując służbowe obowiązki.

– A co cię to obchodzi? – zapytał wreszcie, nie kryjąc wyższości. – Twoją powinnością jest służyć narodowi niemieckiemu i zarobić na swoje utrzymanie.

– Tylko pytałem o dawnego znajomego – usiłował załagodzić Szulc.

– Wy zawsze pięknie się tłumaczycie i udajecie niewiniątka, a w rzeczywistości kłamiecie, okradacie i wykorzystujecie nas do swoich brudnych interesów – warknął Niemiec i rzucił na podłogę niedopałek, po czym poprawił czapkę i pas, jakby chciał się upewnić, że przytwierdzony do niego pistolet wciąż pozostaje na swoim miejscu, a on nie musi się niczego obawiać. – Wcale się nie dziwię, że niektórzy z nas szukają lepszego miejsca. Też powinienem poprosić o przeniesienie na front do jakiegoś cywilizowanego kraju, gdzie już dawno wybito wszystkie pasożyty. Tutaj cuchnie żydowskim łajnem – dodał, a na jego twarzy pojawił się grymas.

Szulc wiedział, że nie zdoła dowiedzieć się niczego więcej. Skłonił się tylko i zaprosił Wagnera za tydzień na przymiarę płaszcza.

Kiedy został sam, opadł bezwładnie na krzesło. Wciąż nie miał pojęcia, dokąd wyjechał Eryk Braun, który postanowił zacząć wszystko od nowa, a do budowania przyszłości zaprosił jego córkę.

\* \* \*

Józef i Eliaz szli przodem. Tuż za nimi podążał Szulc wraz z Laurą. Od dwóch dni co rano razem chodzili do resortu. Laura odetchnęła. Przez cały dzień miała baczenie na chłopców, a wieczorami nie wypuszczała ich z mieszkania, by się w nic nie wplątali.

– Dzisiaj przychodzi ten Niemiec? – upewniła się Laura.

– I co z tego. – Szulc wzruszył ramionami i spochmurniał. – On nas nienawidzi i nawet nie dać się pociągnąć za język.

– A może trzeba z nim rozmawiać w jego języku.

– Niemiecki być mój drugi język, ja wszystko w nim rozumieć.

– Nie to miałam na myśli – wtrąciła. – Skoro Wagner uwielbia filmy, można to jakoś wykorzystać.

Szymon na chwilę się zatrzymał i z uznaniem pokiwał głową. Sam nie miał czasu na wizyty w kinie. W Polsce rozkręcał interesy i wołał umówić się na partyjkę pokera czy brydża, by w przyjemnej atmosferze przedyskutować kwestie finansowe. To Eliza referowała mu najnowsze produkcje kina europejskiego czy amerykańskiego. Ale on puszczał to mimo uszu, przytakując jedynaczkę, by nie poczuła się odrzucona. Jego myśli pochłaniały kwestie znacznie bardziej przyziemne. Teraz tego żałował.

Laura, widząc konsternację przyjaciela, chwyciła go pod ramię i pociągnęła w stronę zakładu krawieckiego, rozpoczynając wykład o kilku znakomitych filmach, jakie zdążyła obejrzeć tuż przed wybuchem wojny. Ich rozmowa nabrała przyjacielskiego tonu, więc naturalne stało się przejście na „ty”.

Gdy dotarli do budynku resortu, Szulc miał już zarys kilku ról kobiecych, które zasługiwały na to, by o nich wspomnieć. I choć nie wiedział, co może z tego wyniknąć, zdecydował, że podejmie tę próbę bez względu na konsekwencje. Nie pozwolił Laurze pójść do szwalni. Aż do przyścia Wagnera rozmawiali o filmach. Szulc chłonął słowa dziewczyny, która wciąż go zaskakiwała swoim odczytaniem i znajomością sztuki.

Kiedy tylko w drzwiach pojawił się Wagner, Laura skłoniła się nisko i bez słowa wyszła, pozostawiając mężczyzn samych. Wiedziała, że teraz wszystko jest w rękach Szymona. Zdążyła na tyle go poznać, że była przekonana, że się nie podda.

Weszła do szwalni i zajęła swoje miejsce. Młodzież zdążyła już wykonać pierwszą partię pracy. Przydzielona jej sterta spodni do podszycia nogawic nie wyglądała zachęcająco. Mogła zapomnieć o przerwie, a brygadystka patrzyła na nią spode łba. Chyba nie podobało jej się, że Laura przesiadywała w kantorku kierownika. Niechybnie wolałaby zająć jej miejsce, łudziła się, że mogłaby liczyć na coś więcej. Laura słyszała szepty, czuła zazdrosny wzrok tych, którzy podejrzewali ją o romans z Szulcem. Śmiała się im w twarz, a jednak od kiedy z nim zamieszkała, uszczypliwościom nie było końca. Musiała zagryźć zęby i robić to, co do niej należało. Nie chciała, by ktokolwiek zarzucił jej, że miga się od obowiązków.

Usiadła i zabrała się do pracy. Co chwila spoglądała w stronę drzwi, mając nadzieję, że ujrzy w nich uśmiechniętego Szymona.

Odszukała wzrokiem chłopców. Eliaz równo składał spodnie, zaś Józef pakował je po dziesięć sztuk i układał na drewnianym wózku, który służył do transportu towaru z zakładu na podjeżdżające wozy. Chłopcy szybko znaleźli towarzystwo. Lubiła patrzeć na ich uśmiechnięte twarze. Wtedy wiedziała, że nie myślą o tym, że być może już nigdy nie zobaczą swoich rodziców. Józef, pochwywszy jej wzrok, uśmiechnął się życzliwie, odsłaniając żółte zęby. Ostatnio trudno było dostać nawet mydło. O paście do zębów Laura marzyła, odkąd weszła do getta. Na szczęście jeszcze żadne z nich nie miało większych problemów z użębieniem. Laura często żuła liście mięty i nakłaniała do tego szwagrów.

Blisko godzinę później obok niej stanął Szulc. Jego twarz, pokryta siatką drobnych zmarszczek, zdradzała towarzyszące mu emocje. Nie potrafił ukryć drżenia dłoni.

Laura chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia. Nie potrzebowali wścibskich spojrzeń. Szymon zadbał, by wiadomość o śmierci Elizy nabrała realizmu. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd, który mógłby narazić jego córkę.

Gdy stanęli w korytarzu, Laura upewniła się, że nikt ich nie podsłuchuje, po czym spojrzała pytająco na Szymona.

– Udać się – powiedział, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego dokonał. – Wagner zdradzić, że Eryk wyjechał z getto, bo dostać przydział na front zachodni.

– I gdzie teraz jest? – spytała rozemocjonowana.

– Z tym być mały problem. – Szulc podrapał się po przerzedzonych włosach.

– O czym ty mówisz?

– Podobno Eryk nie dotrzeć na miejsce.

Laura rozdziawiła usta w zaskoczeniu. W końcu powoli zapytała:

– To gdzie on teraz jest?

Szulc wzruszył ramionami, nie odpowiedział. Jeszcze przez chwilę stali w milczeniu. Każde z nich pograżyło się we własnych myślach, zadając sobie setki pytań, na które nie znali odpowiedzi.



## ROZDZIAŁ II

### WCIAŻ NOWE WYZWANIA

Miliony drobnych płatków śniegu tańczyło w rytmie wygrywanym przez wiatr nieczuły na prośby i utyskiwania tych, którzy zmuszeni byli codziennie wyjść na zewnątrz, by o szóstej rano rozpocząć pracę w jednym z licznych resortów, zakładów usługowych czy urzędów funkcjonujących w getcie. Mróz od przeszło dwóch tygodni nie zelżał ani na chwilę. W połowie listopada nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Problem stanowił tylko nieustanny brak opału. Nawet w resortach panował przeraźliwy chłód. Zziębnięci pracownicy usiłowali wykonywać swoje obowiązki, lecz ich dłonie cierpły i siniały z zimna. Jeszcze gorzej było w mieszkaniach, w których od dawna nie było czym palić w piecach. Skąpy przydział drewna wykorzystywano do gotowania posiłków. Dlatego nawet w pomieszczeniach nie zdejmowano palt, a szczęściarzem mógł się nazwać ten, kto miał rękawiczki, szalik i czapkę. Na wagę złota była nie tylko włóczka, szydełko czy druty, ale też umiejętność dziergania.

Laura nie знаła się na robótkach, nad czym niezmiernie ubolewała. Chłopcy już dawno porwali zabrane do getta czapki i rękawiczki. Za każdym razem, gdy wychodzili z domu, z zalem patrzyła na ich odmrożone dłonie, które owijali w szmaty, by choć w ten sposób je osłonić. Jednak niewygodą sprawiała, że często rezygnowali z tych prowizorycznych ocieplaczy. Laura wiedziała, że wcześniej czy później to się źle skończy. Popruła więc stary sweter Józefa, który już dawno przestał pasować na chłopca i zapukała do drzwi Szifrinów. Dwie nastoletnie córki Estery dziergały na drutach w tempie maszyny dziewiarskiej ustawionej na najwyższe obroty. Rodziny z kilku sąsiednich kamienic przynosiły do nich kłębki wełny ze sprutych swetrów, oferując jedzenie czy drewno na opał w zamian za zrobienie nowego odzienia. To właśnie dzięki temu w ich mieszkaniu woda stojąca w wiadrze przy kuchni nie zamarzała nawet w czasie największych mrozów.

Laura miała silne postanowienie, by wreszcie zrobić użytek z odzyskanej włóczki. Co więcej, żywiła przekonanie, że nie ma nic skomplikowanego w przewlekaniu wełny przez kolejne oczka. Z zapałem słuchała wyjaśnień Anety i w myślach skrupulatnie notowała wszystkie jej uwagi na temat wzorów, liczenia oczek i planowania roboty. Kiedy tylko dziewczyna skończyła swój nieco przydługi wywód, Laura zabrała się do nawlekania oczek na dwa długie druty. Tylko co począć, jeśli włóczka wciąż się płącze, a oczka spadają? Na szczęście Aneta rozumiała problemy nowicjuszy, dlatego przyszła jej z pomocą i nawlokła kilkadziesiąt pierwszych oczek. Laura, zafascynowana zwinnością palców nieco młodszej od siebie dziewczyny, wyobrażała sobie, że sama też niedługo będzie tak potrafiła.

– Daj, teraz ja spróbuję.

– Powoli zdejmuj kolejne oczka, żeby żadnego nie zgubić – ostrzegła Aneta, jakby przeczuwając, co wkrótce nastąpi.

Po godzinie żmudnej pracy Laura nie miała wątpliwości, że musi zweryfikować swoje plany. Nie wiedzieć dlaczego i w jaki sposób liczba oczek malała w zastraszającym tempie, a czapka kurczyła się i wkrótce nawet nie przypominała tego, czym miała się stać po wydzierganiu. Wreszcie Laura poddała się i poprosiła o pomoc. Aneta nie odmówiła, a trzy dni później Józef i Eliasz biegali w ciepłych czapkach, zaś dłonie chowali w grubych rękawicach.

Dlatego dzisiaj nic sobie nie robili z padającego śniegu i wracając z pracy, rzucali się śnieżkami. Śnieg nie chciał się lepić, ale to im nie przeszkadzało. Zbierali śnieg w rękawice i nacierali się nim. Resztki puchu lądowały na palcie i spodniach. Laura jedynie kręciła głową, nie chcąc pozbawiać ich tej odrobiny radości i dziecięcego szaleństwa, choć jednocześnie myślała o tym, że po wejściu do domu musi przygotować im napar z lipy, by się rozgrzali i nie nabawili przeziębienia.

Właśnie dochodzili do skrzyżowania, gdy dostrzegli wolno sunące ciężarówki. Jechały wzdłuż ulicy Franciszkańskiej, zakłócając spokój mieszkańców pobliskich kamienic.

– Ciekawe, co przewożą – natychmiast zainteresował się Józef i otrząpał ubranie ze śniegu.  
– I po co ich aż tyle? – zastanawiał się Elias. – Ostatnio tyle samochodów widziałem w czasie wysiedlenia – dodał i natychmiast posmutniał, przypominając sobie tamte wydarzenia. Obraz matki wciąż uparcie pojawiał się w jego snach.  
– Może to transport jedzenia? – podsunęła Laura, widząc smutek na twarzy chłopaka.  
– Nie chce mi się w to wierzyć – odparł Szulc, rozwiewając jej nadzieje.  
– Trzy, cztery, pięć – liczył na głos Józef.  
– Mówię wam, że z tego nic dobrego nie wyniknie – powiedział Elias posępnym tonem.  
– Chodźmy do domu, żebyśmy nie zmarzli – ponagliła wszystkich Laura, chcąc uniknąć dalszej dyskusji.

– Deski! – zauważył Józef z dumą. – Wiozą jakieś deski!  
– Czyżby jednak o nas pomyśleli? – zastanawiał się Szulc. – Może nie dadzą nam zamarznąć. Sprawdźę, czy na słupie są nowe obwieszczenia. Może coś znajdę na ten temat – zaoferował i przeszedł na drugą stronę ulicy, by upewnić się, czy nadzieje Józefa znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistości.

Laura wciąż nie знаła jidysz, a od września żadne obwieszczenia nie były drukowane w języku polskim. Ważniejsze wiadomości, zwłaszcza te dotyczące pracy czy organizacji getta, zazwyczaj podawane były w języku niemieckim, rzadziej w żydowskim. Inne informacje, a do tych według Niemców należały te odnoszące się do przydziału żywności, nie zasługiwały na marnowanie papieru, dlatego często pojawiały się tylko w jidysz.

– Nie ma ani słowa o nowym przydziale drewna – powiedział Szulc z zawodem w głosie.  
– Trzeba jutro popytać w mieście – zdecydowała Laura. – Chodźmy, bo zimno.  
Kiedy weszli do mieszkania, usłyszeli krzyk dochodzący zza drzwi Czerninów. Laura zatrzymała się, przenosząc pytający wzrok z chłopców na Szymona.

– To nas nie dotyczy – odezwał się i zdjął płaszcz. W pokoju odwieścił go na przybity do drzwi gwóźdź.

Laura została w korytarzu. Krzyki nie ustawały. Poznała kobiecy głos, jednak nie potrafiła wyłoidzić poszczególnych słów. Bełkot zlewał się w jedno zawodzenie. Zaciśnęła zęby. Bezradność dosłownie ją bolała. To biadolenie powtarzało się niemal codziennie. Wiedziała, że Izabela Czernin wciąż cierpi po stracie dzieci. Znała to uczucie. Sama też musiała pogrzebać synka. Zmarł, zanim zdążył złapać pierwszy oddech. Mimo to nie było dnia, by o nim nie myślała. Wyobrażała więc sobie, jak ogromny ból musi nosić w sobie matka, która jednego dnia straciła czworo dzieci.

Cicho zastukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Kobieta po drugiej stronie drzwi zamilkła. Laura ponowiła próbę, ale i tym razem nikt jej nie otworzył. Jeszcze przez chwilę czekała, lecz ze środka przestały dochodzić jakiegokolwiek odgłosy. Poczłapała więc do kuchni, zdjęła palto i zaczęła przygotowywać kolację. Dzisiaj serwowała chleb z pokrojonym w cienkie plastry burakiem ćwikłowym. Właśnie zaparzyła herbatkę z kwiatów lipy i zawołała domowników na kolację, gdy do kuchni wszedł Samuel Czernin z umęczonym wyrazem twarzy. Miał zapadnięte policzki i smutne oczy. Zagryzał wargi, by ukryć ich drżenie.

Laura, widząc sąsiada w coraz gorszym stanie, zaproponowała:

- Może napijesz się herbatki lipowej? Rozgrzewa i dodaje sił.
- Tego akurat mi potrzeba. Dłużej tego nie wytrzymam.
- Jesteś dzielny człowiekiem. – Laura spróbowała dodać mu otuchy.

Mężczyzna był od niej niewiele starszy. Pracował przy produkcji zabawek. Codziennie dotykał dziesiątek z nich i żadnej nie mógł podarować swoim dzieciom. Z opowieści Szymona wiedziała, że po wejściu do getta jego żona urodziła czwarte dziecko. Tym razem był to wyczekiwany męski potomek rodu Czerninów. Młoda matka nie mogła zostawić dzieci samych w domu, dlatego nie pracowała i nie dostawała talonów na żywność. Rodzicom było trudno utrzymać czworo dzieci, ale robili wszystko, by miały co jeść. Izabela cerowała ubrania i strzygła włosy, dlatego znali ją mieszkańcy całej dwupiętrowej kamienicy, którzy chętnie korzystali z jej usług.

– Już nie wiem, co gorsze: śmierć czy to nasze życie w ciągłym strachu i bólu – zauważył.

Westchnęła, bo od czasu do czasu miała podobne przemyślenia. Ile by dała, by móc przytulić się do Dawida, znów poczuć jego dłonie prześlizgujące się po jej skórze, jego usta błakające się po zakamarkach jej ciała. Tak bardzo tęskniła za jego ciepłym głosem i bystrym spojrzeniem. Żyła w rzeczywistości, której nie pojmowała. Tkwiła w miejscu, do którego nie powinna trafić. Miłość przywiodła ją w siła i pozostawiła na pastwę losu. Teraz każdy dzień był loterią, w której szaleństwem było liczyć na wygraną.

– Potrzeba czasu, ale wszystko się jakoś ułoży – przekonywała, choć sama miała coraz więcej wątpliwości. Okupacja trwała już czwarty rok i nic nie wskazywało na to, by miała się skończyć.

– Izabela nie chce walczyć. Ona już dawno się poddała. Nie umiem do niej trafić. Nie słucha mnie. Cierpi, ale nie pozwala sobie pomóc – zwierzył się, gdy usiadł przy stole i ukrył twarz w zylastych dłoniach. – Nikogo nie wpuszcza do naszego pokoju. Od tamtego dnia, gdy zabrali nam dzieci, do nikogo się nie odezwała. Wychodzi tylko do latryny, a i to zwykle robi nocą lub wczesnym rankiem, żeby unikać ludzi. Już nie wiem, co mam robić, żeby jej pomóc! – Złapał się za włosy i zaczął je rwać. – Pomóc jej i sobie!

Patrzyła na tego młodego człowieka, z którym tak okrutnie obszedł się los i zdała sobie sprawę, jak wiele miała szczęścia, że w chwili, gdy straciła dziecko, byli przy niej Eliza i Abigail z synami. Świadomość, że jest komuś potrzebna, pozwoliła jej przetrwać najgorsze chwile, a potem z każdym dniem było lepiej.

– Samuelu, spróbuję z nią porozmawiać – zadeklarowała bez wahania i ostrożnie położyła dłoń na ramieniu mężczyzny. Drgnął. Spojrzał na nią, a kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu.

Laura wyszła z kuchni i stanęła przed drzwiami pokoju Czerninów. Chwilę nasłuchiwała, jednak nie wychwyciła żadnego odgłosu. Zapukała delikatnie. Nikt jej nie odpowiedział.

Ponowiła próbę, ale tym razem zrobiła to głośniejsze. Znowu cisza.

– Izabelo, czy wszystko w porządku? – odezwała się. – Czy mogę wejść do środka? Chciałam poczęstować cię kolacją. – Postanowiła wykorzystać to, że w getcie nikt nie odmawiał posiłku. Laura czekała, gotowa ruszyć do kuchni po jedną z przygotowanych kanapek, jednak brak odpowiedzi nie napawał optymizmem.

– Je tylko wtedy, gdy ją do tego zmuszę – wyjaśnił Samuel, stając za Laurą. – Inaczej już dawno by umarła.

– W takim razie, co lubi robić? – spytała szeptem.

– Izabela kiedyś kochała taniec i muzykę. Pięknie grała na skrzypcach, co prawda nie trzymała ich w dłoniach, odkąd znaleźliśmy się za drutami, ale jej wyjątkowa wrażliwość pozostała. Sprzedaliśmy je, żeby móc wyżywić dzieci.

Laura oparła się plecami o drzwi, które pozostały zamknięte.

– Idź na kolację. Może następnym razem ci się uda – stwierdził.

Bez przekonania podreptała do pokoju, by przypomnieć chłopcom o czekającej w kuchni kolacji. Wciąż jednak myślała o niewiele od siebie starszej kobiecie, która utkwiała w mroku i nie pozwalała sobie pomóc.

\* \* \*

Laura właśnie usiadła przy swoim stanowisku pracy. Spojrzała na stertę koszul leżącą na dużym stole. Sięgnęła po szpulkę nici i grubą igłę. Na przyszycie wszystkich guzików do takiego mnóstwa odzieży potrzebowała całego dnia. Siedząca obok niej młoda dziewczyna spoglądała na podobnej wielkości górę koszul. Laura bezradnie rozłożyła dłonie, po czym zabrała się do nawleczenia igły. Na początku pracy w szwalni ciągle miała pokute palce. W jej rodzinnym domu to Maria zajmowała się szyciem i cerowaniem. Miała do tego prawdziwy dar. Potrafiła uszyć sukienkę z bufiastymi rękawami i marynarskim kołnierzem. Kiedy Anna Kozłowska odkryła tę umiejętność gospośi, postanowiła zainwestować w profesjonalny sprzęt i po długich negocjacjach z mężem kupiła maszynę do szycia. Laura uwielbiała patrzeć na

powstające ścięgi. Czasem udało jej się uprosić Marię i gosposia pozwalając jej nacisnąć pedał napędzający maszynę. To było jedyne przedwojenne doświadczenie Laury związane z szyciem.

Pracując u Szulca, nauczyła się podszywać spodnie i kołnierzyki koszul. Przyszywanie guzików nie stanowiło najmniejszego problemu. Czasem dla rozprostowania kości zgłaszała się do prasowania uszytej odzieży. Niekiedy już sama nie wiedziała, które z tych zajęć było bardziej wyczerpujące. W takich chwilach wyobrażała sobie, że właśnie przygotowuje dla siebie sukienkę na przyjęcie, na którym będzie mogła zatańczyć w ramionach Dawida, a po powrocie zasnąć przytulona do jego ciepłej piersi.

Namiastką normalności były dla niej książki. Niestety nie miała co liczyć, że ktokolwiek podaruje jej jakąś. Nikt nie chciał z własnej woli pozbywać się papieru niezbędnego do rozpalenia w kuchni. Liczne książki porzucone przez wysiedlonych z Bałut Polaków spłonęły w piecach, by dać choć odrobinę ciepła. Czasem jednak współpracownicy, którzy wiedzieli o zamiłowaniu Laury, pożyczali jej jakąś książkę. Tego dnia właśnie oddała znajomej zajmującej się wykrawaniem ubrań Krzyżaków Sienkiewicza. Laura pragnęła, by miłość jej i Dawida okazała się tak silna i niezłomna jak ta Danuśki i Zbyszka. Musiała wierzyć, że mąż gdzieś tam na nią czeka. Nie miała pojęcia, jak zdołają się odnaleźć, ale nie porzucała myśli, że jest to możliwe. To dzięki niej każdego dnia była w stanie zwlec się z łóżka.

Właśnie odłożyła kolejną koszulę dla niemieckiego żołnierza, do której przyszyła guziki, gdy dostrzegła wchodzącego do szwalni Szymona. Znała go na tyle, że natychmiast dostrzegła jego podenerwowanie. Szybkim krokiem przemierzył dzielącą ich odległość i stanął przed nią, drapiąc się po łysiejącym czole.

– Przyjść Wagner, bo odpaść mu guzik od płaszcz – zaczął. – On myśleć, że mieć tu służba na każde zawołanie – ciągnął coraz bardziej poirytowany. – On chce, żebyś mu go przyszyć.

– Nie przejmuj się, zaraz to zrobię. – Poklepała go po plecach, wzięła igłę i nitkę.

– Weź też guzik, bo swój zgubił.

Laura wybrała kilka większych metalowych guzików i podążyła za Szulcem.

– Tylko nic nie mów i nie patrz na niego. Lepiej go nie prowokować – ostrzegł, zanim otworzył drzwi do kantorka.

Kiedy weszli, dostrzegła stojącego przy oknie oficera, który palił papierosa. Dym zdążył już wypełnić niewielkie pomieszczenie, w którym kiedyś pracował jej mąż. Przez ułamek sekundy zdawało jej się, że znowu siedzi pochylony przy biurku i skrupulatnie wypełnia księgę rachunkowe.

Szybko otrząsnęła się, gdy dostrzegła niezadowolone na twarzy Wagnera.

– Kto cię uczył przyszywać guziki? – zapytał hardo. – Myślałaś, że możesz zrobić to byle jak, a ja się nie poznam?

Laura nie spodziewała się ataku. Czuła wzbierający w niej strach. Stała blisko Niemca. Odruchowo się skuliła.

– Rusz się, bo nie mam czasu tu siedzieć – ponaglił.

Szymon podał Laurze płaszcz. Okazał się bardzo ciężki, dlatego Laura położyła go na biurko i odszukała miejsce, w którym brakowało guzika. Trzęsącymi się palcami wybrała odpowiedni guzik i usiadła, by go przyszyć.

– Baczność! – wrzasnął podporucznik.

Laura poderwała się i wypuściła guzik, który potoczył się pod biurko.

– Nie pozwiliłem ci usiąść – zauważył Wagner, podchodząc do niej. Wystraszona, nie śmiała podnieść wzroku. – Ale skoro masz zamiar tym razem dobrze wykonać pracę, to wystarczy, że mnie ładnie poprosisz, a ja będę dla ciebie łaskawy.

Milczała, nie wiedząc, jak powinna postąpić.

– Laura nie zna dobrze niemieckiego – usiłował wytłumaczyć Szymon, łudząc się, że tymi słowami nie narazi Laury na nic gorszego.

– Każdy powinien znać język najpotężniejszego narodu na świecie – zauważył jeszcze bardziej rozjuszony Niemiec i rzucił niedopałek na podłogę. Przygasił go ciężkim butem.

– Proszę się nie gniewać, już naprawiam płaszcz – odezwała się, marząc o tym, by ta rozmowa jak najszybciej się skończyła.

– A jednak potrafisz mówić. Nie wstyd ci, że mnie okłamałaś? – Wagner chwycił Laurę za brodę, zmuszając ją w ten sposób, by na niego spojrzała.

– Przepraszam – szepnęła.

Przez chwilę przyglądała się jej, przekrzywiając głowę na boki. Później dotknął jej włosów. Przed wojną były gęste i długie. Teraz od dawna ich nie obcinała, dlatego sięgały jej do pasa, ale straciły dawny blask.

– Ty nie jesteś Żydówką – stwierdził.

Drgnęła, jakby właśnie przyłapała ją na potwornym kłamstwie. Znowu spuściła wzrok i mocno zacisnęła wargi.

– Dlaczego jesteś w getcie? – drążył, ponownie przekrzywiając głowę.

Nie odrywała wzroku od podłogi, koncentrując się na tym, by uspokoić coraz szybszy oddech.

– Mów! – ponaglił. – Albo sam się dowiem, a wtedy nie będzie już tak miło!

Odczrząknęła i zerknęła na Szulca. Ten lekko skinał głową. Wiedział, że ukrywanie prawdy nie ma sensu i może przysporzyć groźnego wroga zarówno Laurze, jak i młodemu Lewiatanom.

– Jestem Polką – wyjaśniła.

– To co tutaj robisz?

– Mój mąż jest Żydem, więc nie mogliśmy się rozstać.

– Mąż? – zaśmiał się. – Godne pożałowania. Wszłaś tu dla jakiegoś śmierdzącego pomiotu, choć mogłaś wybierać wśród Polaków? W sumie to niedużo lepszy wybór... – urwał i zmienił temat. – Dlaczego kobiety są tak głupie i najpierw się zakochują, a potem żałują swoich wyborów? Bo mam nadzieję, że już do ciebie dotarło, jaką głupotę zrobiłaś?

Laura chciała zemdleć. Może to uchroniłoby ją od odpowiedzi. Nie mogła powiedzieć, że za każdym razem, gdy myśli o Dawidzie, jej serce rozpada się na miliony kawałków. Musiała jak najgłębiej ukryć prawdę.

– To głupota, a za błędy trzeba płacić – skłamała.

– Dobrze, że chociaż teraz to widzisz – pochwalił Wagner, a jego głos stał się łagodniejszy. – Bierz się do szycia, bo już i tak straciłem przez ciebie dużo czasu – dodał i wyjął kolejnego papierosa.

Laura, wciąż drżąc, przyszyła guzik i oddała płaszcz podporucznikowi.

– Żeby tylko znowu nie odpadł – powiedział, a jego słowa zabrzmiały jak groźba.

Głośno przełknęła ślinę, ale nie odezwała się, na powrót wbijając wzrok w podłogę. Podniosła go dopiero wówczas, gdy Szulc wyszedł odprowadzić Wagnera. Bez sił opadła na fotel i zamknęła powieki, modląc się, by nigdy więcej nie spotkała na swojej drodze tego człowieka.

\* \* \*

Ostatnią Wigilię Laura obchodziła w trzydziestym dziewiątym. Wojna trwała wówczas od czterech miesięcy, jednak wszyscy byli przekonani, że szybko się zakończy. Po kolejnych trzech latach nadzieja wciąż tliła się w sercach mieszkańców okupowanych obszarów, choć płomień przygasał z każdym kolejnym dniem.

W tym roku Laura już nawet nie marzyła o Wigilii. Wiedziała, że dokładnie za miesiąc przypada dzień narodzenia Jezusa. Ona tymczasem myślała o tych, którzy odeszli.

Jak co wieczór po powrocie z pracy zaczęła przygotowywać skromny posiłek. Właśnie nakładała na talerze ugotowaną na wodzie kaszę jęczmienną, gdy ktoś zakrył jej oczy.

– Ej! – Wzdrygnęła się zaskoczona. – Co się dzieje?

– Mam dla ciebie niespodziankę z okazji twoich świąt – odezwał się Józef.

Uspokoila się, słysząc znajomy głos i pozwoliła poprowadzić się do pokoju. Kiedy otworzyła oczy, oniemiała. Dostrzegła zawieszoną przy suficie gałązkę jemiolo.

– Podobno to na szczęście – roześmiał się Józef. – A jak się zaszusy, to przetrwa do Bożego Narodzenia.

– Wszystkiego dobrego – dołączył Elias, uśmiechając się.

Wzruszenie sprawiło, że słowa uwięzły Laurze w gardle. Uśmiechnęła się i objęła szwagrów. Byli jej rodziną i choć różniła ich religia i kultura, to potrafili dbać o siebie nawzajem i szanować swoje tradycje.

Przy kolacji zauważyła markotną minę Szymona. Próbowła dowiedzieć się, czy coś się stało, ale zbywał ją. Zaczekała więc, aż chłopcy położą się i zasną.

– Nie śpisz? – upewniła się.

– Nie – szepnął.

– Czym się martwisz?

– Niczym. Ty spać.

– Nie kłam. Wiem, że jest coś na rzeczy. Możesz mi zaufać.

– I tak nic na to nie poradzić – zaczął niepewnie. – Tak musi być.

– Teraz to już na pewno musisz mi powiedzieć. – Wstała z łóżka i usiadła przy nim. – Co się dzieje?

Chwilę zwlekał, ale wiedział, że Laura nie zrezygnuje. W końcu zdecydował, że miała prawo wiedzieć.

– Ja dostać rozkaz, żeby oddelegować wszystkich mężczyzn do pracy przy budowie ogrodzenia – wyjaśnił.

– Jakiego ogrodzenia? Chcą je podwyższyć czy naprawić?

– Innego. Nowego. Nie wiedzieć, gdzie i po co, ale najważniejsze, że Józef i Eliaz zostali przydzieleni do tej roboty i do końca roku tam się meldować.

– Praca na mrozie przez dziesięć godzin dziennie? Oni tego nie wytrzymają – przeraziła się Laura. – To jeszcze dzieci.

– Nie według urzędników.

– Ja pójdę zamiast nich.

– Ty oszaleć. Ty być kobietą i na pewno nie wytrzymać. To ciężka robota.

– Muszę spróbować.

– Nie udać się. Oni muszą to zrobić. Może nie być tak źle – spróbował ją przekonać, choć wiedział, że to niemożliwe. – Ja zobaczyc, co można zrobić. Tylko ty nie robisz głupot. Obiecać mi to?

Laura nie chciała składać obietnic bez pokrycia. Odpowiadała za życie tych chłopców i nie mogła pozwolić, by coś im się stało. W tej chwili nie miała jednak żadnego pomysłu, jak im pomóc. Pozostało jej czekać na to, co ustali Szulc.

Rano Laura szczególnie bacznie przyglądała się wkładanym przez chłopców ubraniom. Nie obyło się bez utyskiwań. Laura nie chciała słyszeć o tym, że wyjdą w jednej parze spodni. Oni nie potrafili zrozumieć, dlaczego mają włożyć aż dwie pary. Wreszcie ze wsparciem przyszedł Szulc, który dla przykładu włożył drugą parę spodni, bo na dworze panowały kilkunastostopniowe mrozy.

Laura przez cały dzień siedziała w szwalni jak na szpilkach, była tak rozkojarzona, że co chwilę kłuła się w palce. Pod koniec dnia jej dłonie napuchły i posiniały, ale nie zwracała na nie uwagi. Z utęsknieniem czekała na moment, gdy będzie mogła wrócić do domu i upewnić się, że chłopcy są cali i zdrowi.

Pierwsza wybiegła z hali, nawet nie zaczekała na Szulca. Czym prędzej dotarła do kamienicy i wbiegła po schodach na górę. Jednak w mieszkaniu nie zastała ani Józefa, ani Eliasza. Usiadła, ciężko dysząc. Kilka minut później zjawił się Szymon. Widząc twarz dziewczyny, nie musiał pytać, co się stało. Położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie zacisnął pace.

– Jeszcze nie być późno. Oni zaraz wrócić – obiecywał, choć nie miał pewności.

Laura zamknęła oczy i spróbowała odgonić czarne myśli kotłujące się w jej głowie. Nie miała wyjścia, musiała czekać.

Pół godziny później drzwi się otworzyły i w pokoju pojawił się Józef. Ciężko opadł na krzesło i próbował wyrównać oddech. Laura uklękła przed nim i się uśmiechnęła. On jednak siedział niewzruszony niczym kamień, nie odzywał się. Był przemarznięty, dlatego Laura pozwoliła mu się rozgrzać i dopiero po chwili zaczęła zdejmować mu czapkę, płaszcz i rękawiczki. Wówczas dostrzegła jego zeszytniałe, mocno zaczerwienione palce.

– Co się stało? – zaniepokoiła się.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Jutro dam ci swoje rękawiczki – zaproponowała.

– To nie ma sensu – odezwał się wreszcie.

– Będzie ci cieplej – tłumaczyła. – Już i tak masz przemarznięte dłonie. Zaraz zagrzeję wodę i spróbujesz je wymoczyć.

– Jutro będzie to samo – burknął pod nosem. – Ręce Eliasza wyglądają jeszcze gorzej.

– A gdzie on jest?

Laura poderwała się z miejsca, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o chłopcu.

– Grzeje się przy kuchence.

Laura wybiegła do kuchni. Chłopak stał z przekrwionymi dłońmi nad kuchenką.

– Co się stało? Dlaczego odmroziliście palce? Przecież kazałam wam zabrać rękawiczki.

Eliasz spojrział na nią zbołałym wzrokiem i przez chwilę milczał, skupiając całą uwagę na ogrzewaniu dłoni. Wreszcie się odezwał:

– Kazali nam zdjąć rękawiczki, żebyśmy mogli równo przybijać deski do ogrodzenia.

– W taki mróz? To szaleństwo! Przecież za kilka dni straciecie dłonie!

Laura wróciła do pokoju i z czułością dotknęła rąk Józefa.

– Boli? – spytała.

– Raczej swędzi i szczypie.

– To doby znak – ucieszyła się. – Krew zaczyna krążyć. Chodź do kuchni, żeby się rozgrzać.

Teraz obydwaj bracia stali przy żeliwnej kuchence i trzymali nad nią wyciągnięte dłonie. Laura zaparzyła zioła i podała chłopcom kubki z gorącym naparem.

– Ja mieć coś idealne – oświadczył konspiracyjnym tonem Szulc i napełnił gliniany kubek czerwonym płynem przyniesionym w wąskiej piersiówce. Podał go Józefowi. Ten pociągnął łyk i zakrztusił się, ale nie oddał kubka. Po chwili napił się więcej. Dopiero kiedy zobaczył dno, zwrócił kubek Szulcowi. Ten nalał wina Eliaszowi. Chłopak skrzywił się przełykając alkohol, ale opróżnił kubek do dna.

Laura miała ochotę odebrać chłopcom wino, a Szymonowi dać do wiwatu. Ostatecznie jednak postanowiła zaczekać na efekty, zdając sobie sprawę, że nie ma nic lepszego do zaferowania.

– W innych okolicznościach chętnie bym wypić razem z tobą – wyjaśnił Szymon – ale nigdy nie widomo, kiedy jeszcze potrzebować czegoś mocniejsze na rozgrzanie się, więc na razie ja chować mój złoty środek przeschmuglowany zza płotu jeszcze na początku, gdy nas tu zamkną.

– Wtedy myśleliśmy, że już nie może być gorzej, a jednak od czasu do czasu udawało się zdobyć jakieś warzywa czy kawałek słoniny od przemytników – zauważyła Laura. – Teraz nawet nie ma co o tym myśleć.

– Ja zabunkrować kilka flaszeczek z drogocennymi lekarskami. – Szymon mrugnął porozumiewawczo. – W razie potrzeby będziemy się kurować.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale widok przemarznętych dłoni chłopców uświadomił jej to, że jutro może być jeszcze gorzej.

– Co tak naprawdę tam robicie? Po co ten płot? Co oni znowu wymyślili?

– Nikt nic nie mówi, ale to długie i wysokie ogrodzenie – wyjaśnił Józef. – Eliasz zawieźli w inne miejsce.

– Może powstanie jakieś nowe więzienie albo coś jeszcze gorszego – zauważył drugi z braci, po czym zjadł kawałek chleba, ucałował ręce Laury i wyszedł do pokoju, żeby się położyć.

– Ty też odpocznij – zwróciła się Laura do Józefa.

Chłopak przeżuł swoją pajdę chleba i podążył za bratem.

– Jutro ich nie puszczę – zdecydowała Laura, gdy zostali z Szymonem sami. – Powiemy, że się rozchorowali. Jeśli nie uwierzą, to wyślemy ich do szpitala, żeby opatrzyli im dłonie.

– To się nie udać.

– Musimy coś zrobić, zanim stracą ręce!

– Ja coś wymyślić, ale jutro oni muszą iść do pracy.

Laura zacisnęła zęby, odwróciła się na pięcie i wróciła do pokoju.

W nocy słyszała, że chłopcy długo kręcą się na posłaniu, nie mogąc zasnąć przez dokuczliwy ból. Serce jej się krajało, ale ufała, że Szymon zdoła pomóc jej szwagrom.

Rankiem nie musieli pilnować chłopców. Bez ociągania włożyli dwie pary spodni, a onucami otulili nogi niemal po kolana. Szymon przeszukiwał szafę. W końcu wyjął pozostawioną przez Elizę spódnicę i zaczął ją drzeć na wąskie paski. Cała trójka z uwagą śledziła te poczynania. Wreszcie Szymon podszedł do Józefa i zaczął owijać jego dłonie materiałem, pozostawiając odsłonięte palce. Ponad przegubami zawiązała końce pasków i obciągnęła rękawy. Tę samą czynność powtórzył raz jeszcze, stając przed Eliaszem.

– To być lepsze niż nic, prawda? – zwrócił się do Laury. – Teraz wy wciągając rękawice i przez drogę ich nie zdejmować nawet na moment – nakazał.

To nie zdołało całkowicie uspokoić Laury, jednak nie miała lepszego pomysłu. Razem wyszli z mieszkania i ruszyli do pracy. Po kilkudziesięciu metrach chłopcy skręcili w boczną uliczkę i pomaszzerowali w stronę Brackiej. Szymon pociągnął Laurę za rękę. Ociągała się, lecz w końcu dała za wygraną.

W szwalni znowu nie mogła zapanować nad nerwami. Nitka jej się plątała, a ścięg w nogawicach, które podszywała, wyglądał źle, w dodatku całość brzydko się marszczyła. Musiała więc wypruć nici i dokonać poprawek.

Po pracy, nie oglądając się na Szymona, pognęła w stronę ulicy Przemysłowej, by jak najszybciej spotkać się z chłopcami. Miała nadzieję, że dzisiaj pilnujący ich Niemcy pozwolili im zostać razem i nie kazali rozwinąć zabandażowanych dłoni. Przyspieszyła kroku. Wreszcie stanęła przed długim płotem wzniesionym wzdłuż Brackiej i wśród pracujących mężczyzn wypatrywała chłopców. Szła wzdłuż ogrodzenia, jednak nie odnalazła szwagrów. Już dawno zrobiło się ciemno. Zatrzymała się w miejscu, w którym, jak przypuszczała, powstawała brama wjazdowa do odgradzonej części, i przestępując z nogi na nogę, by się nieco rozgrzać, obserwowała kręcących się wokół płotu robotników. W tym czasie podjechały dwie ciężarówki wyładowane deskami. Kilku policjantów nakazało robotnikom rozładować materiały. Zmęczeni całodzienną pracą na mrozie mężczyźni wolno podchodzili do samochodów i zdejmowali z nich długie deski, z którymi znikali za bramą. Laura nie miała wątpliwości, że wznoszone ogrodzenie będzie jeszcze dłuższe, niż przypuszczała.

Robiło się coraz później i coraz zimniej. Zaczęła więc mocno zacierać ręce i zmuszać palce u rąk i u nóg, by zaczęły się poruszać. Wełniane rękawiczki wydziergane przez Anetę naprawdę się przydały. Laura naciągnęła czapkę na uszy i przespacerowała się kawałek, w myślach licząc upływające minuty. Kiedy wracała, zauważyła parkujący przed wejściem czarny citroen, z którego wysiadł Wagner. Rozpoznała jego sylwetkę jeszcze zanim się odezwał. Natychmiast odwróciła się na pięcie i przeszła na drugą stronę ulicy, nie chcąc rzucić się w oczy. Było jednak za późno.

– Stój! – usłyszała.

Zatrzymała się i zamarła. Odwróciła się powoli i spuściła wzrok. Nie potrzebowała kłopotów.

– Tak myślałem, że to ty – stwierdził Wagner triumfalnie. – Całe szczęście, że cię spotkałem, bo nie lubię chodzić do tej jaskini przesyconej żydowskim smrodem, a znowu urwał mi się guzik. Chyba w ogóle nie przykładasz się do roboty. – Pogroził jej palcem odzianym w skózaną rękawiczkę.

– Mogę go przyszyć w dogodnej dla pana chwili – powiedziała Laura, wciąż nie podnosząc wzroku.

– To faktycznie dobrze brzmi – stwierdził i niespodziewanie się roześmiał, czym tak bardzo ją zaskoczył, że odruchowo zerknęła w jego kierunku. Jego jasna cera poczerwieniała z zimna, a koniuszek nosa zsiniał. Krótko przystrzyżone blond włosy zasłaniała mocno naciągnięta na głowę czapka. Górował nad nią o całą głowę, przez co czuła się jeszcze niższa. – Mam nadzieję, że Hitler już niedługo doceni moje zaangażowanie i awansuję, bo mam już dość tytułu podporucznika.

– Na pewno – Laura ochoczo potwierdziła, z nadzieją, że to wystarczy, by zostawił ją w spokoju i pozwolił odejść.

– W związku z tym w każdej chwili muszę być gotowy na awans i mieć nieskazitelną garderobę, a ty o to zadbasz.



Wybałuszyła oczy i wyteżyła słuch. W szkole nauczyciel języka niemieckiego chwalił jej wymowę i umiejętność prowadzenia dialogów, ale być może zdenerwowanie nie pozwalało jej zrozumieć sensu wszystkich słów Wagnera, dlatego nie pojmowała, czego znowuż od niej chce. Skrzywiła się w kwaśnym uśmiechu, nie wiedząc, co powinna odpowiedzieć. W tej samej chwili za plecami Wagnera usłyszała nawoływania jej podopiecznych.

– Proszę przynieść wszystkie ubrania wymagające poprawek, a ja się nimi zajmę – powiedziała, chcąc już zakończyć rozmowę. Wiedziała, że nie ma prawa odejść. Musiała więc zrobić wszystko, by przekonać tego człowieka, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

Przestępowała z nogi na nogę, wyczekując na pozwolenie odejścia.

– Zapraszam do środka – usłyszała i ponownie podniosła wzrok na swojego rozmówcę. Wskazywał na auto, którym przyjechał. – Miałem skontrolować postęp prac przy ogrodzeniu, ale już na pierwszy rzut oka widać, że robota idzie do przodu, więc nie ma potrzeby wchodzić dalej. Wolę, żebyś od razu zajęła się moją garderobą.

Laura szeroko otworzyła oczy i zrobiła kilka głębszych wdechów, usiłując zebrać galopujące myśli.

– Wsiadaj – ponaglił, nieco mniej przyjemnym tonem. – Już dostatecznie zmarzłem!

Laura powoli zbliżyła się do samochodu, kątem oka obserwując zdziwienie malujące się na twarzach Eliasza i Józefa. Ten ostatni już biegł w jej stronę. Potrząsnęła więc głową i czym prędzej wsiadła do auta, modląc się w duchu, by Józef nie zdradził się, że są sobie bliscy.

Wagner wskazał jej miejsce na tylnym siedzeniu, sam zaś usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Obejrzała się. W tylnej szybie dostrzegła Eliasza usiłującego zatrzymać Józefa.

Przegrała. Nie dotrzymała obietnicy danej Abigail. Pozostawiła chłopców na pastwę losu. Miała tylko nadzieję, że Szymon Szulc zaopiekuje się nimi. Widocznie jej nie było to pisane.

## ROZDZIAŁ III

### MALEŃKIE SUKCESY

Józef schował dwa gwoździe do kieszeni i ukradkiem zerknął na kręcącego się policjanta, by się upewnić, że ta zuchwała kradzież ujdzie mu na sucho. Potem dał znak Eliaszowi i zebrali narzędzia, których używali przy wznoszeniu kolejnego bloku mieszkalnego na oddzielnym od reszty getta placu.

Na początku grudnia skończyli budowę ogrodzenia i kilku pawilonów. Jak się okazało, było to miejsce dla Polaków, a w zasadzie dla polskich dzieci, które po stracie rodziców wałęsały się i kradły, by przeżyć. Teraz miały trafić w odizolowane miejsce, z którego jedyna droga ucieczki prowadziła przez getto.

W obozie przewencyjnym, jak nazywali go naziści, kilkanaście obiektów między ulicą Emilii Plater oraz Bracką już istniało, jednak trzeba było zorganizować szpital czy stołówkę. To dlatego wielu Żydów wciąż pracowało przy wznoszeniu budynków.

Eliasz zeskoczył z rusztowania i razem z innymi pracownikami odniósł narzędzia do niewielkiej komórki przy ulicy Przemysłowej, stanowiącej główną drogę w obozie. Józef zapobiegawczo przełożył gwoździe do ust, później bracia włożyli rękawiczki na posiniałe dłonie i razem przeszli obok komendantury, po czym skręcili w lewo. Z baru mieszkalnego wychylił się chłopak. Józef widział już go kilka razy, gdy odśnieżał ulice przecinające obóz. Miał obszarpaną kurtkę i spodnie rozdarte na kolanie. Widocznie znów nakazano mu odgarnąć śnieg, bo wziął stojącą przy ścianie drewnianą łopatę i ciągnąc ją za sobą, ruszył w przeciwnym kierunku do tego, w jakim zmierzali Lewiatanowie. Na moment ich spojrzenia spotkały się, jednak wiedzieli, że nie mają prawa rozmawiać. Młody Polak wbił wzrok w ziemię i poczapął na koniec obozu.

Żydowscy robotnicy dotarli do wartowni i po niezbyt wnikliwym przeszukaniu wyszli na Bracką bramą przy śmietniku.

Józef wypluł gwoździe i dumny z siebie roześmiał się.

– Głupi to zawsze ma szczęście – zażartował, gdy ruszyli w stronę domu.

– Albo ten, co się urodził pod szczęśliwą gwiazdą – zauważył Eliasz i poklepał brata po ramieniu.

Józef roześmiał się, jednak zaraz zaburczało mu w brzuchu, dlatego przyspieszył kroku. Zjadłby nawet zupę z brukwi, którą podawano małym więźniom w obozie. Im przysługiwała porcja chleba, którą niemal połykali w całości. Sieroty przypatrywały się wtedy, najpewniej marząc o małej kromce do zupy. Nawet najmłodsze dzieci od pierwszego dnia pobytu w obozie musiały zasłużyć na jedzenie. Starsi chłopcy naprawiali drzwi i okna. Niemal każdego dnia przyjeżdżały kolejne transporty z sierotami, dla których ośrodek miał stanowić miejsce resocjalizacji i nauki obowiązków. Eliasz z Józefem codziennie widzieli musztrę, jakiej podlegały dzieci, a każdy najmniejszy przejaw niesubordynacji nadgorliwi strażnicy natychmiast karali. Bliźniacy często, nie chcąc patrzeć na przemoc, odwracali głowy. Inaczej nie byłoby w stanie pracować, a to mogło się źle skończyć dla nich samych.

Chłopcy zauważyli, że przed bramą zatrzymała się ciężarówka. Nie do końca zaciągnięta plandeka odsłoniła dzieci ściśnięte jedno obok drugiego.

– Następni – stwierdził smutno Eliasz.

– Myślisz, że oni wszyscy są przestępcami?

– Nie wyglądają na takich.

– Ale z jakiegoś powodu tu trafili.

Eliasz się zamyślił. Dotychczas uważał, że nie ma nic gorszego od życia w getcie. Kilka tygodni temu przekonał się, że Hitlera stać na więcej. Znacznie więcej.

– Lepiej się pospieszmy, bo spóźnimy się do domu, a Szymon nie znosi na nas czekać.

Józef zaczął biec. Eliasz, choć ostatnio podrosł, wciąż nie mógł dogonić brata. Gnał za nim co tchu, chciał jak najszybciej zapomnieć o widoku samotnych dzieci skazanych na niewolniczą pracę.

Kiedy dotarli do domu, już na schodach usłyszeli hałas, jakby ktoś demolował mieszkanie. Józef szarpnął za drzwi i wskoczył na korytarz. W ciemności niewiele widział, jednak natychmiast się zorientował, skąd dochodziła wrzawa. Czerninowie coraz głośniejsze się kłócili, całkowicie lekceważąc obecność współlokatorów. Jednak kiedy awantury się kończyły, każde z nich w milczeniu miało pozostałych mieszkańców. Samuel, wykończony ciężką panującą w jego pokoju, siadał od czasu do czasu w rogu kuchni i obserwował toczące się wokół niego życie. Rzadko się odzywał, a jeśli już, to psioczył na za mały przydział jedzenia. Izabela wciąż nie pracowała, więc nie należały jej się raczej żywnościowe. Zazwyczaj przez całe dni leżała zwinięta w kłębek na łóżku i wpatrywała się przed siebie. Nie odpowiadała, gdy mąż zadawał jej jakiegokolwiek pytania. Nie jadła, gdy jej nie nakarmił. I choć nie wstawała, to rzadko spała. Jej smutny wzrok spoczywał na jednym zdjęciu ustawionym na wysokiej komodzie. Tysiąc razy dziennie odtwarzała moment, który został utrwalony na fotografii. Było to na kilka tygodni przed wejściem do getta. Jeszcze nie wiedziała, że jest w ciąży z czwartym dzieckiem. Troje kilkulatków niepewnie spoglądało w obiektyw aparatu, nie mając zaufania do czarnego pudła, za którym chował się fotograf. Wówczas nie mieli pojęcia, że wkrótce strach będzie im towarzyszył na każdym kroku.

Józef i Eliasz przemknęli przez korytarz i weszli do pokoju, w którym mieszkali.

– Dobrze, że już wróciliście – przywitał ich Szulc, wstając. – Zupa wystygła.

– Znowu nas trochę przetrzymali – wyjaśnił Józef. – Ale na pocieszenie udało mi się wynieść dwa gwoździe – pochwalił się zdobyczą, którą natychmiast wrzucił do słoja przeznaczzonego na łupy.

Najchętniej wymieniliby wszystkie w worek mąki lub ziemniaków, ale o tym mógł jedynie pomarzyć. Mieszkańcy getta mieli też inne potrzeby, a wśród nich obuwie, bieliznę czy choćby mydło. Jeżeli istniał jakiś towar na wymianę, to należało go wykorzystać. I właśnie tę zasadę szybko zrozumieli młodzi Lewiatanowie.

– Dzisiaj rozmawiałem z sąsiadką z parteru i powiedziała, że potrzebuje gwoździ do zbiccia łóżka. W zamian daje kilka świeczek – poinformował Szymon i wyszedł do kuchni.

Chłopcy ruszyli za nim. Rozbadażowali dłonie, które jedynie dzięki pomysłowi Szulca jeszcze nie odmarzły, i porządnie się umyli. Dopiero gdy włożyli czyste koszule, złapali za łyżki, czując, że Laura byłaby z nich dumna. Łapczywie połykali kartoflanek. Jutro znowu mieli zameldować się do pracy w obozie. Pilnujący ich policjanci przebąkiwali o tym, że prace mają się zakończyć w styczniu. Wiosną cały obóz stanie się jednym wielkim miejscem pracy.

Eliasz marzył o powrocie do szwalni. Zdecydowanie bardziej lubił tę pracę. Józef starał się jak najwięcej skorzystać na tym, że pracowali na budowie. W getcie o remoncie mogli tylko marzyć. Nikogo nie interesowało, że przy oknach odpadł kit, a drzwi się wypaczyły.

Po kolacji zagrali w warcaby, które sami zrobili – pomalowane na dwa kolory kamyki układali na kraciastym obrusie. Eliasz wygrał dwa razy, co zezłościło Józefa. Uspokoiła go dopiero wygrana z Szymonem i choć wiedział, że dostał fory, to czuł satysfakcję.

Zmęczeni ciężką pracą i całodziennym wysiłkiem, wcześniej położyli się spać. Na szczęście krzyki dochodzące z mieszkania Czerninów ucichły, mogli więc spokojnie wypocząć. Jutro czekał ich kolejny pracowity dzień.

Rano, nie chcąc obudzić Szymona, szybko wstali i zabrali swoje ubrania do kuchni. Tam je włożyli. Józef rozkroił ćwiartkę chleba i schował swoją porcję do skróconego przez Laure płaszcz. Eliasz zrobił to samo ze swoją częścią bochenka.

Było jeszcze ciemno, gdy wyszli na ulicę. Na szczęście śnieg przestał padać. Styczeń tysięcy dziewięćset czterdziestego trzeciego należał do wyjątkowo białych. Od kilku dni mróz nie był już tak uciążliwy, ale duże przymy śniegu leżały wzdłuż ulicy.

Chłopcy szybko doszli do bramy wejściowej. Zaspiani wartownicy ledwie zerknęli w pokazane im dokumenty i wpuścili robotników do środka. Bracia najpierw musieli pójść do szopy po narzędzia. A później czekali na przydział zadań. Czasem pracowali razem, ale zdarzało się, że rozdzielano ich po obozie i wtedy przez cały dzień się nie widzieli.

Dzisiaj mieli pracować od strony ulicy Emilii Plater, gdzie powstała pralnia i łaźnia. Właśnie ruszyli, gdy dostrzegli kilku chłopców idących z przeciwnej strony. Wszyscy dźwigali zarzucone na ramiona szufle do odśnieżania. Wśród nich dostrzegli znajomego chłopca. Szedł ze spuszczoną nisko głową. Jego sine palce wczepione w łopatę zdawały się martwe. Z Przemysłowej skręcili w lewo i minawszy warsztat rymarski, przeszli prosto. Brygada robotników ruszyła w ślad za nimi. Później chłopcy rozdzielili się i tylko jeden skręcił w prawo, a zaraz za nim nadeszli inni robotnicy. Wszyscy minęli jadalnię oraz izbę chorych dla dziewcząt i małych dzieci, po czym weszli na odgrodzony od reszty teren. Chłopiec jak na komendę opuścił łopatę i zapał się z całych sił, by zgarnąć śnieg z trasy, którą kroczyli robotnicy. Któryś ze starszych mężczyzn idący tuż za Eliaszem szepnął, że weszli na część wydzieloną dla dziewcząt. Tu się rozdzielili. Chłopiec powoli sunął wzdłuż bloku mieszkalnego, w którym zakwaterowanych było już kilka dziewczynek. Żydowski pracownicy, brodząc w śniegu, ruszyli w stronę łaźni. To tutaj mieli osadzić drzwi zewnętrzne oraz wstawić niewielkie okienka.

Chłopcy wiedzieli, że im szybciej zaborą się do pracy, tym szybciej minie im kolejny dzień. Weszli do środka i zgodnie z poleceniem dowodzącego brygadą zaczęli zbijać futrynę. Tymczasem starsi mężczyźni mierzyli i docinali deski na drzwi. Inna ekipa zajęła się oknami. Józef wbił gwóźdź w dłuższą belkę, by połączyć ją z krótszą. Następnie przybił jeszcze dwa, czego pół godziny później mocno żałował. Okazało się bowiem, że belki wchłonęły wilgoć, a przez to wypaczyły się i należy je nieco skrócić. Konieczne było wyjęcie gwoździ. Kiedy około południa udało im się wreszcie zamocować zawiasy, odgwizdali sukces. Odetchnęli i na moment przysiedli w wejściu.

– Widziałeś? – zagaił Eliasz, wskazując palcem w stronę chłopaka. – Cały czas pracuje.

– Chyba się rozgrzał, bo rozpiął palto – zaśmiał się Józef.

– Ale rękawy ma naciągnięte niemal na palce.

Józef w końcu się zreflektował i zmienił ton.

– Pewnie już dawno je odmroził.

– Gdyby nie Szymon, też byśmy mieli ten sam problem.

– Kiedy wreszcie skończy się ta przekłeta zima?

– Kiedy skończy się ta przekłeta wojna?

Przez chwilę milczeli, pogrążeni we własnych myślach, dopóki majster nie pogonił ich do pracy. Przerwę mieli dopiero za godzinę. Młodzi pracownicy powrócili do obróbki drzwi, jednak od czasu do czasu spoglądali na krążącego pośród budynków niewiele młodszego od nich Polaka. Chłopak ciężko dyszał. Przez chwilę stał oparty o łopatę i próbował wyrównać oddech. Niespodziewanie z budynku izby chorych wybiegła kobieta i krzycząc coś po niemiecku, poczęła okładać go cienką różgą. Widzieli, jak chłopiec zasłania głowę i twarz, by uchronić się od ciosów. Wreszcie upadł i zwinął się w kłębek. Teraz kobieta zajadła chłostała jego plecy. Chwilę jej zajęło, zanim pojęła, że palto w znacznym stopniu chroni jego wątłe ciało. Rozdrażniona kopnęła go i wróciła do budynku. Chłopiec jeszcze chwilę leżał nieruchomo. Wreszcie powoli zaczął się podnosić.

Eliasz zerknął w stronę majstra, a potem upewnił się, że rozjuszona kobieta już im nie zagraża i podbiegł do chłopca.

– Ostrożnie, pomogę ci – odezwał się, chwytając go za rękę.

– Aaaa – jęknął tamten.

– Bardzo cię pobila?

– Nie – odparł i wyrwał swoją dłoń.

Dopiero wtedy Eliasz dostrzegł łuszczącą się skórę na dłoniach chłopaka.

– Boli?

– Nie tak bardzo. Staram się o tym nie myśleć. Najgorzej jest w nocy, bo skóra strasznie mnie swędzi. Czasem nie mogę zasnąć, bo mam wrażenie, jakby mnie oblażło stado mrówek.

Eliasz wyjął rękawiczki zrobione przez Anetę i podał je chłopcu.

– Załóż – polecił, a gdy tamten się wahał, począł mu je naciągać na dłonie.

Chłopak, nie dowierzając, spoglądał to na rękawiczki, to na Eliasza.

– Ale ja nie mam nic na wymianę. Nikt mi nie przysłał paczek, bo moi rodzice umarli. A nawet gdyby ktoś coś chciał mi podarować, to wartownicy większość rzeczy i tak by zabrali. Niektóre dzieci dostają pudełka, ale są one niemal puste.

– Daj spokój, to jest prezent. – Eliasz machnął ręką, jakby w kieszeniach miał jeszcze co najmniej dwie kolejne pary rękawic. – Niech ci służą.

– Dziękuję – powiedział wzruszony chłopak. Właśnie otwierał usta, by dodać coś jeszcze, gdy usłyszeli dźwięk trąbki obwieszczejacej przerwę obiadową, chwycił więc łopatę i ruszył w stronę wyjścia, by zameldować się w stołówce.

– Jak masz na imię? – rzucił za nim Eliasz.

– Marian – odparł. – Marian Kluka.

– Jestem Eliasz Lewiatan.

– Dzięki! – Marian pokazał rękawiczki i pomaszerował na obiad.

Eliasz wrócił do łaźni i opowiedział Józefowi o spotkaniu i prezencie.

– Myślisz, że Aneta zrobi dla mnie drugie rękawiczki? – spytał, gdy wieczorem wracali z pracy.

Józef poklepał brata po plecach.

– Przekonamy ją do tego – odparł, zastanawiając się, czy zdołają znaleźć motek jakiegó włóczki zdatny do wykorzystania.

\* \* \*

Gdy otworzyła oczy, w mieszkaniu panowała idealna cisza. Natychmiast spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta, więc pewnie wszyscy wyszli już do pracy. Niechętnie wysunęła nogę spod pierzyny i niemal natychmiast ją schowała. Jeszcze przez chwilę delektowała się ciepłem rozgrzanego łóżka, wiedziała jednak, że czekające na nią obowiązki nie znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Odrzuciła kołdrę i chwyciła leżący na oparciu łóżka ciepły sweter. Wciągnęła go, gdy zdjęła koszulę nocną. Później założyła długą wełnianą spódnice i wielokrotnie cerowane, grube bawełniane pończochy. Podeszła do oszronionego okna i wyjrzała na ulicę. Oślepiające promienie słońca odbijały się od śniegu. Zapowiadał się kolejny mroźny dzień. Włożyła palto i narzuciła szal na głowę, po czym szczerze się nim owinęła. Teraz mogła stawić czoło styczniowej aurze.

Laura wyszła na ulicę Spacerową i podążyła w stronę ulicy Zgierskiej. Od kilku dni wracała do domu bardzo późno. Dzięki przepustce, którą otrzymała zaraz po zmianie miejsca pracy, mogła się poruszać po getcie o każdej porze dnia i nocy. Wolałaby jednak pracować razem z Szymonem i nie włóczyć się samotnie po zmroku. Najbardziej ubolewała nad tym, że nie miała okazji porozmawiać z chłopcami. Gdy wracała, oni już dawno spali. Kiedy się budziła, pracowali przy budowie obozu. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Każdego dnia przed wyjściem do pracy obiecywała sobie, że im to wynagrodzi. Przynosząc do domu i układając na stole kawałki czekolady czy kostki cukru, miała nadzieję, że w pewnym stopniu zrekompensuje im swoją ciągłą nieobecność.

Gdy dotarła na miejsce, wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. W mieszkaniu panowała cisza. Zdjęła płaszcz i odwiesiła go. Kiedy wychodziła stąd wczorajszej nocy, miała świadomość, co będzie na nią czekało. Na stole stała pusta butelka po węgierskim winie. W popielniczce leżało kilkanaście niedopałków. Talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia wciąż stały na zachlapanym winem obrusie. Okruchy z upieczonego przez nią ciasta układały się w bliżej nieokreślony wzór. Zebrała je, ale nie wyrzuciła żadnego. Włożyła je do ust i przez chwilę rozkoszowała się smakiem. To był jedyny plus z pracy u Wagnera. Już nie musiały jeść w domu, dzięki czemu chłopcy mieli większe porcje dla siebie. Od czasu do czasu udawało jej się też ukraść jakiś smakołyk, który później lądował na stole w ich mieszkaniu.

Zaczęła sprzątać w salonie, później przeszła do sypialni. Była pewna, że Wagner nie zaścielił łóżka. Nie myliła się. Dbał o to, żeby się nie nudziła. Później ubrała się i poszła odebrać od podwładnego Wagnera zakupy zrobione za drutami. Ziemiaki kupiła kilka dni temu, więc dzisiaj nie musiały ich dźwigać. Później wróciła do domu i zaczęła przygotowywać obiad. Wstawiła ziemniaki i usmażyła gruby plaster boczk. Jej kubki smakowe zwariowały,

wyobrażając sobie smak mięsa, którego nie jadła od tak dawna. Nie mogła się opanować i w pośpiechu wrzuciła na patelnię znacznie cieńszy plasterek. Wyjęła z garnka jeszcze niedogotowane ziemniaki i obserwując przez okno, czy Wagner nie wraca, pochłonęła tę małą porcję. Później starannie wypłukała usta naparem z mięty i zajęła się nakrywaniem do stołu.

Na dworze zdążyło się ściemnić, gdy podporucznik wszedł do mieszkania. Oprócz niego w kamienicy mieszkało jeszcze dwóch oficerów pracujących w getcie. Wszyscy mieli służące, które prały, sprzątały i gotowały mężczyznom, którzy z nich szydzili i traktowali jak bezmyślne istoty. Czasem spotykały się, wchodząc lub wychodząc z kamienicy. Kłaniały się sobie i zamieniały ukradkiem kilka słów. Niemcy nie lubili, gdy marnotrawiły czas. Wiele z tych kobiet zakrywało posiniaczone twarze czy ręce, wiedząc, że i tak nie są w stanie niczego zmienić.

– Co dzisiaj na obiad? – zapytał Wagner, odwieszając płaszcz.

– Ziemniaki kraszone boczkiem.

– Nie było schabu?

Laura przecząco pokręciła głową.

– Ci parszywi Polacy tuczą świnie, a później je zabijają i sami zżerają, a jak potrzeba mięsa dla wojska, to tłumaczą, że mają tylko prosięta, które są zbyt małe. Tyle lat i nie można ich nauczyć, kto tu rządzi.

Laura wolała zejść mu z oczu. Wymknęła się z korytarza i nałożyła dużą porcję ziemniaków, które obficie polała wytopionym z boczku tłuszczem. Później postawiła danie przed Wagnerem, który już czekał przy stole i zaczęła wycofywać się do kuchni, jednak zatrzymała ją jego słowa:

– Jak myślisz, czy wy, Polacy, kiedykolwiek zrozumiecie, gdzie jest wasze miejsce? – spytał, obserwując ją badawczo.

Miała ochotę wykrzyknąć, że jeden człowiek nie ma prawa opluwać drugiego, ale wiedziała, że dyskusja nie ma sensu. Już kilka razy próbowała odpowiedzieć zgodnie z własnymi przekonaniami, jednak wówczas Niemiec wpadał w szał i bił ją, gdzie popadło. Nie chciała znowu okłamywać chłopców, że spadła ze stołu, gdy wieszała franki, albo potknęła się na schodach.

– Polacy nigdy tego nie pojmą – stwierdziła, ważąc każde słowo.

Wagner zaczął jeść, ale najwidoczniej nie usatysfakcjonował go taka odpowiedź.

– Niby jesteście tacy wykształceni. W końcu macie tych swoich naukowców i uniwersytety, a jednak brakuje wam życiowej mądrości – oświadczył szyderczo, jego niebieskie oczy nabrały stalowego odcienia.

Laura wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni, by wymyć sagan i patelnię. Kiedy skończyła, na palcach podeszła do salonu. Wagner wciąż siedział przy stole, choć skończył już posiłek. Laura podeszła więc, żeby zabrać naczynia.

– Nie posprzątałaś na półkach – zauważył.

Powiodła wzrokiem po wskazanym miejscu i dopiero wówczas przypomniała sobie, że wczoraj wieczorem nakazał jej to zrobić zaraz po przyjściu do pracy.

– Nie zdążyłam, długo stałam w kolejce po mięso – tłumaczyła.

– Pewnie gadałaś z tymi wariatkami zatrudnianymi przez moich kolegów – stwierdził i wstał. Podeszedł do niej tak blisko, że czuła zapach jego wody kolońskiej. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Natychmiast spuściła wzrok. – Swoją drogą, jak to się stało, że nikt nie zauważył, że nie jesteś Żydówką? – zastanawiał się, kciukiem podnosząc jej brodę do góry. – A może oni po prostu nie rozumieją segregacji rasowej. Dla mnie to katechizm – dodał, nie kryjąc zniesmaczenia. – Wiesz, że wcześniej nie miałem służącej? Pewnie zastanawiasz się dlaczego?

Kompletnie jej to nie interesowało, ale nie chciała prowokować awantury. Skrzywiła się, jakby rzeczywiście czekała na odpowiedź.

– Nie zniósłbym obecności śmierdzącej Żydówki w swoim domu. Brzydziłbym się zjeść cokolwiek, co by ugotowała. Zresztą nie ufam żadnej z nich. Pewnie chciałyby mnie otruć. – Patrzył na reakcję Laury, ale ta milczała. – Ty wiesz, że gdybyś zechciała spróbować zrobić coś głupiego, to zanim umrę, już zapukają do twoich drzwi i wywloką twoich żydowskich braci, a potem ich rozstrzelają.

Nie musiał jej tego przypominać. Szybko pojęła, że z tym człowiekiem nie ma żartów. Początkowo lęk paraliżował ją, gdy miała coś ugotować. Raz czy dwa zdarzyło jej się przesolić zupę, bała się, że Wagner uzna, że chce go otruć. Robiła więc wszystko, by mu nie podpaść.

– Nie mogę patrzeć na te złodziejki i oszustki – ciągnął Wagner. – Dlatego kompletnie nie rozumiem, po co weszłaś do getta. Czy jakkolwiek Żyd zasługuje na takie poświęcenie? Przecież mogłaś normalnie żyć w Litzmannstadt.

– Normalnie? – nie wytrzymała. – Okupacja nie ma nic wspólnego z normalnością – powiedziała oburzona, nie bacząc na konsekwencje.

Zaskoczyła go tą otwartością. Patrzył na nią z zaciekawieniem.

– Przecież po tamtej stronie drutów toczy się prawie normalne życie. Owszem, to my sprawujemy władzę, ale uczciwi Polacy mogą pracować i żyć prawie tak, jak przed wojną.

– „Prawie” robi wielką różnicę – oświadczyła butnie, ale było już za późno, by cofnąć te słowa.

– Myślisz, że ktokolwiek inny, prowadząc wojnę, martwiłby się o tych, którzy sieją ferment i nie chcą zaakceptować zwycięstwa silniejszego?

Laura wiedziała, że ta rozmowa nie powinna mieć miejsca, bo stoi na przegranej pozycji, jak cała podbijana Polska.

– Musimy tych ludzi trzymać w ryzach, bo oni zupełnie nie rozumieją zasad wojny. Przegrali i powinni to zaakceptować. Gdyby byli pokorni, nie musielibyśmy wystrzelić ani jednego pocisku i organizować więzień. To wy nas do tego zmuszacie.

Patrzyła na tego trzydziestoletniego mężczyznę i zastanawiała się, czy on rzeczywiście wierzy w to, co mówi.

Wagner zamyślił się, usiadł na kanapie i zapalił papierosa. Laura podała mu popielniczkę, ale bała się wyjść bez pozwolenia.

Po chwili znów się odezwał:

– To jak to się stało, że weszłaś do getta?

– Mój mąż jest Żydem i nie mogłam go porzucić – wyjaśniła, odwracając się do regału, by zdjąć książki z półek, z których miała zetrzeć kurz.

Czuła wzrok Wagnera na swoich plecach, ale trzymane w dłoniach papierowe skarby pochłonęły ją. Z coraz większym zainteresowaniem czytała niemieckie tytuły. Niektóre pozycje czytała w ojczystym języku.

– Co tak patrzysz? – zainteresował się. – Umiesz czytać po niemiecku czy tylko podziwiasz obrazki?

– Umiem – przyznała.

– Gdzie się nauczyłaś?

– W liceum.

– I dobrze. Wkrótce to będzie jedyny język, jakim będzie się posługiwać Europa.

Laura ostrożnie układała książki jedną na drugiej, dbając o to, by nie uszkodzić pozłaczanych okładek.

– Takie cuda odkryliśmy w jednym z żydowskich mieszkań. Wyobrażasz sobie, że oni potrafiliby zrobić z tego użytek? Pewnie zabrali jakiemuś wykształconemu Niemcowi, który musiał zastawiać swój majątek, by wykupić długi, a potem już ich nie odzyskał.

Laura wolała milczeć. Gdy zdjęła wszystkie książki, dokładnie przetręła półki wilgotną ściereczką. Następnie skrupulatnie poukładała książki. Przez cały czas czuła na sobie wzrok pracodawcy, dlatego tym bardziej starała się jak najlepiej wykonać pracę.

– Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze? Czy mogłabym już wrócić do domu? – spytała, ściskając w dłoniach ścierekę, której używała do wycierania półek.

Podporucznik skinął głową i zaciągnął się kolejnym papierosem. Laura czuła ten zapach nawet po powrocie do domu, przez co miała wrażenie, że Wagner wciąż przy niej jest.

Otrzymawszy pozwolenie, ubrała się i zbiegła ze schodów. Odetchnęła dopiero, gdy znalazła się na ulicy. Nieliczni przechodnie spieszyli do domu. Laura naciągnęła kołnierz i ruszyła codzienną trasą.

Po powrocie do domu wysłuchiwała opowieści chłopców o pracy w obozie. Szulc cierpliwie czekał na swoją kolej. Kiedy wreszcie jej szwagrowie zasnęli, mogła zamienić kilka słów

z Szymonem. Niepokoił się o nią, odkąd rozpoczęła pracę u oficera Kripo. Nie ufał mu, zwłaszcza po tym, jak porwał Laurę i nie pozwolił jej wrócić do domu przez dwa dni, zanim nie przyszyła mu wszystkich oberwanych guzików i nie zacerowała wełnianych skarpet. Szulc umierał ze strachu, nie wiedząc, gdzie jest.

Teraz za każdym razem, gdy tylko się spotykali, Laura zapewniała go, że Wagner nie stanowi dla niej zagrożenia. Starła się przy tym ukryć wszystkie siniaki, które wykwiwały na jej twarzy. Po każdej awanturze ociągała się z powrotem do domu, aż wszyscy zasną. Nie chciała, by się o nią martwili.

Rano wstała wcześniej, bo chciała pożegnać się z chłopcami przed wyjściem. Rozkroiła chleb i posmarowała go cienką warstwą smalcu, który wczoraj zdołała ukraść z domu pracodawcy. Już od dawna nikt nie wybrzydzał i nie wspominał o przestrzeganiu religijnych tradycji. Józef z uśmiechem na twarzy pochłonął chleb. Laura oddała mu swoją kromkę, wiedząc, że uda jej się zjeść coś u Wagnera. Eliaz, choć wciąż nie dogonił wzrostem brata i może dlatego jałd mniej od niego, dzisiaj też miał ochotę na dokładkę. Laura odkroiła więc jeszcze jedną pajdę z porcji przeznaczonej na kolację i podała chłopcu. Jego radosne oczy były największą nagrodą. Odnotowała w pamięci, że musi też zatroszczyć się o kolację dla siebie przed powrotem od Wagnera.

Posprzątała w kuchni i w pokoju, po czym ubrała się i wyszła na korytarz. Nagle stanęła zdumiona, bo usłyszała głośne zawodzenie dochodzące zza drzwi Czerninów. Laura po raz pierwszy poczuła wdzięczność do Boga za to, że nie pozwolił jej rozkochać się w dziecku, które straciła zaraz po porodzie. Nie wyobrażała sobie bólu, który towarzyszy Izabeli po stracie czworga ukochanych potomków.

Zbliżyła się do drzwi i zapukała. Po drugiej stronie zaległa cisza. Laura stała jeszcze chwilę, wiedząc, że i tak nie doczeka się zaproszenia. W końcu wyszła z mieszkania, śpieszyła się, by zdążyć zrobić zakupy i ugotować obiad przed powrotem Wagnera.

Tego dnia udało jej się dostać pół kury. Postanowiła więc ugotować rosół, a mięso podać z ziemniakami. Gdy wstawiła zupę, miała wrażenie, że oszaleje. Tego zapachu nie czuła od swojego wesela. Smak gotowanego przez Marię rosołu odżył niczym za dotknięciem magicznej różdżki. Znowu była tamtą dziewczyną zakochaną w Dawidzie Lewiatanie, z którym chciała spędzić resztę życia. Kochała go całą sobą i dlatego weszła do getta. Nie przypuszczała tylko, że od przeszło roku każdej nocy będzie zasypiała, marząc o chwili, gdy znów się odnajdą. Nigdy nie dopuściła do siebie myśli, że Dawid mógł umrzeć. Czuła, że żyje, walczy, by kiedyś mogli wspólnie usiąść na ławce w parku i cieszyć się obrazem pływających po stawie kaczek, a może również widokiem biegających wokół nich dzieci, ich dzieci.

W zamyśleniu podeszła do regału z książkami i wyjęła jedną z nich. Nawet nie przeczytała tytułu. Liczyło się tylko to, by na chwilę oderwać myśli od scenariusza snutego każdego dnia. Nie mogła jednak rozsmakować się w tekście. Wymagało to doskonałej znajomości języka, a Laura nie była w nim aż tak biegła. Literaturę wołała czytać w języku ojczystym.

– Lubisz czytać? – usłyszała nagle głos Wagnera. Przestraszona upuściła książkę, ale kiedy ją podniosła, skinęła głową. – Czytałaś coś wartościowego? – zaciekał się.

– Lubię Sienkiewicza, Mickiewicza i Słowackiego.

– Ale to Polacy. Ja pytam o wartościowych autorów, jak Szekspir czy Goethe.

– Znam Szekspirowskich bohaterów uwikłanych w miłosne intrygi i rozgrywki polityczne – odparła dumna ze swojego wykształcenia. Kiedyś myślała o studiach z literatury, ale kiedy pojawił się Dawid, jej plany uległy zmianie.

– To przeczytaj mi coś – nakazał i usadowił się na kanapie, tuż obok niej.

Zaskoczyło ją to polecenie. Mogłaby czytać cały dzień dla swojej przyjemności. Nie znała gustu Wagnera.

– Co mam czytać? – zapytała.

– Lubię Sherlocka Holmesa – oświadczył i rozpiął guzik przy kołnierzyku.

Laura odszukała nazwisko Conan Doyle na grzbiecie książki i powoli zaczęła czytać. Wiele słów przekręcała, ale Wagner nadzwyczaj cierpliwie ją poprawiał. W pewnej chwili wskazał jej krzesło przy stole. Usiadła, położyła książkę obok talerza i niemal natychmiast przypomniała sobie o rosole.



– Ugotowałam obiad! – obwieściła zdenerwowana. – Nałożę panu.

– Obiad nie zając, nie ucieknie. – Machnął ręką i przymknął powieki, co miało stanowić sygnał, że chce słuchać dalej.

Laura przez to wszystko sama nie zdążyła zjeść nic porządnego. Skubnęła jedynie kawałek chleba, ale nie odważyła się więcej w obawie, że mężczyzna przypomni sobie, ile zostało ze śniadania. Teraz burczało jej w brzuchu, lecz o jedzeniu mogła zapomnieć. Całą uwagę starała się skupić na czytaniu. Dzięki temu szło jej coraz lepiej, a Wagner od czasu do czasu na głos komentował wydarzenia i zachowanie Holmesa. Wreszcie przerwał jej i kazał nałożyć obiad. Starając się nie oddychać przez nos, by nie oszaleć od nęcącego zapachu, Laura wniosła niewielką wazę z rosółem i postawiła ją na stole. Później nalała wywar do talerza i wróciła do kuchni, by nałożyć rozgotowane ziemniaki, które na dnie zdążyły się przypalić. Wybrała te, które nie były czarne i obok na talerzu położyła okazałych rozmiarów kurze udko. Talerz postawiła przed Wagnerem i wróciła do kuchni.

Wiedziała, ile ryzykuje, ale nie mogła się powstrzymać, więc z wygrzebanych z garnka przypalonych ziemniaków zaczęła wydłubywać części, które nadawały się do zjedzenia i ukradkiem wpychał je do ust. Szybko przeżykała, parząc sobie język.

– Co tu robisz? – usłyszała głos stojącego za jej plecami Wagnera. Zamarła i nie była w stanie przełknąć ziemniaków. – Jesz taką spaleniznę? – odezwał się ponownie.

Stać nie wiedząc, co począć. Kłamstwa nie miały sensu. Odwróciła się i powoli skinęła głową.

– Przecież to się nie nadaje nawet dla świń – oświadczył. – Wypłuj to, bo się pochorujesz i stracę służącą, a Żydówki nie zatrudnię.

Laura posłusznie opróżniła usta i spuściła wzrok.

– Nałóż sobie wszystkie dobre ziemniaki i przyjdź, kiedy skończysz jeść. Chcę posłuchać, co dalej przytrafiło się Holmesowi.

Stała jeszcze dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym, co się przed chwilą wydarzyło. Po raz pierwszy pozwolił, a w zasadzie kazał jej coś zjeść. Nie zezłościł się i nie uderzył jej, jak zwykł to robić w chwilach uniesienia. Czuła się oszołomiona i nie wiedziała, jak się zachować. Głód jednak zdecydował za nią. Chwyliła garnek i zaczęła wyjmować te ziemniaki, które nie zdążyły się przypalić. Później je zjadła. Gdy skończyła, posprzątała w salonie i umyła naczynia.

Wagner palił papierosa i cierpliwie czekał, aż Laura skończy. Był coraz bardziej zadowolony, że zatrudnił tę Polkę. Daleko jej było do znanych mu Niemek, ale najważniejsze, że nie była Żydówką. W sumie mógł powiedzieć, że wygrał los na loterii. Z dumą pomyślał o tym, że zdołał ją wyłowić z tłumu. Zdecydowanie przydało się studiowanie słów Hitlera. Jego koledzy nawet nie dostrzegli jej słowiańskiej urody. Czuł, że jest od nich lepszy. To utwierdziło go w przekonaniu, że jego kariera powinna ruszyć z miejsca. Wczoraj był na rozmowie z przełożonym, który obiecał mu awans, gdy tylko, jak to określił, „góra” wyrazi zgodę. Wagner zupełnie tego nie łączył z faktem, że zaniósł mu kilka butelek drogiego francuskiego wina, które tylko cudem zdołał dowieźć do Polski z domu rodzinnego i przechowywał je właśnie na takie okazje. Nie bez znaczenia był też fakt, że jego dowódca, tak jak on, kochał filmy i muzykę filmową. Przez lata fascynacji kinem Wagner zgromadził okazałą kolekcję płyt z muzyką filmową. Wprawdzie po wybuchu wojny tylko ona mu została i pozwalała powrócić do ulubionych filmów, ale też wiedział, że czas pójść dalej, a każde działanie wymaga poświęcenia. Był na nie gotowy.

Laura ponownie usiadła przy stole i wzięła do rąk książkę. Czytała coraz odważniej, a przy tym popełniała coraz mniej błędów. Nie zauważyli, że zrobiło się późno. Laura poderwała się z miejsca, gdy wybiła północ.

– Czy mogę już iść? – spytała podenerwowana.

– Jutro dokończymy – odparł.

Gdy w korytarzu wkładała palto, stanął w drzwiach i obserwował ją.

– Wynieś resztki z obiadu, żeby się nie popsuly – odezwał się.

Odwróciła się zdziwiona. Wcześniej nie dbał o to, co robiła ze zlewkami.

– Wyrzuć je gdzieś – powtórzył z naciskiem.

Wolała nie pytać, co ma na myśli. Skoro oficjalnie kazał jej się ich pozbyć, to już ona wiedziała, co ma zrobić. Szybko wróciła do kuchni i zawinęła w gazetę nieogryzione kości z kury. Kiedy wyszła na ulicę, uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Czasem wystarczy małe sukcesy, by cieszyć się do łez.

## ROZDZIAŁ IV

### MAŁO NAS, CORAZ MNIEJ

Początek kwietnia wszystkich zaskoczył nagłym ociepleniem. Słońce grzało coraz mocniej i wraz z ciepłem wlewało w serca mieszkańców getta nadzieję. Wreszcie mogli zrzucić niewygodne palta, których wielu z nich nie zdejmowało od jesieni. Nic dziwnego, skoro nie mieli opału, a każda próba samowolnej wycinki drzew kończyła się aresztowaniem i więzieniem. Najwięksi desperaci rzucali się na nieliczne drzewa, rozbierali komórki i przybudówki, licząc, że lepszy areszt niż zamarznięcie.

Józef pierwszy wybiegł ze szwalni. Odkąd razem z Eliaszem skończyli pracować przy budowie obozu dla polskich sierot, dużo czasu spędzał w towarzystwie starszych chłopców. Lubił być na bieżąco i wiedzieć, co się dzieje, jakby to miało uchronić jego i bliskich od niebezpieczeństwa. Eliasz zwykle wracał prosto do domu. Przyjmował rzeczywistość taką, jaką była, nie wierzył w jakiegokolwiek zmiany. Coraz rzadziej łudził się, że kiedyś spotka matkę i starszego brata.

Józef w rozpiętym płaszczu biegł co sił w nogach, by porozmawiać z niedawno poznanymi kolegami. Kilka miesięcy spędzonych wspólnie przy budowie płotu wokół obozu zbliżyło ich do siebie. Wszyscy byli młodzi i uważali, że mają przed sobą całe życie.

Kiedy obóz zaczął funkcjonować, każdego dnia przyjeżdżały transporty dzieci z Łodzi, Wielkopolski czy Górnego Śląska. Umieszczano je w dwóch strefach. Pierwsza należała do chłopców. W drugiej miały prawo przebywać wyłącznie dziewczynki. Najgorsze było rozdzielanie rodzeństwa. Dzieci kurczowo wbijały paznokcie w ramiona rozjuszonych „wychowawców”, którzy nie tolerowali takich ataków hysterii i uciszały dzieci siłą.

Józef wiele razy widział gniew i ból malujący się na twarzach młodych Polaków, którzy trafili do obozu. Dotychczas sądził, że nie ma nic gorszego od getta. Dopiero teraz uświadomił sobie, że istnieje kolejny stopień prowadzący do piekła.

Właśnie minął ulicę Franciszkańską, gdy zobaczył znajomą twarz kolegi. Lubił słuchać jego opowiadań o tym, jak jeździł koleją na gapę. Dzięki temu zwiedził pół Polski. Ciągłe powtarzał, że po wojnie zamierza podróżować po całej Europie. Józef oczyma wyobraźni widział siebie w pociągu jadącym w dal.

– Widziałeś? – zagaił tamten, pokazując na pobliski słup oklejony coraz nowszymi obwieszczeniami.

- Dodatkowy przydział kartek żywnościowych? – zadrwił Józef, podchodząc bliżej.
- Raczej bilet na wycieczkę.

Józef czytał kolejne informacje. Tym razem były w jidysz. On wolałby tekst przetłumaczony na polski. Czuł się Polakiem. To była jego ojczyzna. Dopiero w szkole zaczął uczyć się jidysz. Wprawdzie wcześniej słyszał modlitwy w tym języku, ale traktował je bardziej jak słowne wyliczanki czy kołysanki, które się powtarza, nie znając ich sensu.

- Wsiedlenia... Czy to się nigdy nie skończy? – zastanawiał się na głos.
- Sprawdź, czy na liście nie ma ciebie i Eliasza.

Józef prześledził wzrokiem długą listę nazwisk wypisanych drobnym drukiem. Odetchnął, gdy nie odnalazł na niej ani siebie, ani brata. Przez jakiś czas byli bezpieczni.

- Sądzisz, że ci, co pracują dla Niemców, zdołają się wykupić?
- A co, chcesz się zgłosić na ochotnika?

Postukał się w czoło.

- Myślałem, że miałbym większe szanse, żeby się stąd wyrwać, a później uciec.

Chłopak przez chwilę milczał, mierząc Józefa od stóp do głów, po czym głośno westchnął i powiedział:

– My tutaj też dla nich pracujemy i co z tego mamy? – stwierdził hardo. – Kartki na chleb i cukier, choć o tym ostatnim można tylko pomarzyć. To świnie, dla których nasze życie nic nie znaczy.

– Powinniśmy walczyć o swoje prawa – odezwał się Józef, zapominając o czujności.

– Ciiii – syknął chłopak i rozejrzał się zaniepokojony. Na szczęście oprócz nich nikogo nie było w pobliżu. – Zwariowałaś? Jeszcze ci mało? Chcesz skończyć jak brat?

Józef machnął dłonią, po czym pożegnał się z kolegą i ruszył do domu. Miał nadzieję, że Laura już wróciła od Wagnera i znowu udało jej się zabrać coś do jedzenia. Ostatnio codziennie przynosiła jakieś smakołyki. A to kawałek biszkoptu, a to odrobinę makaronu własnej roboty, to znów okrawki kielbasy. Nic dziwnego, że wszyscy domownicy codziennie oczekiwali powrotu Laury. Ona sama też nieco się zaokrągliła, a jej cera stała się znacznie różowsza.

Właśnie dochodził do domu, gdy stanął jak wryty. Dopiero teraz uświadomił sobie, co dostrzegł na liście, wcześniej za bardzo pochłonęło go szukanie własnego nazwiska. Teraz był pewien, że ich mieszkanie znowu opustoszeje.

\* \* \*

Laura spieszyła się do domu, ale Wagner zdawał się wcale tego nie dostrzegać. Zdążyła już pozmywać naczynia po obiedzie i czyste odstawić do kredensu, gdy Niemiec wszedł do kuchni z książką. Zauważyła, że zdjął mundur, choć wciąż miał na sobie elegancką koszulę. Blond włosy zczesał do tyłu, odsłaniając wysokie czoło. Jego szaroniebieskie oczy uważnie ją obserwowali, choć nie dostrzegła w nich wrogości, której nie ukrywał, gdy się poznali.

– Zdobyłem Robinsona Crusoe – oświadczył triumfująco. – Przyjaciel przysłał mi go aż z Norymbergi. Znalazł stary egzemplarz w pudle na strychu. Czytaliśmy przygody Robinsona, gdy wspólnie spędzaliśmy wakacje. To były czasy – rozmarzył się.

Laura niemal natychmiast powróciła wspomnieniami do Wiesi, przyjaciółki, której nie widziała od ponad trzech lat. Kiedy po raz pierwszy spotkały się na rozpoczęciu roku w szkole, w której obydwie zaczynały pracę, niemal natychmiast zrodziła się między nimi więź. Obydwie kochały literaturę i obydwie chciały tę miłość zaszczepić w swoich uczniach. Owszem, czytały na lekcjach fragmenty utworów największych poetów i prozaików europejskich, ale osobiście nie stroniły też od literatury obyczajowej, a nawet romansu. Wymieniały się książkami, żeby później całymi godzinami rozprawiać na temat bohaterów czy wydarzeń. To był świat zarezerwowany wyłącznie dla nich. Kochały go. Marzyły, by w życiu przydarzyły im się podobne sytuacje. Wtedy nawet przez myśl im nie przeszło, że na włosku zawiśnie ich młodościency los.

Tymczasem Wagner otworzył książkę i podsunął Laurze przed oczy stronę tytułową. Na pożółkłej kartce widniało kilka słów w nieznanym jej języku oraz zamazysty podpis, który po chwili udało jej się odczytać.

– Defoe? – spytała, nie wierząc własnym oczom.

– Oryginalny podpis w książce przekazywanej w rodzinie mojego przyjaciela z pokolenia na pokolenie.

– Też miałam kilka ulubionych książek, które były dla mnie niczym Biblia – odparła, w zamyśleniu kartkując powieść przetłumaczoną na niemiecki.

– Masz je jeszcze? – zainteresował się.

Spojrzała na niego zaskoczona. Trzy lata i siedem miesięcy temu każdą z tych książek pokazałaby mu natychmiast. Opowiedziała każdą z opisanych w nich historii. Dzisiaj tęskniła do tamtych czasów.

– Zostały w moim domu.

– To przynieś je jutro. Są napisane po niemiecku? – upewnił się.

Laura przez chwilę zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć. Ostatnio prawie na nią nie krzyczał. Od czasu do czasu zdarzało mu się pomarudzić, gdy za długo nie przynosiła obiadu albo dostał zimną herbatę. Nie chciała, by wrócił tamten Wagner, ale jednocześnie nie mogła milczeć.

– Mój dom stał na Kościuszki – zaczęła powoli. – W nim zostawiłam wszystkie przedmioty, które miały dla mnie wartość sentymentalną.

Oficer popatrzył na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– I po co ci to było, kobieto? Wszedłaś tu i straciłaś wszystko.

– To nieprawda – odważyła się powiedzieć. – Zostawiłam rzeczy. Wprawdzie miały dużą wartość emocjonalną, ale zyskałam coś znacznie ważniejszego, prawdziwe szczęście.

– Szczęście w getcie? Wśród Żydów? Przecież nie ma nic gorszego niż ich widok każdego dnia. – Wzdrygnął się na samą myśl.

Ich światopogląd był tak skrajnie różny, że znalezienie wspólnego języka zdawało się niemożliwe. Laura nabrała więc powietrza i zaczęła czytać trzymaną w rękach powieść o przygodach dzielnego samotnego rozbitka, szukającego bezpiecznej przystani. Kolejne słowa układały się w zdania, lecz spomiędzy nich wyłaniała się wizja jej własnego tułaczego życia, w którym kolejno traciła ukochane osoby i wciąż ludziła się, że zdoła znaleźć swój azyl.

Tego dnia musiała zostać do późna. Gdy wracała ciemnymi ulicami getta, w pamięci odtwarzała kolejne etapy życia Robinsona. Obydwoje byli samotni i głodni. Obydwoje nie tracili nadziei, choć miewali chwile zwątpienia. Obydwoje szukali sposobu na przetrwanie w nieprzyjaznym świecie.

Laura przyspieszyła kroku, z obawą rozglądając się na boki. Udało jej się przeżyć trzy lata w niewoli i zrobić wszystko, by ochronić siebie i najbliższych tak długo, jak to możliwe, bo na końcu tej drogi jest wolność i bezpieczny dom.

Gdy weszła do mieszkania, wszyscy już od dawna spali. Cicho wślizgnęła się do pokoju i rozebrała, po czym położyła się do łóżka i zapadła w głęboki sen. Śniła, że jest w szalupie ratunkowej. Łódź dryfuje po bezkresnej głębinie. Błękit nieba onieśmiela, a mocne promienie słońca oslepiają. W łodzi nie ma wiosel, nie może więc nią kierować. Płynie tam, dokąd jej szalupę pognają wiatry i nie ma wpływu na to, gdzie osiądzie.

Rano obudziła się zmęczona. Usiadła na łóżku i przetarła oczy. Znowu nie spotkała domowników. Słońce bezkarnie zaglądało przez odsłonięte okno. Firanki i zasłonki już dawno zniknęły z okien kamienic i zostały przerobione na bluzki, spódnice, spodnie lub męskie koszule.

Laura wyskoczyła z łóżka i ubrała się. Odkąd służyła u Wagnera przestała jadać śniadania w domu. Zwykle też starała się zjeść coś jeszcze przed wyjściem od pracodawcy. Teraz też złapała sweter i ruszyła w stronę wyjścia. Zanim jednak tam dotarła, usłyszała płacz dochodzący zza drzwi mieszkania Czerninów.

Ostrożnie przyłożyła ucho do drzwi. Teraz była w stanie odróżnić głos Izabeli. Kobieta pomiędzy wybuchami spazmatycznego płaczu tłumaczyła coś mężowi, jednak słowa zlewały się ze sobą i Laura nie potrafiła ich zrozumieć. Właśnie zamierzała odejść, gdy drzwi do mieszkania Czerninów otworzyły się, a ona niemal wpadła do środka.

– Przepraszam – wydusiła zaskoczona, ledwie unikając upadku. – Przechodziłam i... Nie podsłuchiwałam... Chciałam tylko... – jąkała się, poprawiając torebkę na ramieniu.

– Ona nie może zrozumieć – oburzył się Czernin. – Robię dla niej wszystko, a ona i tak swoje.

Laura zajrzała w głąb pokoju. W oknie wisało stare prześcieradło, przez co w pomieszczeniu panował półmrok. Na niepościelonym łóżku leżała zwinięta w kłębek kobieta. Plecy i twarz zasłaniały jej długie rude włosy.

– Nie mogą zostać. Inaczej przyjdą po mnie, a wtedy nie wiadomo, kogo jeszcze zabiorą albo co gorsza, zabiją.

– Ty nie rozumiesz! – krzyknęła kobieta, zrywając się z łóżka. – Czy naprawdę nie wiesz, o co mi chodzi?! – Dopadła do męża, mierząc go oszalałym wzrokiem.

– Wiesz, że nie mam wyjścia. Nikt mnie nie pytał o zgodę.

– Samueltu, zostanę sama jak pies! – krzyknęła. – Zabrali mi wszystko! Najpierw dzieci, a teraz ciebie!

Wyciągnął ręce, by ją objąć. Stała bez ruchu. Przynurzył się i delikatnie przytulił ją do siebie. Wciąż nie odwzajemniła pieśszoty. Choć zagryzła wargi, nie potrafiła ukryć ich drżenia. Jej szkliste oczy krzyczały z rozpacz, ale ciało zastygło jak sparaliżowane.

– Obiecuję ci, że wrócę najszybciej, jak tylko się da – szepnął jej do ucha. – Ta wojna kiedyś wreszcie musi się skończyć, a wtedy odnajdę cię w Łodzi. Znow będziemy razem.

– Wiem, że już nie wrócisz – szepnęła zrezygnowana. – Nie wrócisz...

– Nie mów tak. Kocham cię najbardziej na świecie i zrobię wszystko, żeby cię nie zawieść.

– To nie ty zawiodłeś... To ci dranie odebrali nam dzieci i kazali łudzić się, że nasze życie ma jeszcze jakiś sens. To nie są ludzie – szlochała. – To potwory...

Dopiero teraz przywarła do wychudzonej piersi męża i obydwoje zaczęli łkać. Laura bała się drgnąć, by ich nie spłoszyć. Nie miała pojęcia, dlaczego się żegnają, jednak ze strzępów rozmowy wywnioskowała, że Czernin został zmuszony do opuszczenia getta.

– Pomożesz mojej żonie? – Samuel spojrzął na Laurę. – Ona musi zacząć pracować, inaczej nie przeżyje.

– Porozmawiam z Szulcem – obiecała, szczęśliwa, że wreszcie zdoła jakoś pomóc. – Może znajdzie jakieś zajęcie w szwalni.

– Musisz mi obiecać, że zaczniesz o siebie walczyć – zwrócił się do żony.

Kobieta jednak wciąż milczała. Jej nieobecny wzrok niepokoił Laurę. Położyła więc dłoń na jej ramieniu. W tym czasie Czernin rozluźnił uścisk i schylił się po leżący przy nogach niewielki tobołek z ubraniami i skąpą racją żywnościową przygotowaną na podróż.

– Powodzenia – odezwała się Laura.

– Do zobaczenia wkrótce – odparł i ucałował żonę, a potem bez oglądania się za siebie wyszedł z mieszkania.

Kobieta odwróciła się na pięcie i ponownie rzuciła na łóżko. Tym razem nie płakała, tylko wyła jak schwytane w pułapkę zwierzę. Złapała w dłonie pierzynę i zaczęła ją naciągać na głowę, aż w końcu skryła się pod nią cała.

– Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie. – Laura usiadła na łóżku. – Pomogę ci. Wszyscy ci pomożemy. Obiecuję.

Niewiele starsza od Laury kobieta wciąż tkwiła pod kołdrą i najwidoczniej wcale nie miała zamiaru spod niej wychodzić. Laura już dawno powinna wyjść do pracy, w przeciwnym razie mogła nie zdążyć z ugotowaniem obiadu, a wtedy Wagner mógł zadbać o to, by popamiętała swoje zaniedbanie.

Laura wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Potem zeszła na dół i ruszyła wprost do domu Wagnera. Na szczęście miała jeszcze mąkę i jajka, więc mogła przygotować naleśniki z dżemem, które okazały się przysmakiem oficera. Przyspieszyła kroku, mijając kilkadziesiąt osób powoli sunących w kierunku stacji Radegast. Natychmiast oczami wyobraźni dostrzegła swoją teściową, która na początku września wsiadła do pociągu i słuch o niej zaginął. Strach o najbliższych odżył w Laurze. Podbiegła do słupa grubo oklejonego plakatami i przeczytała treść najnowszego ogłoszenia. Upewniwszy się, że oprócz Czernina na liście do wywózki nie ma nikogo z domownika, z lżejszym sercem pobiegła dalej.

Po wejściu do mieszkania natychmiast zabrała się do pracy. Pozmywała naczynia, zaścielała łóżko i myła podłogę. Później zajęła się przygotowaniem naleśników. Na szczęście Wagner wrócił nieco później niż zwykle, więc zdążyła uporać się z posiłkiem. Był w wyjątkowo dobrym humorze, który jeszcze się poprawił, gdy dostrzegł na stole swój przysmak.

– Pamiętam, jak w trzydziestym ósmym obrodziły czereśnie – odezwał się, sięgając po pierwszego naleśnika, którego obficie posmarował powidłami śliwkowymi, a następnie zwinął i zaczął jeść. – Drzew oblepionych czerwonymi owocami trzeba było przez cały dzień chronić przed ptakami. Dwóch woźnych na zmianę chodziło po sadzie i od czasu do czasu strzelało w powietrze z dubeltówek. A wtedy ptactwo, oszołomione hukiem, kryło się w pobliskich lasach, by chwilowo dać im odetchnąć – opowiadał, wpatrując się w stojący na stole sój z powidłami. – Tamtego lata udało się przerobić kilkanaście kilogramów owoców. Jedliśmy je potem przez dwa lata. – Na chwilę zamilkł, sięgając po drugiego naleśnika. – Jak mi tego brakuje w tym przeklętym kraju. – Westchnął wreszcie zrezygnowany i zatopił zęby w złożonym na czworo placku.

Laura przygryzła wargi. Patrzyła na tego człowieka, który codziennie krzywdził innych i nie pojmowała, dlaczego to robi. Jakimi wartościami kieruje się ktoś, dla kogo ludzkie życie nic nie znaczy?

Przez tych kilka miesięcy, odkąd tu pracowała, zdążyła poznać jego olbrzymią wiedzę na temat filmu, literatury i malarstwa. Potrafił ją zadziwić anegdotami z życia największych pisarzy, znajomością biografii aktorów czy nowinkami, znanymi tylko koneserom sztuki. Chłoneła tę wiedzę i gdzieś głęboko w duszy odczuwała potrzebę nauki, a jednocześnie nie pojmowała, jak ktoś taki może być aż tak pozbawiony empatii wobec drugiego człowieka.

Wreszcie nie wytrzymała i się odezwała:

– W naszych sadach dojrzewało mnóstwo owoców, z których robiliśmy kompoty, dzemy, powidła i soki. Nasze dzieci uwielbiały jeść kluski z owocami, zupę owocową, knedle i ciasta z owocami. Wtedy rosły zdrowe, a szczęście malujące się na ich twarzach stanowiło nagrodę dla ich rodziców – wyrzuciła z siebie jednym tchem i zamilkła. – Wszyscy do tego tęsknimy – dodała ciszej.

Spojrzała na nią stalowym wzrokiem.

– Ta wojna już dawno powinna się skończyć – zauważył spokojnie, wciąż delektując się przysmakami.

Nie spodziewała się takiej wyrozumiałości i aż przysiadła na kanapie, zapominając o zasadach panujących w tym domu. Dopóki podporucznik nie zjadł, powinna stać w gotowości, by podać mu przyprawę czy podgrzać danie.

– Ma pan rację. – Spojrzała na niego z nadzieją. Wyglądało na to, że dotychczas nie chciał się przed nią zdradzić. Niby skąd miałyby wiedzieć, że może jej zaufać? Pamiętała o tym, jak Eliza wspominała jej, że Eryk został zmuszony do wstąpienia do wojska i służenia Hitlerowi. Widocznie z Francem Wagnerem było podobnie.

– Już dawno powinniśmy wygrać i zrobić porządek w Europie – stwierdził, a ona poderwała się na równe nogi niczym rażona piorunem. – Tyle pożytku z tej całej okupacji, że trochę siły roboczej trafi do Rzeszy. Tam nauczymy tych nierobów odpowiedzialności. Tylko ciężka praca uszlachetnia i daje nadzieję na resocjalizację nawet najgorszego elementu. Hitler ma wielkie serce i potrafi je otworzyć przed maluczkimi. To prawdziwy asceta, który zamiast myśleć o sobie, na pierwszym miejscu stawia naród, a jego dobro uważa za cel najwyższy.

Serce Laury mało nie wyskoczyło z piersi. Miała ochotę zatkać uszy, żeby nie słyszeć tych wszystkich bzdur, które odebrały życie jej najbliższemu. Zaciśnęła powieki, ale wypowiediane przez Franca słowa unosiły się w powietrzu i przebijały się do jej wnętrza, zaprzatając myśli. Przystępowała z nogi na nogę, bojąc się, że w najlepszym razie za chwilę upadnie. Wagner jednak nie przestawał mówić. Skończył dopiero wtedy, gdy zjadł wszystkie naleśniki.

Laura natychmiast zaczęła zbierać naczynia i czym prędzej wybiegła z salonu, by skryć się w kuchni. Jej dłonie drżały, gdy myła, a potem wycierała naczynia przed schowaniem ich do dębowego kredensu, jakie przed wojną można było zobaczyć w domach najbogatszych mieszkańców Łodzi. Gdy wreszcie uporała się z wykonaniem wszystkich obowiązków, zrobiła kilka głębszych wdechów i wróciła do salonu. Podporucznik spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Zapomniałem ci powiedzieć najważniejszego – zaczął, dumnie przecząc pierś. – Jutro odbieram awans na porucznika – oświadczył. – Trochę to trwało, ale najważniejsze, że mądrzy ludzie dostrzegli moje oddanie Rzeszy i docenili mnie.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale doskonale wiedziała, że jej nie wyszło. Łudziła się, że Wagner zaferowany swoim sukcesem nie dostrzeże tego.

– I w związku z tym wypada, żebym wydał przyjęcie – ciągnął z błyszczącymi oczami. – Weź ze sobą kogoś do pomocy i w sobotę przygotujcie najlepsze potrawy, jakie umiesz zrobić. Tylko gości musisz obsługiwać sama. Nie chcę w moim domu widzieć żadnej Żydówki. Jasne?

Skinęła głową, czekając, aż pozwoli jej wyjść. Na szczęście chwilę później mogła opuścić mieszkanie.

W drodze do domu podjęła decyzję, kto będzie jej towarzyszył w sobotę u Wagnera. Wystarczyło, że zdoła tę osobę przekonać do swojego pomysłu.

Nie było jeszcze tak późno, gdy weszła do mieszkania. Przez przeszklone drzwi pokoju Szulca dostrzegła zapaloną świecę. Pragnęła jak najszybciej porozmawiać z chłopcami. Ostatnio mieli dla siebie mało czasu. Najpierw jednak zastukała do drzwi Izabeli Czernin. Odpowiedziała jej cisza.

Ponowiła próbę, a w szparze pod drzwiami dostrzegła migocący płomień świecy.

– Izabelo – odezwała się. – Musimy porozmawiać. – Znowu odpowiedziała jej cisza. – Mam dla ciebie pracę. Otwórz, proszę cię. To naprawdę wyjątkowa okazja – przekonywała, co rusz pukając do drzwi. – Porozmawiajmy. Obiecałam tojemu mężowi, że ci pomogę, ale musisz mi na to pozwolić. Daj mi szansę. – Po tych słowach usłyszała jakiś ruch po drugiej stronie drzwi. – Proszę, wpuść mnie – powtórzyła, wciąż nasłuchując.

Nagle drzwi się otworzyły. Laura, która w ogóle się tego nie spodziewała, aż podskoczyła z zaskoczenia. Izabela stała przed nią bosa, w długiej koszuli nocnej, z potarganymi włosami. Była zaledwie trzy lata starsza od Laury, ale zmartwienia odcisnęły ślad na jej twarzy, miała podkrążone oczy, szarą cerę i zapadnięte policzki.

– Jak się czujesz? – odezwała się Laura i natychmiast pożałowała tych słów, widząc udrękę na twarzy kobiety. – Jadłaś coś dzisiaj? – spytała, choć znała odpowiedź.

Izabela cofnęła się i usiadła na łóżku, z którego niedbale zwiśla kołdra. Tymczasem Laura wyjęła z torby dwa naleśniki, które zabrała od Wagnera i podała je kobiecie. Ta patrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie rozumiała tego gestu.

– Musisz coś zjeść – wyjaśniła Laura i włożyła jej w dłoń naleśniki. – Jedz – nakazała, siadając tuż obok. Kobieta drgnęła i dopiero wówczas spojrzała na swoje dłonie. Laura złapała ją za nadgarstek i przyciągnęła rękę do ust, niemal wpychając w nie suche naleśniki. – Musisz jeść!

Izabela niechętnie odgryzła niewielki kęs i nadzwyczaj długo go przeżuwała, jednak Laura ani na moment nie spuściła z niej wzroku. Dopiero gdy naleśniki zniknęły, Laura uznała, że nadszedł czas, by wyjawić jej swoją propozycję.

– W piątek i w sobotę potrzebuję twojej pomocy przy przygotowaniu przyjęcia – zaczęła, nie miała jednak pewności, czy Izabela słucha. Siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę i kiwała się w przód i w tył. – Zabiorę cię ze sobą, w przeciwnym razie nie poradzę sobie. Wyśpij się dobrze, a jutro się umyj i uczesz. Pojutrze idziemy do pracy – obieściła, uśmiechając się zachęcająco.

Izabela nawet nie drgnęła. Laura powoli podniosła się i ruszyła do wyjścia. Wiedziała, że kobieta nie pogodziła się ze stratą kolejnego członka rodziny. Sama nie wyobrażała sobie, co by zrobiła, gdyby też straciła wszystkich bliskich. Czasem smutek ogarniał jej myśli, pochłaniał każde marzenie, wymazywał z pamięci najwspanialsze doznania, ale wystarczyło jedno spojrzenie na braci Dawida, by znów wstąpiła w nią silna chęć życia. Teraz do tego samego postara się przekonać Izabelę Czernin. Pierwszy krok już zrobiła i na pewno się nie podda.

Laura nie myliła się, wierząc, że Józef i Eliaszek czekają na jej powrót. Tego dnia w szwalni był wypadek. Niezabezpieczone żelazko otworzyło się i rozżarzone węgle wysypały się wprost na nowo zatrudnioną kobietę. Wydarzenie zrobiło na chłopcach duże wrażenie, bo długo jeszcze nie mogli zasnąć.

Rankiem Szymon i bliźniacy wyszli na palcach, by nie zbudzić Laury. Gdy otworzyła oczy, było już widno. Lubiła te chwile samotności. Mogła cieszyć się odrobiną prywatności, o którą bywało trudno, gdy dzieliło się pokój z dojrzałym mężczyzną i dwoma młokosami.

Laura przeciągnęła się, wstała, włożyła sukienkę i uczesała włosy. W kuchni napiła się wody i dopiero wtedy zapukała do pokoju Izabeli, chcąc się upewnić, że sąsiadka pamięta wczorajszą rozmowę. W tym samym momencie zza drzwi rozległ się rumor, jakby ktoś się przewrócił albo spadł z łóżka. Nie czekając na zaproszenie, Laura szarpnęła klamkę i popchnęła drzwi. Kiedy weszła do środka, zamarła. Jej oczom ukazało się dyndające pod sufitem ciało Izabeli. Na podłodze leżało krzesło. Kobieta szarpała się w śmiertelnym uścisku pętli zaciskającej się na jej szyi. Laura w przypiływie adrenaliny podbiegła i chwyciła Izabelę w pasie, próbując podnieść tak, by pętla nie zaciskała się bardziej. Ciało zaczęło wiotczeć, a jego ciężar rósł z każdą chwilą. Laura, mobilizując się do nadludzkiego wysiłku, próbowała jedną ręką podnieść Izabelę nieco wyżej, a drugą poluzować pętlę.

– Na pomoc! – zaczęła krzyczeć w przypiływie hysterii. – Ratunku! Ratunku! Pomocy!

Nikt jej jednak nie odpowiedział. W przypiływie energii puściła kobietę i obydwojma rękoma chwyciła za pętlę, rozciągając ją z całych sił. Izabela upadła na podłogę niczym szmaciana lalka. Laura dopadła do niej i zaczęła ją cucić.



– Co ty zrobiłaś? – pytała, wciąż klepiąc ją po policzkach. – Tak nie wolno! Nie wolno!

Błąda twarz Izabeli nie zdradzała oznak życia, jednak Laura się nie poddawała i nie przerywała akcji ratunkowej. W końcu wyczuła słaby puls. Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież. Gdy wróciła do Izabeli, ta próbowała otworzyć oczy, jednocześnie dotykając miejsca na szyi, gdzie odznaczył się ślad po pętli, i zaczęła je masować.

– Zżyjesz! – ucieszyła się Laura i chwyciła Izabelę w ramiona, dźwigając jej wciąż bezwładne ciało. – Nie rób tego nigdy więcej! Nigdy! Rozumiesz? – powtarzała, jeszcze długo ściskając sąsiadkę, która po pewnym czasie również przytuliła się do Laury.

\* \* \*

Laura i Izabela krzątały się wokół zastawionego stołu i wciąż coś donosiły z kuchni przepelnionej smakowitymi zapachami. Laura najadła się, próbując wszystkich potraw. Izabela nie spała pół nocy, cierpiąc z powodu niestrawności. Od dawna jadła bardzo niewiele, jednak zapachy gotujących się w sosie własnym żeberek czy pulpetów sprawiły, że nie mogła się oprzeć i zaczęła podjadać, korzystając z dobrodziejstw kuchni Wagnera hojnie dziękującego przełożonym za awans. Teraz na szczęście Izabela czuła się lepiej i robiła wszystko, by pomóc Laurze w przygotowaniu przyjęcia dla dwudziestu osób. Na stole ustawiły pieczywo i wędzone mięsa. W saganach podgrzewały obiad, a na stole w kuchni czekał tort. Pozostało jedynie rozłożyć talerze i sztucce, jednak czas naglił.

– Jeszcze tylko pół godziny i musisz uciekać – przypomniała Laura. – Wścikłby się, gdyby cię zastał w swoim domu.

– Pamiętajam, co mówiłaś o tym szwabie – odparła Izabela i zabrała się do pracy.

Pośrodku stołu ustawiła wazon i włożyła do niego kilka gałązek forsycji, które zerwały w drodze do mieszkania Wagnera. Od dwóch dni starała się nie myśleć o tym, co zrobiła. Na pewno pomagało jej to, że Laura nie opuszczała jej nawet na chwilę. Jeszcze tego samego wieczoru przeniosła się do niej. Razem spały, a następnego dnia Laura pomogła jej się umyć i rozczesała jej długie, niesforne włosy. Razem poszły na zakupy, a później przydzwigały je do mieszkania Wagnera. Laura upiekła dwa ciasta, a Izabela okazała się mistrzynią w dekorowaniu biszkoptów. Wieczorem wykończone wróciły do domu, wychodząc przed powrotem świeżo awansowanego porucznika gestapo.

Teraz Laura, patrząc na stół, natychmiast przypomniła sobie ostatnie przyjęcie, które przygotowywała razem z matką. Tak bardzo była wtedy szczęśliwa. Starała się nie myśleć o wojnie. Liczyła się tylko miłość do Dawida i radość płynąca z połączenia węzłem małżeńskim. W tej chwili miała wrażenie, że od tamtego dnia minęła wieczność.

Kiedy zegar wybił drugą po południu, Izabela zdjęła fartuch i pożegnawszy się z Laurą, wróciła do domu. Tymczasem Laura włożyła czysty biały fartuszek i ostatni raz rzuciła okiem na zastawiony stół. Właśnie zastanawiała się, co powie Wagner, gdy zobaczy stół, kiedy otworzyły się drzwi mieszkania. Franc pachniał wodą kolońską, a jego twarz błyszczała po goleniu. Swoje pierwsze kroki skierował do salonu. Omiótł wzrokiem stół. Laura czekała na werdykt.

– Jesteś trafioną inwestycją. – Pokiwał głową z uznaniem. – Tylko nie rzucaj się w oczy. I pamiętaj, że kieliszki zawsze mają być pełne.

Laura nabrała powietrza. Przez ostatnie dwa dni dawała z siebie wszystko, ale dopiero za chwilę zacznie się egzamin, od którego będzie zależała jej przyszłość. Wcześniej o tym nie myślała. Teraz zaczęła się bać. A co, jeśli sobie nie poradzi z tą ilością obowiązków? Przecież była sama i miała obsłużyć dwudziestu gości. Powinna była wymóc na Wagnerze, aby pozwolił Izabeli zostać. Teraz było już na to za późno.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wybiegła na korytarz i otworzyła. Dwaj oficerowie w średnim wieku wmaszerowali do środka zamaszystym krokiem. Wagner wylewnie ich przywitał i zaprowadził do salonu, po czym z dumą zaprezentował zawartość barku. Gdy mężczyźni delektowali się nalewką z dzikiej róży, nadeszli kolejni goście. Laura bez słowa otwierała drzwi i wpuszczała ich do środka. Wkrótce salon się zapełnił, a wtedy porucznik wznosił toast za wygraną wojnę. Wszyscy ochoczo stuknęli się kieliszkami. Dopiero jako drugi w kolejności

toast wznosił generał i pogratulował gospodarzowi awansu. Nieco podchmieleni goście usiedli przy stole. Laura uwijała się jak w ukropie, by podać dania.

Po dwóch godzinach Laura była wykończona, ale biesiadnicy najwyraźniej dopiero zaczynały się rozkręcać. Miała dostatecznie dużo pracy w kuchni, by nie słuchać ich rozmów, ale podchmielone głosy stawały się coraz głośniejsze, dlatego wychwytywała strzępy zdań. Rozumiała, że chwałą Hitlera za jego znajomość sztuki wojennej, a siebie nawzajem za działania operacyjne. Zaciśnęła zęby. Ci ludzie zdawali się bawić ludzkim życiem i nie zważać na żadne konsekwencje.

Laura skończyła zmywać talerze po obiedzie i naszykowała talerzyki deserowe. Musiała je zanieść na stół. Później wróciła po tort.

– Oooo! Postarałeś się – zauważył generał, pochłaniając wzrokiem tort.

– Generale, trzeba mądrze inwestować, szczególnie w ludzi – odparł Wagner i sam chwycił za kolejną butelkę nalewki, po czym zaczął napełniać kieliszki gości.

– Prawda, prawda – przyznał. – A pamiętacie tego Eryka Brauna, który gdzieś przepadł, gdy dostał przeniesienie na południowy front?

Kilka głów pokiwało, wspominając porucznika. Laura zaczęła nakładać kawałki tortu i podawać je gościom.

– Obiecałem jego matce, że będę miał na niego oko.

– Hrabina Braun wyjątkowo kochała jedynaka, a przy tym miała dobry gust – zaśmiał się postawny gestapowiec siedzący po drugiej stronie stołu. – Pamiętam, że jeszcze przed wojną zabroniła mu się spotykać z Żydówką. Już wtedy wiedziała, że to zdradziecki naród.

– Właśnie – przyznał generał. – I dlatego nie chciałem, by trafił do wydziału nadzorującego getto, ale ten dureń robił wszystko, by się tutaj dostać.

Laura zastępyła. Nie miała pojęcia, że Braun chciał być jak najbliżej Żydów. Czyżby przeczuwał, że tu odnajdzie dawną miłość?

– A ja dostanę kawałek? – spytał chudzielec siedzący obok generała i spojrzał zaczepnie na Laurę. Ta ocknęła się i odkroiła znacznie większą niż dotychczas porcję tortu, a następnie, siłąc się na uśmiech, podała talerz marudzie.

– A najlepsze, że podobno znalazł sobie tu kochankę. – Zaśmiał się generał. – I to Żydówkę.

– Miałem go za mądrzejszego. Tak ciekawie mówił o filmach.

– Widocznie naogłądał się nie tych filmów, co trzeba – zarechotał chudzielec, pochłaniając kolejny kęs tortu.

– Dlatego ja znalazłem sobie polską służącą – pochwalił się Wagner.

Laura poczuła na sobie dwadzieścia par oczu. Spąsowiała, a jej ręce zdrząły. Nie śmiała podnieść wzroku. Wyszła jak najszybciej, jednak wciąż słyszała rozmowy odbywające się w salonie.

– Skoro już awansowałem, to nie wypada, żebym tutaj mieszkał – zauważył porucznik.

– Od początku nie rozumiałem, dlaczego tak się upierałeś – odparł generał.

– Takiej liczby książek i płyt nie zdołałbym tak szybko stąd wywieźć, a bałem się, że ci żydowscy złodzieje wszystko rozkradną. Wolałem mieć na to baczenie, a i samo mieszkanie należy do luksusowych.

Generał pokiwał głową z uznaniem. Rzeczywiście drewniana sztukateria dekorująca sufity wysokiego mieszkania oraz piękna podłoga i smukłe regały wypełnione książkami oraz płytami gramofonowymi wzbudzały podziw nawet w tych, którzy nie byli miłośnikami sztuki. Wagner nie mógł nie skorzystać z nadarzającej się okazji, nawet jeśli miały zamieszkać w getcie. Po trzech latach przebywania w nim dzień w dzień zaczął się dusić. Potrzebował zaczerpnąć powietrza.

– Na pewno znajdziemy dla ciebie coś odpowiedniego przy Piotrkowskiej – obiecał generał.

– Pakuj manele – roześmiał się chudzielec, napychając policzki tortem. – Tylko nie zapomnij o kuchareczce.

Laura zamarła. Nie, nie może zostawiać chłopców samych.

Obiecała to Abigail. Obiecała to im. Obiecała to sobie.

## ROZDZIAŁ V

# ŚWIATEŁKO W MROKU

Otworzyła oczy. Słońce już dawno wstało i zaglądało w okna pogrążonych we śnie kamienic. Była pięta rano, ale Izabela nie mogła spać. Pomimo że od dziesięciu miesięcy nie słyszała płaczu swoich dzieci, miewała dni, że budziła się wcześniej rano. W pierwszym odruchu podrywała się z łóżka i w pośpiechu narzucała na chude ramiona cienką chustę, po czym biegła do kuchni, by przygotować śniadanie dla dzieci i męża. Dopiero gdy w sennym amoku krzątała się po kuchni, w której nie mogła znaleźć nic do jedzenia, przypominała sobie, gdzie się znajduje. Siadała wówczas przy stole, opierała na nim dłonie i pustym wzrokiem wpatrywała się w okna kamienicy naprzeciwko.

Siedziała tak czasem do południa, nie reagując na pytania czy prośby współlokatorów. W końcu przywykła do jej obecności i przestali zwracać na nią uwagę.

Dzisiaj po raz pierwszy pozwoliła sobie na leniwe przebudzenie. Niemal natychmiast uświadomiła sobie obecność kogoś jeszcze. Przekręciła się na łóżku i dostrzegła śpiącą Laurę. Mieszkały razem od kwietnia, ale wciąż nie miała odwagi podziękować jej za to, co wtedy dla niej zrobiła. To wcale nie znaczyło, że była jej wdzięczna za uratowanie życia. Co to, to nie. Przeciwnie, wciąż była przekonana do słuszności podjętej wówczas decyzji. Samotność ją przytłaczała i pozbawiała chęci działania, jednak Laura zrobiła wtedy coś wyjątkowego. Udowodniła, że jej śmierć została by dostrzeżona, i to przez ludzi, których dotychczas traktowała jak obcych.

Choć Szifrinowie dostali przydział na pokój w tym mieszkaniu niedługo po Czerninach, to niewiele łączyło ich rodziny. Izabela miała małe dzieci. Potomstwo Szifrinów było niemal dorosłe, gdy ich poznała. Przeprowadzki Lewiatanów w ogóle nie dostrzegła, schowała się zbyt głęboko w kokonie, jaki sama dla siebie uplotła z cierpienia i łez.

Teraz patrzyła na jasną cerę Laury, która leżała odkryta w ten lipcowy poranek. Obca, a jednak bliska jej osoba, przysła tu dla niej. Przysła i pozostała, by otoczyć ją troską i walczyć o nią, choć jej samej brakowało sił i odwagi. Zastanawiała się, jak bardzo złą osobą była, że Bóg kazał jej pozostać na ziemi, by mogła naprawić swoje błędy. Odkąd została sama, każdego dnia zadawała sobie to pytanie, lecz nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Jednak nie chciała zawieść Laury. Dziewczyna naprawdę robiła wszystko, by o nią zadbać. Postarała się, by dostała pracę w zakładzie obuwia słomianego przy ulicy Brzezińskiej. Co prawda nie umiała wyplatać słomianych warkoczy i szyć butów, jednak nie mogła zawieść Laury. Utrzymywała ją kilka miesięcy. Izabela czuła się paskudnie, wiedząc, że w pewien sposób okrada rodzinę Lewiatanów. Musiała zacząć zarabiać. Patrzyła, w jaki sposób inni robotnicy plotą warkocze. Próbowwała sprostać zadaniu, a kiedy jej nie wychodziło, zaczynała od początku. Z każdym dniem nabierała wprawy, choć dłonie ją bolały, a na kościstych palcach pojawiły się rany po głębokich zadrapaniach.

– Już nie śpisz? – zaskoczył ją głos Laury, która ziewnęła i usiadła na łóżku. – Nie musisz tak wcześnie wstawać.

– To przyzwyczajenie – wyjaśniła Izabela. – Nic na to nie poradzę.

– Rozumiem, też czasem łapię się na tym, że słyszę głos Dawida albo czuję jego dotyk, choć wiem, że jestem sama. Samuel byłby z ciebie dumny. – Dotknęła dłoni kobiety, ta zacisnęła powieki, powstrzymując łzy, jednak zdołała nad nimi zapanować. – Odzyskamy ich – dodała Laura.

Usta Izabeli lekko drgnęły w bladym uśmiechu. Bez słowa podniosła się i ubrała, by zejść do znajdującego się na zewnątrz ustępu. Wracając do mieszkania, przyniosła kubek lodowatej wody prosto ze studni. Mimo kilkunastu dni upałów wody nie brakowało, a głębokość studni zapewniała chłód nawet w najgorętsze dni.

Laura nalała wody do miski w pokoju Izabeli. Teraz mogła się swobodnie umyć. Gdy mieszkała u Szulca, musiała informować go, kiedy zamierzała się myć, by uniknąć krępujących sytuacji.

Wytarła ciało przecieradłem i rozwiesiła je na oparciu łóżka, by wyschło. Włożyła czystą bluzkę i spódnicę, którą niedawno znowu musiała zacerować, bo zaczepiła nią o wystający z drzwi niewielki gwóźdź, gdy z najwyższej półki w szafie zdejmowała dużą walizkę, do której zapakowała wszystkie koszule Wagnera.

Ubrana wyszła do kuchni, dołączając do Izabeli moczącej w wodzie czerstwy chleb. Dzisiaj miała odebrać przydział świeżego pieczywa.

– Myślisz, że jakaś rodzina niemiecka przygarnęła je wszystkie razem? – odezwała się Izabela, nie przerywając maczania chleba w kubku.

Laura natychmiast zrozumiała pytanie.

– Na pewno są wszystkie w jednym domu i opowiadają sobie o waszych najpiękniejszych chwilach – zapewniła. – Pewnie dostają mleko na śniadanie, a może nawet teraz moczą w nim biszkopty i wypychają je sobie do buzi, uśmiechając się do ciebie.

– Im dłużej o tym myślę, tym częściej wydaje mi się, że to może być prawda. Przecież tak małych dzieci nikt nie zabrałby do obozu pracy. One po prostu nie nadawały się do zatrudnienia. Musiały trafić do niemieckich rodzin. Zastanawiam się tylko dlaczego? Swoich dzieci mają za mało?

Laura nieraz rozmyślała nad tym samym. W getcie pracowali niemal wszyscy. Owszem, początkowo byli tacy, którzy migali się od pracy, kradli i liczyli na szmugiel towarów zza ogrodzenia. Szybko jednak okazało się, że Rumkowski nie przewidział dla nich miejsca po tej stronie drutów. Dlatego to właśnie oni w pierwszej kolejności byli wysiedlani do pracy poza teren getta i słuch o nich ginął. Nie pracowali jedynie najmłodsi i młode matki, które nie mogły pozostawić dzieci bez opieki, ale rodzicom zależało na tym, by wykarmić rodzinę. Pracowali więc bez ociągania.

– Może Niemcy liczą na to, że wychowają sobie służbę od najmłodszych lat, przywiążą te dzieci do siebie i nauczą bezwzględного posłuszeństwa.

– Nie rozumiem tego sposobu myślenia. Po prostu chciałabym, żeby były przy mnie. Pamiętam, jak przychodziły na świat – mówiła Izabela, nie odrywając wzroku od chleba unoszącego się na powierzchni wody. – Najstarsza była Michalina. W tym roku skończy dziesięć lat. Zaplatałam jej włosy w długie warkoczki przypominające ogniste języki. Dwa lata młodsza Nina, w przeciwieństwie do starszej siostry, nigdy nie pozwalała mi się cesać. Odkąd tylko pamiętam, robiła to sama. W ogóle była bardzo samodzielna. Chętnie opiekowała się też młodszym rodzeństwem. Kiedy byłam tuż przed rozwiązaniem i nie mogłam dźwigać Rafaeli, która gorączkowała i przez to kaprysiła, to właśnie Nina bujała ją w wózku, choć jest od niej tylko dwa lata starsza. – Zamyśliła się na moment. – Moje małe córeczki. Takie mądre i piękne. Dwie młodsze podobne są do Samuela. Mają jego nos i kształt ust. Rozpieszczał je, nawet gdy coś zbroiły. Krzyczałam wtedy na nie, a on patrzył na mnie tym swoim spokojnym wzrokiem i czekał, aż przestanę. Później brał je na kolana i tłumaczył im, że jeśli znowu to zrobią, to mamusia będzie zdenerwowana i nie zdąży upiec ich ulubionego ciasta z owocami. Uwielbiały moje wypieki. Nawet tutaj początkowo udawało mi się kupić od polskiego szmuglera jajka, cukier i śliwki czy wiśnie, żeby upiec ciasto. Później Niemcy zaczęli uszczelniać ogrodzenie, rozbierać kamienice przylegające do płotu i poszerzać strefę wyburzeń, by odizolować nas od reszty Łodzi.

– I to im się udało. Jesteśmy tu zupełnie sami. Jadący tramwajami Polacy patrzą na nas przez szyby jak na eksponaty w muzeum i pewnie nie mają pojęcia o naszej codzienności.

Laura się zamyśliła. Gdy Żydzi dowiedzieli się, że obok getta będą kursowały tramwaje, liczyli, że to pierwszy krok do powrotu do przedwojennej rzeczywistości. To złudzenie bolało za każdym razem, gdy widzieli tramwaj wiozący Polaków lub Niemców, a im nie wolno było się nawet zbliżyć.

Izabela też milczała. Wiedziała, że gdyby nie wojna, Samuel nadal handlowałby meblami i wyposażeniem wewnątrz. Mieszkaliby w przestronnym mieszkaniu nad sklepem. W niedzielę wychodziliby na spacer do pobliskiego parku, a wracając do domu, skręcaliby do cukierni na

pyszne ciastka z bitą śmietaną i malinami. Tak wyglądało ich życie, zanim ktoś nie ułożył innego scenariusza dla wszystkich Żydów.

– Myślisz, że ktoś co wieczór tuli je do snu? – Izabela wróciła do swoich myśli. – Martwi się o nie, gdy boli je ząb albo głowa? Pomaga im wstać, gdy się potkną?

– Nie wiem, Izabelo – wyznała Laura zgodnie z prawdą. Obydwie chciały wierzyć, że jest to możliwe i żadna nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. – Mam nadzieję, że Abigail jakoś sobie radzi w obozie, do którego ją zabrano. Myślałam, że będzie systematycznie wysyłać listy czy kartki, ale oprócz tej jednej, która przyszła niedługo po wywoźce, nie mam od niej żadnych wieści. Chłopcy wstydzą się do tego przyznać, ale tęsknią za matką, a ani ja, ani Szymon nie jesteśmy w stanie zastąpić im rodziców.

– Wszystkich nas rozdzielią i rozrzucają po całym świecie, żeby jeszcze bardziej nas upokorzyć – zauważyła Izabela i wylała resztkę wody z kubka.

– Przetrawiamy to – odezwała się Laura, a z jej twarzy biła głęboka wiara w to, co mówi. – A potem odnajdziemy nasze rodziny i zapomnimy o tym, co tu widzieliśmy.

– Nigdy nie zdołam zapomnieć o tym strachu, gdy zabierali mi dzieci. Samuela trzymali na muszce, a ja stałam jak sparaliżowana. Dziewczynki nawet nie płakały. Wiedziały, że nie mają szansy na ucieczkę. Szły, nie śmiąc podnieść wzroku. Tylko Adam przez cały czas płakał i wyciągał do mnie rączki, a ja nie mogłam mu pomóc. Wiedziałam, że mogę im zaszkodzić. Policjanci nie żartowali.

Laura zbliżyła się, a Izabela oparła głowę na jej ramieniu. Trwały tak przez chwilę. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawiały.

– Powinłam im jakoś pomóc. Miałam obowiązek o nie walczyć, ale nie umiałam. A one odeszły.

– Nie miałas wyjścia.

– Nie umiałam i wciąż nie potrafię o tym nie myśleć. Chcę pamiętać same dobre chwile, które razem spędziliśmy, ale wciąż widzę wielki zawód na ich twarzach. Wiem, że powinnam się o nie zatroszczyć. Nie zdałam tego egzaminu. – Zamilkła, po czym odsunęła się i ruszyła w stronę drzwi. – Dlatego nie zasługuję na to, by żyć.

– Każdy zasługuje na życie! – Laura spojrzała na nią zirytowana. – Każdy! Słyszysz? A jeśli po wojnie twoje dzieci będą cię szukały? Kto się nimi zaopiekuje?

– Za późno...

– Nigdy nie jest za późno! – upierała się Laura, a jej oczy rozbłysły od nadmiaru emocji. – Dopóki żyjemy, nie mamy prawa się poddać. Nie pozwolę ci na to. Nie!

Izabela wróciła do pokoju, założyła chustkę na głowę i bez słowa wyszła do pracy. Starła się zająć myśli czymś innym. Wspomnienie dzieci wyzwalalo w niej rozdzierający ból, z którym wciąż nie potrafiła się uporać.

\* \* \*

Laura pomachała szwagrom przez okno i wróciła do mieszkania, chłopcy zaś ruszyli z Szymonem do szwalni. Dzisiaj mieli przygotować transport koszul.

Odkąd położono tory tramwajowe w getcie, możliwy był transport towarów na stację Radegast. Wystarczyło dostarczyć wyroby do tramwaju. Za to odpowiedzialni byli Józef z Eliaszem i kilku innych młodych Żydów. W dniu załadunku nie mieli czasu na pogaduszki z dziewczętami ślęczącymi nad maszynami do szycia. Józef szczególnie polubił siedzącą pod oknem niewysoką Joannę o zadziornym spojrzeniu i szczerym uśmiechu. Chętnie słuchał jej szczebiotu i perlстого śmiechu. Od czasu do czasu dzielił się z nią jakimś smakołykiem przyniesionym do domu przez Laurę. Dlatego też zmartwił się, kiedy usłyszał, że Wagner się przeprowadza. Wiedział, że znowu będzie krucho z jedzeniem.

Właśnie zapakowali kolejne mocno powiązane paczki z koszulami dla niemieckiej armii. Dwóch ciągnęło wózek, a Elias z Józefem pchali go, pilnując, by pakunki nie przechyliły się i nie spadły. Do przystanku tramwajowego mieli kilkadziesiąt metrów. Przeładowany wózek niebezpiecznie podskakiwał na wybojach, dlatego szli dosyć wolno. Na szczęście wyruszyli wcześniej i nie musieli się spieszyć.

Gdy dotarli na miejsce, ujrzeli nadjeżdżający tramwaj w dużej mierze wyładowany innymi towarami zabranymi z różnych resortów. Kiedy motorniczy zatrzymał pojazd, Józef wskoczył do środka i zaczął układać podawane przez kolegów paczki. Lejący się z nieba żar i ciężka praca szybko pozbawiły go sił. Otarł pot rękawem i ciężko dysząc, przez chwilę stał bez ruchu. Ponaglające gesty motorniczego kazały wszystkim wrócić do pracy. Kilka minut później w czwórkę usiedli pod drzewem, kryjąc się przed słońcem.

– Ale bym teraz popływał w rzece – odezwał się Józef, ścierając strużki potu płynące po twarzy.

– Mógłbym nawet wskoczyć do studni – oświadczył jeden z kolegów.

– Trzeba by było później wypompować całą wodę, bo byłaby skażona – zaśmiał się Eliasz, choć sam pamiętał, że w letnie dni lubił jeździć z rodzicami do Kolumny, by tam móc popływać w rzece, której nie zanieczyszczały okoliczne fabryki. Matka nie ufała nurtowi, dlatego niechętnie zgadzała się na długie pluskanie. Ojciec był doskonałym pływakiem i tę umiejętność chciał przekazać swoim synom. Zdążył, zanim swymi niepochlebnyymi opiniami o faszyzmie nie zalazł za skórę Niemcom.

– Gdyby chociaż łódka nie była zakryta i tak brudna – rozmarzył się Józef.

– To na pewno już dawno połowa z nas by stąd uciekła – dokończył Eliasz.

Chłopcy jeszcze przez chwilę wspominali naukę pływania, a gdy odpoczęli, zaciągnęli wózek z powrotem do szwalni, gdzie pomogli układać i liczyć uszyte dla wojska spodnie. Gdy wreszcie wybiła siedemnasta, ochoczo ruszyli do wyjścia. Duszne powietrze niemal kleiło się do ich ciał.

– Idziemy na obchód – oznajmił Józef i spojrzął na Eliasza wyczekująco.

– Tylko nie wracaj późno, bo Laura będzie się martwiła – odparł jego brat i wsunął dłoń w kieszenie, po czym zgarbił się i skreślił za płotem. Nigdy nie towarzyszył Józefowi w jego eskapadach. Nie lubił się wagać bez celu, patrzeć na schorowanych ludzi, którzy leżeli na podwórkach i przy ulicach, czekając na nadejście śmierci. Ten widok wzbudzał w nim lęk o przyszłość wszystkich, których tu zamknięto. Kiedyś każdy z nich będzie stary i schorowany, czy wtedy Niemcy ich zabiją? Czy będą patrzeć na ich powolną śmierć? Czy kiedykolwiek to wszystko się skończy i wrócą do dawnego życia? Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek z Żydów wiedział, co ich czeka.

Tymczasem Józef mocniej naciągnął czapkę na czoło, by chronić oczy przed promieniami słońca i śmiejąc się, wyszedł z kolegami na Marysińską. Później okręcili się na pięcie i ruszyli w stronę niewielkiej wolnej przestrzeni porośniętej pożółkłą od słońca trawą. I choć to tutaj przywożono nieczystości z przepełnionych ustępów i wyrzucano wszelkiego rodzaju śmieci, było to miejsce, które dawało poczucie swobody. Ostrożnie mijali porozrzucane kamienie i fragmenty cegieł. Można tu było wyrzucić, a jednocześnie znaleźć wszystko, co nadawało się do przerobienia i wykorzystania w zupełnie nowy sposób.

Dwaj koledzy Józefa byli doskonałymi tropicielami małych przedmiotów. Z upodobaniem przetrząsali kupki kamieni i przerzucali pokruszone cegły w poszukiwaniu skarbów. Kiedyś w ten sposób znaleźli niewielką szkatułkę, a w niej broszkę wysadzaną szafirami. Najwidoczniej wywożący cegły nie spojrzegli ukrytego w ścianie skarbu.

Józef zatkał nos, bo właśnie przyjechała nowa dostawa fekalii, i zaczął przerzucać stertę kamieni. Nagle dostrzegł cienki drucik mieniący się w słońcu. Ostrożnie wyjął zdobycz. Druciane okulary miały tylko jedno szkielek. Drugie zdążyło już się potłuc. Nie miał pojęcia, skąd się tutaj wzięły okulary, ale nie zamierzał ich zostawić.

Do wieczora przetrzucili kilka stert kruszywa, niewiele pod nimi znajdując. Tym razem to Józef złowił największy skarb, choć nie liczył, że uda mu się na nim zarobić. Okulary były luksusem, z którego łatwo było zrezygnować na rzecz pełnego brzucha. Wsunął je do kieszeni, po czym wszyscy ruszyli do bramy. Właśnie wyszli na ulicę, gdy usłyszeli krzyki niemieckich policjantów i odgłosy wystrzałów.

– W nogi! – nakazał Józef i puścił się pędem. Szybko jednak uświadomił sobie, że to nie był najlepszy pomysł, bo wciąż znajdowali się na otwartej przestrzeni, gdzie bez trudu można było ich dostrzec. – Na ziemię – polecił i sam czmychnął za stertę kamieni. Koledzy szybko do niego dołączyli.

– Nigdy nie przeszkadzało im, że ktoś włóczy się po dołach – zauważył przyciskający twarz do ziemi chłopak. – Może dowiedzieli się, że można tu znaleźć coś cennego.

– Myślisz, że dlatego do nas strzelali? – spytał drugi szeptem, wciąż spoglądając w stronę, skąd dochodziły odgłosy strzelaniny.

Nagle na otwartej przestrzeni dostrzegli niewielkiego chłopca. Biegł, potykając się. Tuż za nim pędzili strażnicy. Usiłovali strzelać do chłopaka, ale ten poruszał się zygzakami, co znacznie utrudniało trafienie do celu. Na końcu pościgu pojawił się strażnik z dużym, głośno ujadającym psem. Zwierzę szczyrzyło kły i usiłowało wyrwać się z rąk opiekuna trzymającego go na skórzanym pasku.

– To nie nas gonią – stwierdził Józef i odetchnął z wyraźną ulgą. Wsparł się na łokciach i obserwował pogoń.

Dziecko opadało z sił. Kilka sekund później chłopiec leżał przywalony ciałem psa, zatapiającego zęby w jego gardle. Krew trysnęła na buty nadbiegających strażników, którzy głośno łapali powietrze. Po chwili wążle ciało malca leżało bez ruchu. Strażnicy pozostawili je na drodze i ruszyli w stronę obozu prewencyjnego.

Józef drżał, mimo woli spoglądając w stronę poszarpanego ciała. Odkąd skończył pracę przy budowie obozu, nie myślał o jego mieszkańcach. Owszem, widywał kolejne transporty polskich dzieci, ale nie zwracał na nie uwagi. Dzisiaj przypomniał sobie o chłopcu, którego spotkał zimą i podziwiał jego wytrwałość oraz siłę.

– Chodźmy stąd jak najszybciej – zarządził i pierwszy poderwał się na nogi.

Teraz szli we trzech, unikając rozmów i patrzenia na zakrwawione zwłoki. Józef skręcał w kolejne ulice, ale robił to automatycznie, gdyż jego myśli podążały w stronę uwięzionych w obozie dzieci. One musiały liczyć wyłącznie na siebie. On miał Laurę, Eliasza i Szymona, który traktował ich jak własne dzieci.

\* \* \*

Laura zapełniła książkami kolejną skrzynię i zrezygnowana spojrzała na pozostałe półki uginające się pod ciężarem opasyłych tomów literatury pięknej. Wagner nie zamierzał pozostawić ani jednej pozycji. Nakazał jej wszystkie posegregować i poukładać alfabetycznie według autorów. Już drugi dzień przemierzała salon, krążąc między skrzyniami i dokładając do nich kolejne tytuły. Znacznie szybciej poszło jej ze spakowaniem ubrań porucznika, które już wczoraj zawiózł do nowego mieszkania przy Piotrkowskiej. Dzisiaj po zakończeniu służby planował zrobić drugi kurs, tym razem z książkami.

Do wieczora jeszcze kilkadziesiąt razy musiała wspinać się po książki na najwyższych półkach. Kiedy Wagner zajął do salonu i zobaczył stos pakunków, uśmiechnął się pod nosem.

– Tylko żeby żadna nie została. – Pogroził jej placem. – To moje dziedzictwo.

Laura spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby zapomniał, że kiedyś opowiedział jej, w jaki sposób książki znalazły się w jego posiadaniu i nie miało to nic wspólnego z kwestią dziedziczenia?

Gdy Laura opróżniła ostatnią i jednocześnie najwyżej położoną półkę, weszło czterech młodych Żydów służących w Sonderabteilung<sup>1</sup> i zaczęło wynosić skrzynie z mieszkania. Załadunek na podstawiony samochód trwał niemal pół godziny.

– Niedługo wracamy – oświadczył Wagner. – Pozostałe rzeczy zabiorę następnym kursem.

Laura usiadła na moment, by odpocząć. Od rana nie zdążyła zjeść niczego porządnego. Teraz ukroiła pajdę chleba i posmarowała ją masłem. Dzięki tej pracy mogła przypomnieć sobie ten cudowny smak. Myślni powróciła do swojej przyjaciółki mieszkającej na wsi. To u Wiesi jadła świeże masło. Nigdy nie zapomni tamtych chwil. Tak bardzo brakowało jej rozmów z dziewczyną, która była dla niej jak siostra. Razem się śmiały, oglądając pierścionek zaręczynowy подарowany Laurze przez Dawida i wspólnie płakały, gdy ta podjęła decyzję o wejściu do getta. Nawet nie wiedziała, czy Wiesia żyje. Od ich ostatniego spotkania minęły już trzy lata.

Gdy zjadła, otrzepała okruszki. Wiedziała, że od przyszłego tygodnia będzie musiała żywić się tym, co akurat uda jej się kupić w słabo zaopatrzonym sklepie. Znowu groziło im widmo głodu i długie kolejki po ochłapy, których kiedyś nawet nie nazwałaby jedzeniem.

Laura zwinęła pierzynę, poduszkę i zawiązała wokół nich ulubiony koc Wagnera. Później do środka wepchnęła jego ukochany kubek z napisem „Berlin” i kaptcie przywiezione z wycieczki w Alpy. Właśnie kończyła, gdy stanął przed nią jej rozpromieniony pracodawca.

– Jeszcze jeden kurs, a później nowe życie – stwierdził i kiwnął na pomagierów. Sam nie zamierzał zniżać się do dźwigania ciężarów. – Ogarnij mieszkanie, zanim wrócę – nakazał jej przed wyjściem.

Na szczęście niewiele miała do roboty. Wystarczyło, że pozbierała i pochowała do kredensu naczynia oraz bibeloty, których Wagner nie zamierzał zabrać do nowego mieszkania.

\* \* \*

Laura zerknęła na resztę spakowanych rzeczy i głośno odetchnęła. To koniec. Wreszcie mogła usiąść i odpocząć. Rozejrzała się wokoło. Wcześniej nie zauważyła, że mieszkanie było tak wielkie. To, w którym mieszkała wraz z dwoma innymi rodzinami, było niemal o połowę mniejsze. Ciekawiło ją, czy ktoś tutaj zamieszka. Niemcy unikali takich miejsc. Wagner i Eryk Braun stanowili wyjątek.

Widok opustoszałych regałów przypomniał jej własny dom. W salonie stało kilkadziesiąt woluminów pozostających w jej rodzinie od lat. Ojciec z namaszczeniem brał je do rąk i zasiadał w fotelu do czytania. Matka też kochała książki, zwłaszcza podręcznicze. Choć w ten sposób mogła poznawać nowe miejsca.

Laura pomyślała, że sama też zawdzięczała Wagnerowi liczne podróże do miejsc, o których nawet nie miała pojęcia. Czytając na głos, choć przez chwilę przenosiła się w czasie i zapominała o miejscu, w którym przyszło jej żyć.

Słyszac hałas na schodach, poderwała się i zaczęła poprawiać wystające ze skrzyń przedmioty, które Wagner uznał za wartościowe.

– Nic już nie zostało? – upewnił się gospodarz po wejściu do mieszkania.

Laura pokręciła głową i wyszła do kuchni po sweter i torebkę.

– Pospieszcie się, bo za chwilę zrobi się ciemno – rozkazał Wagner przybyłym z nim Żydom, a sam podążył za Laurą. – Zostań jeszcze – rozkazał.

– Ale już wszystko spakowałam. – Spojrzała na niego zdziwiona.

Przez chwilę milczał, rozglądając się na boki.

– Został bałagan – powiedział. – Nie może tak być. Nie wiem, co teraz stanie się z tym mieszkaniem, ale moi przełożeni gotowi pomyśleć sobie, że mają do czynienia z flejtuchem.

– Czy mogłabym posprzątać jutro? Jest już późno, a ja pracowałam od rana – poprosiła Laura cicho, choć nie miała pojęcia, co porucznik rozumie przez bałagan. W jej mniemaniu w mieszkaniu panował porządek.

– Żadne jutro – oburzył się. – Zamierzam tutaj spędzić noc i nie mam ochoty spać w tym bałaganie.

To stwierdzenie zaskoczyło Laurę. Łóżko zostało, ale pościel już dawno była spakowana. Pamiętała, że porucznik kazał jej to zrobić. Dzisiaj miał już nocować w nowym mieszkaniu.

– Nie ma tu pierzyny ani poduszki – zauważyła.

– A kto latem śpi pod pierzyną. – Zaśmiał się i zaczął rozpinąć guziki koszuli. – Wysoko w szafie leży jakiś koc, a i poduszka się znajdzie.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Laura odłożyła torebkę i resztkami sił pomaszerowała do sypialni. Otworzyła szafę i wspięła się na palce, ale półka była zbyt wysoko. Wróciła do kuchni po stołek. Kątem oka dostrzegła Wagnera zamykającego drzwi za tragarzami. Stała na stołku i pociągnęła za róg poduszki, która lekko opadła w jej ręce. Zeszła i odłożyła ją na łóżko. Wdrapała się na stołek raz jeszcze i sięgnęła po pled. Musiała mocno szarpnąć, bo coś go przyblokowało, a wtedy stołek zachwiał się i przewrócił. Jeszcze próbowała złapać się półki, gdy poczuła silny uchwyt wokół talii, a po chwili stopami dotknęła dębowego parkietu.

– Lepiej uważaj – odezwał się Wagner, wlepiając w nią swój świdrujący wzrok.

Spieszona nie wiedziała, gdzie ma patrzeć. Stał tak blisko. Za blisko. Czula jego zapach. Nagle uświadomiła sobie, że wciąż czuje jego dłonie na swojej talii. Odskoczyła niczym przestraszone zwierzę.



– Dziękuję – wydukała i schyliła się po koc.  
– Wszystko w porządku? – spytał całkiem łagodnie, a ona po raz pierwszy, odkąd go znała, odniosła wrażenie, że się o nią zamartwił.

– Trochę się wystraszyłam.

– Przy mnie nie musisz się bać – zapewnił Wagner, zbliżając się do niej. Odruchowo zaczęła się cofać, mocno przyciskając do piersi pleć. – Nie mógłbym cię skrzywdzić – dodał.

Natychmiast przypomniało jej się, jak ją traktował przez pierwsze dni, gdy u niego pracowała. Jeśli zapomniała czegoś zrobić albo nie wykonała zadania dokładnie, nie miał oporów, by to wyrazić. Nie używał słów. Łatwiej przychodziło mu wymierzenie policzka. Może dzięki temu szybko pojęła, że musi dokładnie słuchać i precyzyjnie wywiązywać się z obowiązków. Od wiosny ani razu nie podniósł na nią ręki. Zastanawiała się nad tym, ale wolała nie pytać o przyczyny. Chciała, aby ten stan utrzymał się jak najdłużej.

Dotknęła plecami zimnej ściany. Nie było drogi ucieczki. Wyżej uniosła koc i z przejściem patrzyła na kroczącą ku niej porucznika. Jego rozpięta koszula odsłaniała nagi tors. Już na pierwszy rzut oka mogła stwierdzić, że był wysportowany. Bała się spojrzeć mu w twarz. Wolała się ludzić, że nic jej nie grozi.

– Chyba się mnie nie boisz? – Zaśmiał się i podniósł jej brodę tak, by na niego spojrzała.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale jej ciało drżało ze strachu. Wagner górował nad nią wzrostem i posturą. Jego oczy błyszczwały niczym u dziecka patrzącego na upragnioną zabawkę, o którą długo prosiło rodziców.

– Nie rozumiem, dlaczego milczysz. Chyba zdążyłaś już nieco mnie poznać i wiesz, że cię szanuję.

Otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia. Rzeczywiście początki ich znajomości były trudne, ale teraz ich relacje się zmieniły. Przez myśl jej nie przeszło, że aż tak bardzo.

– Wiesz to, prawda? – upewnił się, gdyż milczała.

Znowu tylko kiwnęła głową. Teraz ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Czula jego oddech.

– Tak – wyszeptwała, nie widząc innego wyjścia.

– Nie mam pojęcia, co się stało... Co ze mną zrobiłaś... kompletnie tego nie rozumiem. Kompletnie – tłumaczył, wciąż potrząsając głową. – Przecież jesteś po tej drugiej stronie i powinienem cię nienawidzić. Powiniennem! Wiem! Ale nie potrafię! – wyznał i oparł głowę o jej czoło. – Przychodzisz tu każdego dnia, sprzątasz, gotujesz, czytasz mi, a ja nie myślę o niczym innym, jak tylko o tym, kiedy znajdę się przy tobie.

Laura zacisnęła powieki i zagryzła wargi. Nie chciała tego słuchać. Nie chciała o tym myśleć. Kochała Dawida. Żyła myślą o ich ponownym spotkaniu. Czasem tylko to dawało jej nadzieję i siłę, by co rano wstawać z łóżka.

– Nienawidzę siebie za to. Robiłem wszystko, żeby od ciebie uciec. Dlatego podjąłem decyzję o przeprowadzce. Chciałem w sobie zdusić przekłętą uczucie. Uwier mi! Naprawdę chciałem! Ale... – zawiesił głos i podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy. – Ale nie potrafię...

– Proszę – odezwała się. – Mam męża.

– Myślisz, że tego nie wiem? – zaśmiał się, ale zabrzmiało to szczerze. – Dokładnie wiem, kim jesteś. Poślubiłaś Żyda, który dla ciebie zmienił wyznanie i może nie wyszłoby to na jaw, gdyby sam nie wszedł do getta za matką i braćmi. Ty zostałaś na zewnątrz, ale za bardzo go kochałaś i dlatego przyszłaś za nim. Tylko czy on kochał ciebie? Nie przejmował się tobą, gdy zaczął knuć przeciwko Rzeszy. Myślisz, że nie wiedział, co mu za to grozi?

– Dawid wierzył, że wreszcie posmakujemy wolności – wyszeptwała Laura, usiłując zapanować nad drżeniem ust. – Nigdy się nie poddał.

– Tylko głupiec mógł wierzyć, że zdoła pokonać naszą armię.

– Tylko głupiec nie walczyłby o wolność – odparła znacznie głośniejszym głosem, choć serce biło jej coraz mocniej. Czula, że kropelki potu zaczynają jej ściekać po plecach.

– Rzesza doskonale sobie radzi z takimi wicherzycielami. – Wagner dotknął kosmyka jej włosów i wetknął go za ucho. – Już go nie ma.

– Dawid jest uwięziony w jakimś obozie pracy, ale po wojnie na pewno tu wróci – syknęła hardo przez zęby.

– Nie licz na to.

Laura oddychała coraz głośniej, nie panując nad emocjami.

– On wróci! Obiecał mi to!

– Dawid umarł w tym obozie. Pamiętasz, jak ostra była tegoroczna zima? Zmarzył i się przeziębził, a później przyplątało się zapalenie płuc. Umarł w styczniu tego roku.

– Nie! Nie! To niemożliwe! – krzyczała Laura, uciekając w głąb mieszkania.

Wagner powoli zbliżył się do niej, ale zachował dystans. Dał jej czas. Widział, że drży. Usta wykrzywił jej grymas bólu. Mocno zacisnęła powieki, a dłońmi zakryła uszy. Wreszcie usiadła na podłodze i zaczęła wyć niczym ranne zwierzę.

– Przestań. – Wagner podbiegł do niej i spróbował ją objąć. Nie strząsnęła jego dłoni. Tulił ją coraz mocniej.

Nie miała siły go odrzucić. Nie miała siły wstać i wyjść, choć pragnęła tego niemal tak samo mocno, jak tego, żeby wszystko, co usłyszała o Dawidzie, okazało się kłamstwem. Jej ciało stało się ciężkie i miała wrażenie, że należy do kogoś innego. Myśli galopowały niczym spłoszone stado dzikich koni, o których czytała w jednej z książek należących do Wagnera. Właśnie. One też wcale do niego nie należały. Przywłaszczył je sobie. Dostał to, co chciał. Najwidoczniej teraz chciał mieć ją. Wzdrygnęła się na samą myśl. Zerwała się z podłogi i podbiegła do drzwi. Nie sądziła, że będzie od niej szybszy. Stał przed nią i zagroził drogę.

– Nie możesz tak po prostu wyjść – stwierdził.

Teraz naprawdę zaczęła się bać. Nie miała z nim szans. Nawet kiedy ją bił, nie bała się go tak bardzo jak w tej chwili.

– Proszę, nie rób mi krzywdy – zwróciła się do niego błagalnym tonem.

– Jak możesz tak mówić? – Spojrzała na nią z wyrzutem. – Przecież powiedziałem ci, jak bardzo jesteś mi bliska.

A może nie wszystko stracone. Może nie będzie tak źle.

– Jestem dla ciebie nikim, więc pozwól mi wrócić do domu. Jutro przyjdę doprowadzić mieszkanie do porządku, a teraz połóż się i prześpij.

– Tylko wtedy, jeśli i ty zostaniesz – zażądał, przesywając ją wzrokiem.

– Proszę, pozwól mi wyjść.

– Wiesz, że to niemożliwe – powiedział, po czym przybliżył się i pocałował ją w usta.

Stała bez ruchu, czując dotyk obcego mężczyzny, którego bała się jak nigdy wcześniej. Jego dłonie z coraz większym zapałem błądziły po jej ciele. Czuła ból w każdym z tych miejsc. Mocno przyciskał ją do drzwi. Marzyła, by je otworzyć i uciec stąd jak najdalej. Łzy ściekały jej po policzkach.

Nagle mężczyzna odsunął się od niej, a jej zwiotczałe ciało osunęło się w dół. Usiadła na podłodze zaskoczona.

– Myślisz, że lubię całować trupa? – odezwał się głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszała. – Nawet nie drgniesz! Tak bardzo się mnie brzydzisz? A może ty mnie nienawidzisz? – dopytywał coraz bardziej zirytowany. Wreszcie zatrzymał się, wziął się pod boki i czerwony na twarzy czekał na odpowiedź.

Wiedziała, że powinna zaprzeczyć. Miała obowiązek kłamać, w końcu czekały na nią dwie osoby, którym obiecała się zaopiekować. To dla nich powinna żyć.

– Przepraszam – wyszeptwała łamiącym się głosem.

– Przepraszam, przepraszam – warknęła. – Nie chcę twoich przeprosin! Chcę ciebie! Rozumiesz?!

– Błagam ... – urwała, chowając twarz w dłoniach. – Wypuść mnie. Przysięgam, nikomu nie powiem o tym, co się stało.

– A kto by ci uwierzył – zachichotał nerwowo. – Nikt, kto mnie zna, nie wzięłyby twoich słów na poważnie. Takie rzeczy po prostu nie mają prawa się zdarzyć.

Nie śmiała się poruszyć.

– Myślałam, że będziesz dumna... że się ucieszysz... a ty gardzisz mną i nawet tego nie ukrywasz... Nie przypuszczałem, że możesz być tak podła. Miałem cię za kogoś zupełnie innego...

Nie chciała tego słuchać, ale nie mogła nic zrobić.

– Wynoś się – powiedział zrezygowany. – Mogłaś dostać wszystko, ale nie umiałaś tego przyjąć. Teraz będziesz gnić w tym syfie do końca życia. Nigdy stąd nie uciekniesz.

Laura drżącą dłońią z trudem dosięgnęła klamki. Drzwi ustąpiły. Podciągnęła się i stanęła na rozdygotanych nogach. Niepewnie wyszła na korytarz i ruszyła w dół po schodach. Wtedy usłyszała kroki Wagnera. Odwróciła się w jego stronę. Poczula uderzenie w twarz. Zachwiała się, próbując złapać równowagę. Było już jednak za późno.

## ROZDZIAŁ VI POSZUKUJĄC UKOJENIA

Laura trzymała się drewnianego słupka w tramwaju i wyglądała przez okno. Zmieniające się obrazy śmiało mogłaby uznać za film. Tak wiele by dała, by znów wejść do pogrążonej w mroku sali kinowej i dać się ponieść emocjom prezentowanym przez aktorów na dużym ekranie. Ile wtedy było radości, głośniego śmiechu w sali i długich rozmów po zakończonym seansie. Pamiętała, jak zaciekle broniła filmu, gdy jej rodzice twierdzili, że na miano sztuki zasługuje jedynie sztuka teatralna. Kłamałaby, twierdząc, że nie kocha sceny, ale nie potrafiła ignorować nowej formy wyrazu artystycznego, a za taki uważała kino.

Tramwaj przemierzał kolejne ulice. Kiedy getto obiegała wieść, że planowana jest budowa torowiska, większość Żydów stuknęła się w czoło i śmiała w głos. Niektórzy przyjmowali tę nowinę z obojętnością. Nieliczni upatrywali w tym działaniu jakiegoś przełomu. Być może wierzyli, że to początek odruchów człowieczeństwa u Niemców. Prawdą było, że ruch tramwajowy usprawnił przepływ materiałów dostarczanych oraz zabieranych z getta, co pozwalało zmęczonym okupacją i strachem ludziom wierzyć, że normalność może jeszcze powrócić.

Pojazd szarpnął i się zatrzymał. Kolejni pasażerowie wymienili się, jednak temat rozmów pozostał taki sam. Każdy chciał wiedzieć, co i gdzie rzucili do sklepów. Nikt nie miał pewności, kiedy ani ile pożywienia otrzyma. Już dawno wszyscy zorientowali się, że przydziały skrupulatnie zapisane na kartkach żywnościowych nijak miały się do rzeczywistości.

Laura przycisnęła dłoń do burzącego brzucha. Kilka tygodni temu wróciła do pracy w szwalni i od tamtej pory znów musiała liczyć każdy kęs. Zdarzało się, że rezygnowała z kolacji, by chłopcy mogli coś zjeść przed zaśnieciem. Ich apetyt ją zdumiewał. Przez ostatnie pół roku ratowała sytuację i napełniała ich brzuchy tym, co Wagner pozwolił jej przynieść ze swojego stołu. Powinna żałować, że się wyprowadził, ale nie potrafiła. Wciąż pamiętała ich ostatnie spotkanie i to nie tylko dlatego, co wtedy jej wyznał. Jeszcze długo potem bała się komukolwiek powtórzyć jego słowa. Jednak opiekująca się nią po upadku ze schodów Izabela nie dała się zwieść. Wreszcie Laura wyznała jej, że uciekała od Wagnera i nieuważnie zbiegła ze schodów. Skręconą kostkę uznała za najmniejszą ofiarę, jaką poniosła tamtej nocy.

Kolejna stacja i kolejna grupa rozgadanych pasażerów wymieniła się miejscami. Laura spojrzała na wsiadającego mężczyznę. Wydał jej się łudzaco podobny do Dawida. Przypatrywała mu się coraz nachalniej. Nawet fryzurę miał podobną. Jak przystało na chłodny wrześniowy dzień, włożył koszulkę, a na nią sweter. Niemal identyczny kiedyś nosił Dawid. Wtedy jeszcze nie byli małżeństwem. Wrzesień dopiero się rozpoczął, ale wieczory bywały chłodne. W niedzielne przedpołudnie Dawid przyjechał rowerem pod kamienicę Kozłowskich i szybko wbiegł po schodach. Już kilka minut później gнали na rowerach w stronę Zgierza. Obserwowali wzniesienia łódzkie i wynurzające się zza nich gęste zarośla poprzecinane polami uprawnymi. Zatrzymali się na krótki postój. Rowery pozostawili przy drodze, a sami rozsiedli się na pobliskiej łące. Laura zabrała smakołyki, które przygotowała dla nich Maria – bułeczki drożdżowe grubo obsypane kruszonką, a do picia woda z sokiem porzeczkowym. Słońce świeciło coraz mocniej, przypominając o ciepłym lecie i innych podróżach do pobliskich miejscowości.

Kiedy nieco wypoczęli, wsiedli na rowery. Po drodze minęło ich kilka samochodów. Nie żalowali, że wybrali rowery. Rozmowa. Śmiech. Spokój. Bliskość. To wszystko wydawało się tak naturalne. Gdyby wówczas wiedziała, jak cenne są to chwile...

Dotarli do Zgierza. Tam, przed dużym murowanym domem ustawione były trzy okrągłe stoliki, a wokół nich krzesła pomalowane na biało. Napis nad wejściem informował, że właśnie tutaj można kupić lody i ciasta. Zgodnie stwierdzili, że właśnie tego potrzebują. Delektowali

się łakociami, śmiejąc się przy tym nieustannie. Kiedy skończyli jeść, poprowadzili rowery w głąb niewielkiej miejscowości, by obejrzeć niedawno wybudowany kościół. Weszli do środka, bo proboszcz właśnie przyniósł naręcze kwiatów otrzymanych od jednej z parafianek. Laura zaoferowała pomoc przy układaniu bukietów w wazonach. Kątem oka obserwowała Dawida. Rozglądał się z zaciekawieniem, w milczeniu podziwiał strzeliste łuki podtrzymujące sklepienie i bogato zdobiony ołtarz. Dopiero kiedy wyszli na zewnątrz, Dawid po raz pierwszy przyznał, że wiara nie ma dla niego większego znaczenia. W jego rodzinie jedynie matka kultuwyje tradycje religijne. Dla ojca religia mogłaby nie istnieć, jednak nie chce sprawiać przykrości żonie, dlatego bierze udział w obrzędach religijnych, ale nie zmusza do nich synów.

Spacerując wokół kościoła, długo rozmawiali o tym, czym dla Laury jest wiara katolicka. Wówczas przyznała, że nie potrafiłaby całkiem wyrzec się Boga. Pewne tradycje chrześcijańskie miały dla niej duże znaczenie. Pewnie rozmawialiby o tym jeszcze długo, gdyby niespodziewanie nie lunął deszcz. Zanim skryli się pod dachem kościoła, bardzo przemokli. Na szczęście ulewa nie trwała długo. Wkrótce słońce zdołało przebić się przez parasol z chmur i mogli wracać. Laura miała przemoczoną sukienkę. Włożyła sweter, ale wciąż czuła chłód. Wówczas Dawid rzucił pomysł, by pojechali na stację linii tramwajowej łączącej Zgierz z Łodzią. Mieli szczęście. Pół godziny później z przyklepionymi do okien nosami mknęli w stronę Łodzi, rozmyślając o tym, czego się o sobie dowiedzieli.

Laura ocknęła się z pięknych wspomnień. Wciąż przypatrywała się mężczyźnie. Ten wreszcie, zwabiony jej wzrokiem, zerknął ku niej. Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo ten człowiek różnił się od Dawida. Nagle cała nadzieja prysła. Znowu poczuła przepęlniającą ją pustkę.

Powoli wyjrzała przez okno. Zdążyła już opłakać męża. Przez dwa tygodnie nie wychodziła z domu. Z nikim nie podzieliła się wieścią o śmierci Dawida. To była wiadomość, z którą nie mogła się pogodzić. Drżała na samo podejrzenie, że słowa Wagnera mogły być prawdą. Nie chciała, by bliźniacy stracili nadzieję na odzyskanie rodziny. Ból duchowy umiejętnie zrzuciła na kark bólu fizycznego po skręceniu kostki. Gdy zostawała sama w mieszkaniu, wyła, wbijała paznokcie w ciało, rwała włosy z głowy. Kiedy wracali domownicy, udawała, że śpi, żeby uniknąć rozmów. Chudła w oczach. Brakowało jej sił. Nawet jeśli się uśmiechała, nie odczuwała radości. Wreszcie nadszedł czas powrotu do szwalni. Nie mogła odwlekać tego w nieskończoność.

Tylko Izabela nie dała się zwieść. Wiedziała, czym jest cierpienie. Wiedziała, czym jest samotność. Na szczęście wiedziała też, jak ważna jest otucha. Sama otrzymała jej nadto od Laury. Teraz miała szansę spłacić dług. Dzisiaj umówiły się, że po pracy wybiorą się na spacer. Tak dawno nie były na Marysinie. Pamiętała lato tysiąc dziewięćset czterdziestego, gdy opiekowała się dziećmi, dla których Rumkowski zorganizował kolonię. To była namiastka chwilowego powrotu do życia, zanim Łódź otrzymała nazwę Litzmannstadt<sup>2</sup>.

Laura wysiadła. Na przystanku czekała na nią Izabela.

– Witaj – odezwała się. – Gotowa?

Laura skinęła głową i bez pośpiechu ruszyły w stronę Marysina. Zielen wciąż jeszcze pięknie prezentowała się na tle coraz bardziej zaniedbanych kamienic. Skręciły z brukowanej ulicy i szły wąską ubitą drogą wśród nielicznych drzew przepłatanych krzewami i kępami wysokiej trawy. I choć miejsce to miało już za sobą okres swojej świetności, wciąż było jedyną alternatywą dla zatłoczonych kamienic, gwarnych ulic i głośnych zakładów pracy, których pefno było wokoło.

– Jadłaś coś dzisiaj? – odezwała się Izabela, choć znała odpowiedź. – Weź to – rozkazała i wcisnęła w jej dłoń jabłko. – Chłopaki znów będą się martwić, jak zobaczą, że nie masz siły.

Laura traktowała jej słowa jak artylerię wyciągniętą po to, by nie śmiała odmówić. Ugryzła jabłko, ale poczuła ból. Od czasu do czasu dziąsła i zęby dawały jej o sobie znać. Gdy zaczęła lepiej się odżywiać, dolegliwości ustąpiły. Najwidoczniej teraz znowu powinna bardziej o siebie dbać. Tylko jak to zrobić? Ostrożnie odgryzała kolejne kawałki jabłka i żuła je powoli, by nie ułamać zęba.

– Jak było w pracy? – zagaiła Izabela.

– W porządku.

– Ile guzików zdołałaś przyszyć?  
– Już dawno przestałam je liczyć, chociaż powinnam – westchnęła. – Może przynajmniej w ten sposób mogłabym ćwiczyć umysł, żeby nie zwariować.

Izabela objęła ją i przez chwilę szły w ciszy. Minęły duży klomb, który kiedyś zdobiły żonkile, mieczyki i prymule. Teraz nieliczne kwiaty przysłaniały chwasty.

– Pamiętasz zapach róż? – spytała Izabela, zmieniając temat.

Laura pokiwała głową.

– Kiedyś nawet miałam perfumy o tym zapachu. Tatko mi je sprezentował, gdy dostałam zaproszenie na swój pierwszy bal – wspominała, a jej głos nagle stał się miękki. – Pachniały jak prawdziwe kwiaty, które kupowałam na targu albo jak te rosnące u Wiesi w ogródku przed domem. Uwielbiałam patrzeć na te różowe pąki sięgające okiennic. Tak pięknie wyglądały na tle drewnianych ścian domu – dodała i zawiesiła głowę. – Jak bardzo mi tego wszystkiego brakuje. Chciałabym cofnąć czas. Chciałabym znowu być tą dziewczyną, dla której miłość to wspólnota, nadzieja i radość. – Spuściła wzrok, a jej głos znowu stał się smutny.

– Myślisz, że kiedyś będziemy się śmiały, ot tak, bez powodu?

– Nie umiem ci odpowiedzieć.

– Wiesz, że od dawna wątpię w jakąkolwiek przyszłość dla naszego narodu, ale ty sprawiłaś, że się nie poddałam. Pozwoliłaś mi uwierzyć, że Samuel mnie potrzebuje. On czuje, że żyję i o nim myślę. Dzięki temu obydwoje jesteśmy silniejsi.

Przez chwilę szły w milczeniu, trzymając się za dłonie. Laura myślała o słowach współlokatorki. Do niedawna sama wierzyła, że po wojnie odnajdzie męża, a wtedy wspólnie namalują swoją dalszą drogę. Gdyby nie te przekłete słowa Wagnera, wierzyłyaby w to nadal. Jedno zdanie zmieniło całe jej życie. Teraz każdego dnia musiała zmuszać się do tego, by udawać, że jej życie ma jakikolwiek sens.

– Dawid nie żyje – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

– Nie mów tak. Wyjechał do obozu pracy. Po wojnie się odnajdziecie.

– Nie. – Laura szybko pokręciła głową. – On umarł. Nie ma go już przy mnie.

– Skąd to wiesz?

– Od Wagnera.

– A on skąd to może wiedzieć?

Laura zamyśliła się, szukając wyjaśnienia.

– Może spotkał kogoś, kto mu powiedział, a może sam pytał o Dawida w obozie, do którego go zawieźli.

– Czyli nie wiesz dokładnie?

– Nie! – Laura wyraźnie się zirytowała.

– A może po prostu cię okłamał? – podsunęła Izabela.

Usiadły na trawie. Laura zdjęła buty, które były już bardzo znoszone i coraz mniej wygodne.

Izabela podała Laurze kawałek chleba. Dla siebie też wyjęła kromkę. Jadły w ciszy. W oddali słychać było ujadanie psa. Nie zwracały jednak na nie uwagi pochłonięte własnymi myślami.

– Myślisz, że oni żyją? – Laura spojrzała na Izabelę.

– Żyją – odparła Izabela bez wahania. – A my musimy żyć dla nich.

Ujadowanie psa stawalo się coraz głośniejsze. Zaczęły rozglądać się wokoło. Niemal jednocześnie dostrzegły kilku mundurowych biegnących w ich stronę. Jeden z nich ledwie dawał radę utrzymać wrywającego się owczarka. Pies toczył pianę, dławiąc się na skórzanym pasku. Kobiety obserwowały rozwścieczoną bestię, w duchu zaklinając ją, by zostawiła je w spokoju.

– Co tu robicie? – zwrócił się do nich głośno dyszący ze zmęczenia policjant.

– Odpoczywamy – odezwała się Laura po niemiecku.

Mężczyzna rozejrzał się, ale nie dostrzegłszy niczego interesującego, spytał:

– Widziałyście może uciekającego małego brudasa?

Zgodnie pokręciły głowami i jak na komendę zaczęły się rozglądać. Musiały wypaść przekonująco, bo wkrótce pogoń ruszyła w innym kierunku. Mogły spokojnie dokończyć jedzenie, jednak obydwie straciły apetyt. Wstały więc i podreptały na przystanek tramwajowy.

Wrześniowe dni coraz wcześniej ustępowały miejsca chłodnym nocom, przypominając o nadchodzącej jesieni. Babie lato unosiło się w powietrzu i czepiało gałązek krzewów i drzew, których liście zdążyły żółknąć lub się zaczerwienić. W powietrzu czuć było nadchodzącą zmianę temperatury.

Józef przyspieszył kroku. Zaczęło się ściemniać, a on miał przed sobą jeszcze spory kawałek drogi. Znowu z chłopakami przeszukiwał teren niedaleko obozu prewencyjnego. Tym razem nie znaleźli niczego przydatnego. Być może dlatego przyszedł im do głowy ten głupi pomysł. Zaczęli się wspinać na biegnący wokół obozu drewniany płot, który sami zbudowali. Znaleźli miejsce, w którym nie widać było strażników patrolujących rewir. Józef wdrapał się na plecy koledek i wyrzał za płot. Znał to miejsce. Sami pracowali przy budowie tych baraków. Z jednego z nich kolejno zaczęły wychodzić dzieci i ustawiać się w rzędzie wzdłuż dłuższej ściany. Wszystkie miały wzrok wbity w ziemię. Ich ubrania były brudne i choć na dworze panował chłód, one wciąż nosiły bluzki z krótkim rękawem. Tuż przed nimi stała kobieta głośno wykrzykująca komendy. Dzieci posłusznie odliczały. Kiedy przyszła kolej na drobną blondynkę, zapadła cisza. Kilkuletnia dziewczynka milczała. Stojąca obok koleżanka trąciła ją, lecz blondynka nie zareagowała. Kobieta głośno zapytała ją o numer, ale dziecko tylko zakryło uszy dłońmi i nie odpowiedziało. Strażniczka w mgnieniu oka znalazła się przy niej i szarpnęła ją, ponownie zadając pytanie. Dziecko mocno przycisnęło głowę do piersi i osłoniło ją chudymi rączkami, jakby znało przyszłość. Wtedy zgodnie z przewidywaniami posypały się razy. Strażniczka wrzeszczała, okładając wątłe ciało pięściami. Dziewczynka z każdym ciosem kuliła się coraz bardziej. Pozostałe dzieci starały się nie patrzeć w ich stronę. Niektóre bezgłośnie płakały, wiedząc, jaka kara by je spotkała, gdyby zwróciły na siebie uwagę. Wokół dwóch bardzo podobnych do siebie dziewczynek stojących na samym końcu grupy pojawiły się kałuże moczu, które powiększały się z każdą sekundą.

– Co widzisz? Co tam się dzieje? – dopytywał chłopiec, który podtrzymywał Józefa, niecierpliwiąc się coraz bardziej.

– Nic, co chciałbyś zobaczyć na własne oczy – odparł Józef, nie odrywając wzroku od grupy dzieci. – Idziemy do domu – dodał i zeskoczył na ziemię.

– Co tam się dzieło? – zapytał drugi z poszukiwaczy przygód.

Józef wsadził dłonie do kieszeni i nieco się przygarbił. Szedł szybkim krokiem. Przed oczyma wciąż miał obraz udręczonej dziewczynki, torturowanej przez strażniczkę. Dotychczas myślał, że zamknięte za płotem dzieci są odizolowane, bo zagrażają innym. To, co przed chwilą ujrzął, świadczyło o czymś zupełnie innym.

– Żal mi ich – stwierdził wreszcie i nieco ochłonawszy opowiedział, co przed chwilą widział.

Teraz już cała trójka szła zamyślona. Minęli kilka bocznych ulic i wyszli naprzeciwko kamienicy zamieszkiwanej przez Lewiatana. Chłopak machnął kolegom na pożegnanie i podszedł do drzwi wejściowych. Jego uwagę przykuł cichy dźwięk dochodzący z niewielkiego okienka piwnicy, która kiedyś służyła do przechowywania węgla. Początkowo sądził, że to koty. Pociągnął więc za klamkę. Wtedy uświadomił sobie, że o tej porze roku takich odgłosów nie powinien słyszeć. Cofnął się więc i wychylił, by zajrzeć przez niedomknięte okienko. W środku panował mrok, a zawrodoenie niespodziewanie ustało. Józef pochylił się mocniej, ale na nic się to zdało. Musiał wejść do środka.

Wbiegł na klatkę i popędził schodami w dół. Szarpnął za drzwi. W środku poczuł chłód. Zaczekał, aż wzrok przywyknie do ciemności i po omacku ruszył wzdłuż ściany. Pamiętał, że gdzieś po lewej stronie od wejścia zawieszona była lampa naftowa. Rzadko tu zaglądali, bo o węglu już nawet nie marzyli, a przetworów na zimę nie mieli z czego zrobić. Wreszcie natrafił na lampę. Wyświetając wzrok, znalazł leżące nieopodal pudełko z kilkoma zapałkami i zapalił ogień. Żółtawe światło oślepiło go. Zaczekał, aż jego wzrok przywyknie i dopiero po chwili zaczął oświetlać kolejne fragmenty piwnicy w poszukiwaniu źródła dźwięków, które go tu zabrały. Nagle usłyszał szelest. Odwrócił się niemal natychmiast. Wówczas ujrzął wpatrone w niego oczy. Józef zbliżył się do przygarbionego chłopca. Miał nieodparte

wrażenie, że go zna. Jego ciemne, splątane włosy okalały drobną, brudną twarz. Chłopiec drżał, czekając na to, co nastąpi.

– Co tu robisz? – zagał Józef.

– Nie oddasz mnie?

– Komu mam cię oddać czy raczej nie oddać?

– Tamtym. – Chłopiec z przerażeniem zerknął w stronę wejścia. – Oni mnie zabiją.

– Nie bój się. Tam nikogo nie ma.

– Nie. Oni mnie szukają. Mają dużego psa – odparł chłopiec, kręcąc się niespokojnie.

Józef usiłował zrozumieć, o czym mówi to dziecko. Nagle go olśniło. Przypomniał sobie, w jakich okolicznościach spotkał ludzi z psem.

– Strażnicy? – upewnił się.

Chłopak kiwnął głową.

– Uciekłeś z obozu? – pytał dalej.

Chłopiec ponownie pokiwał głową.

– Ja ciebie znam... – zawahał się. – Widziałem cię zimą, gdy odśnieżałeś obóz. Teraz jestem pewien, że to byłeś ty! Marian! – wykrzyknął rozradowany, ale widząc narastający strach w oczach chłopca, zakrył usta dłonią i rozejrzał się, by się upewnić, czy nikt ich nie usłyszał.

– Uciekłem wczoraj przez dziurę w płocie.

– I nikt cię nie zauważył?

– Strażnicy akurat się zmieniali. Byli zajęci gadaniem, a ja prysnąłem.

– Brawo – pochwalił Józef i klepnął chłopca w ramię. Ten momentalnie zrobił unik. – Co jest? Nic ci nie zrobię.

Marian spuścił wzrok i cofnął się w głąb piwnicy.

– Nie bój się – prosił młody Lewiatan, ale chłopak się nie ruszył. Wtedy Józef wyjął z kieszeni kawałek skórki od chleba. Bardzo ją lubił, dlatego zostawiał ją sobie na czarną godzinę. Dzisiaj tyle się działo, że o niej zapomniał. Marian szybko porwał zdobycz, skulił się pod ścianą i zaczął łapczywie połykać skórkę.

– Spokojnie. Chyba dawno nie jadłeś. Uważaj, bo się udusisz – ostrzegął Józef, ale chłopiec zdawał się go nie słyszeć.

Lewiatan wyjął jeszcze jeden kawałek wczorajszej kromki chleba. Tym razem nie wyciągnął dłoni, tylko trzymał ją blisko ciała.

– Mam jeszcze trochę, ale musisz podejść bliżej – zachęcał. – Gdzie będziesz się ukrywał? Masz tu kogoś znajomego? Wiesz, dokąd iść? – Zadawał kolejne pytania, choć na żadne nie uzyskał odpowiedzi.

Chłopak, który na oko nie miał więcej niż dwanaście lat, ani na moment nie spuścił wzroku ze skórki. W tej chwili nie potrafił myśleć o niczym innym. Od wczoraj nie miał nic w ustach, a to, co dostawał w obozie, nawet nie przypominało jedzenia. Trochę mętnej wody, w której pływały kawałki brukwi lub kapusty, trudno było nazywać zupą. Kromka czarnego chleba, w którym więcej było trocin niż mąki, nie mogła smakować ani zaspokoić chronicznego głodu. A kiedy w przekonaniu strażników coś przeszkrobał, pozbawiano go nawet tej namiastki pożywienia.

– Marian, co zamierzasz dalej robić?

Przywołanie imienia poskutkowało. Chłopak ostrożnie wychylił się z cienia. Wciąż patrzył na chleb, ale odezwał się:

– Nie mam dokąd uciec. Rodziców zakatowało gestapo na przesłuchaniu. Mnie zamknęli tutaj, żebym nie demoralizował prawowitych mieszkańców Rzeszy. Powiedzieli, że jestem podejrzany elementem, a tacy nie zasługują, by mieszkać wśród społeczeństwa.

– Nie masz szans na wydostanie się z getta. Stąd nikt nie wyjdzie, chyba że na cmentarz.

– Czyli głupio zrobiłem, że zwiąłem? – Osunął się na podłogę, jakby nagle ktoś pozbawił go energii.

– Chyba jednak lepiej będzie ci tutaj niż w obozie. Tylko co z tobą zrobić? Jak cię tu nakryją, to cała kamienica będzie cierpiała.

– Błagam, nie przeganiaj mnie stąd – szepnęła Marian. – Tamten facet mnie wygonił. Znowu musiałem uciekać. Krzyczał, żebym nie wracał.



– Wszyscy się boją o życie swoje i bliskich.

– Proszę cię. – Marian przytulił się do nóg Józefa. – Pozwól mi zostać.

Józef szybko przekalkulował wszystkie możliwości i podjął, w swoim przekonaniu, jedyną słuszną decyzję.

– Zaczekaj tu, zaraz wracam – nakazał, próbując podnieść chłopca, lecz ten odskoczył jak oparzony. – Siedz cicho. Na razie zgaszę lampę, a ty włącz w kącie i nie wyściubiaj z niego nosa. Zrozumiano?

Marian pokiwał głową. Pojawiało się małe światełko w tej czarnej otchłani zła, w której utknął dziewięć miesięcy temu.

Wciąż pamiętał dzień, gdy gestapo przyszło do ich domu. Matka właśnie ugotowała zupę zacierkową. Udało jej się kupić mąkę, jaja i trochę marchwi. Kilka dni wcześniej za niebotyczną cenę na targu utargowała kawałek słoniny, którą usmażyła, by okrasić nią zupę. Razem z ojcem usiedli do stołu i czekali na smakowicie pachnący obiad. Matka, jakby im na przekór, zlekkała z podaniem posiłku. Wciąż powtarzała, że potrzebuje jeszcze chwili, by kluski się dogotowały. Kiedy wreszcie nosła talerze napełnione po brzegi parującą zupą, do ich domu na obrzeżach Łodzi z impetem wkroczyli gestapowcy. Talerze z głośnym hukiem spadły na podłogę. Zupa poparzyła mamie stopy, obryzgała też meble. Gestapowcy trzymali na muszce jego rodziców. Patrzył w osłupieniu. Właśnie skończył jedenaście lat i nie był już dziekiem. Widział areztowania i łapanki, ale nigdy miał lufy przystawionej do skroni. Drżał. Chciał przytulić się do matki, ale nie był w stanie poruszyć ani rękoma, ani nogami. Mógł tylko patrzeć, jak oprawcy zadają jej ból, gdy nie chciała odpowiadać na pytania. Później wyprowadzili ich z domu i posadzili na przyczepie niewielkiej ciężarówce z odkrytą plancką. Słońce tak jasno wtedy świeciło, a oni drżeli ze strachu. To był ostatni raz, kiedy widział rodziców. Zostawiono go samego w domu. Początkowo zaopiekowała się nim siostra matki, ale z czasem i ona przestała się nim interesować. Sam musiał o siebie zadbać. Żebrał lub kradł. Tak wpadł w ręce niemieckich policjantów. Potem trafił do obozu prewencyjnego.

Niemal przygłnął do ściany, nie chcąc wzbudzać zainteresowania mieszkańców kamienicy, do której trafił wczorajszej nocy. Najpierw ukrył się w komórce przy warsztacie, w którym wyplatano koszyki z wikliny. Przez małą dziurkę dostrzegł zbliżającego się mężczyznę, więc spróbował zanurkować pomiędzy stojącą w równych rzędach wikliną. Nie zauważył tylko ustawionych przy ścianie grabi. Gdy na nie wszedł, zachwiał się i osunął na wiązkę badyli. Ta oparła się o drugą, co natychmiast wzbudziło zainteresowanie otwierającego drzwi pracownika. Kiedy znalazł chłopca, nie chciał słuchać prośb i błagań. Kazał mu się wynosić, zanim zawoła policję. Marian nie miał wyjścia. Musiał uciekać. W głowie wciąż dźwięczały mu odgłosy pogoni, która zapewne za nim wyruszyła. Przemykał blisko drzew i ścian kamienicy, unikając głównych ulic. Wreszcie dostrzegł uchylone okienko w piwnicy.

Gdy usłyszał kroki, znieruchomiał. Wstrzymał oddech.

– Pssst – usłyszał czyjś głos. – Jesteś tu?

Teraz już poznał głos Józefa.

– Tutaj – przyznał się.

Józef zapalił lampę. Światło na moment obydwu ich oślepiło, ale kiedy Marian zdołał przyzwyczaić wzrok, odkrył, że Józef nie przyszedł sam. Cofnął się, by wyjść z kręgu światła.

– Nie bój się. To tylko mój brat. On też chce ci pomóc.

– Będziemy do ciebie zaglądać na zmianę, żeby nikt się nie zorientował, że tu jesteś – dodał Elias.

– Spróbujemy przynieść ci coś do jedzenia.

– Ustę jest na zewnątrz, więc staraj się do niego chodzić tylko nocą.

– Na razie nie mamy pomysłu, co z tobą zrobić, ale wybadamy grunt.

Marian słuchał i poczuł kiełkującą nadzieję. Przeżył ucieczkę i pierwszą dobę na wolności, właśnie zyskał szansę na spędzenie kolejnego dnia poza miejscem, które nie miało prawa istnieć.

– Tutaj masz marchew i buraka. – Eliasz podał chłopcu warzywa. Ten rzucił się na nie i zaczęł łapczywie jeść.

Bliźniacy przyglądali się mu, dopóki w błyskawicznym tempie nie pogryzł całej marchewki. Do zjedzenia buraka potrzebował chwili, więc przerwał i spojrzał na nich.

– A tu jeszcze pajda chleba na jutro. Tylko nie jedz tego dzisiaj, bo będziesz głodował cały dzień, a my przyjdziemy do ciebie dopiero po robocie. Kapujesz? – upewnił się Józef.

– Kapuję – przytaknął Marian i wziął chleb, ale nawet na niego nie spojrzał.

– Masz tu koc. – Eliasz podał mu stary pled wyciągnięty ukradkiem z szafy Szulca.

– Zaraz przyniosę ci jeszcze słomianą wycieraczkę – oświadczył Józef i wymknął się z piwnicy.

Marian ułożył na podłodze podarunki i w milczeniu obserwował Eliasza.

– Tylko nikomu się nie pokazuj – przykazał Lewiatan.

Marian pokiwał głową na zgodę. W tym samym momencie wrócił Józef i rzucił na ubitą ziemię słomianą wycieraczkę. Marian ułożył na niej koc i bez słowa się położył.

– Do jutra – pożegnał się Józef i pociągnął Eliasza do wyjścia.

Razem wyszli na klatkę schodową i się zatrzymali.

– I co my z nim zrobimy? – zastanawiał się Eliasz.

– Nie mam pojęcia, ale sam widziałem, przez co te dzieciaki tam przechodzą. Ja bym tego nie przeżył – szepnął Józef.

– A mnie zastanawia, dlaczego Niemcy właśnie tutaj zbudowali obóz dla dzieci.

– To akurat bardzo proste – odparł Józef. – Przecież stąd nie ma ucieczki.

– Rzeczywiście, jeśli nawet ktoś ucieknie za płot obozu, to już na pewno nie wydobędzie się z getta. W dodatku kto by zechciał karmić uciekiniera.

– My?

– Tylko cicho sza – nakazał Eliasz i pierwszy zaczął się wspinać po schodach.

Gdy weszli do mieszkania, Laura zdążyła już posprzątać po kolacji. Izabela wróciła do pokoju i zabrała się do cerowania pończoch. Szulc położył się, żeby zwalczyć pierwsze objawy przeziębienia.

– Co się tak włóczycie po nocy? – spytała Laura.

– Jak zwykle Józek coś sobie wymyślił i musiałem zejść, żeby mu udowodnić, że mu się przywidziało.

Laura zmarszczyła brwi. Zdążyła już na tyle dobrze poznać szwagrów, że wiedziała, kiedy coś kombinują.

– Tylko już nigdzie nie wychodźcie – powiedziała i schowała naczynia do kredensu.

Do kuchni weszła rodzina Szifrinów. Estera z córkami zaczęła przygotowywać posiłek. Oprócz chleba miały też kawałek masła, bo Aneta całe lato robiła na drutach wełniane rękawice, szaliki i czapki, zaś Gabriela pruła stare, za małe ubrania i z pozyskanej w ten sposób wełny dziergała swetry i spódnice. Jednego razu pokusiła się o zrobienie getrów. Szybko znalazła na nie nabywcę. Laura, pamiętając poprzednie zimy, chętnie je kupiła, a raczej wymieniła za bochenek chleba. Wiosną, gdy pracowała u Wagnera, pieniądze, których nie musiała wydawać na jedzenie, przeznaczyła na zakup ubrań dla chłopców. Koszule i spodnie Dawida sama zdołała dla nich przerobić, ale swetry i szaliki zaniósła do Szifrinów.

– Smacznego – powiedziała Laura i wyszła z kuchni.

\* \* \*

– A wy znowu buszujecie po kuchni – zdziwiła się Izabela. – Dopiero co jedliście kolację.

Na twarzach bliźniaków odmalowało się zmieszanie. Nie wiedzieli, gdzie podziąć wzrok, jak złodzieje schwytni na gorącym uczynku.

– Laura dzisiaj pożałowała nam podpłomyków – poskarżył się Józef.

– Tak, a takie dobre jej wyszły, że chcieliśmy sprawdzić, czy jeszcze jakieś nie zostały – zawtórował mu brat.

– To może zapytajcie ją o to, a nie myszkujcie po tych szafkach jak jacyś złodzieje – skomentowała uszczypliwie Izabela.

– Ma pani rację – pojednawczo przytaknął Józef, chcąc jak najszybciej zakończyć sprawę.

Izabela ukroiła sobie cieką kromkę chleba. Nie spieszyła się z jedzeniem. Wtedy miała wrażenie, że szybciej czuje nasycenie. Tym razem wciąż czuła głód. Zajrzała do kredensu i przypomniała sobie o brukwi, którą kupiła kilka dni wcześniej. Leżała pośrodku pustej półki. Chwyliła nóż i z trudem odkroiła spory kawałek twardej brukwi, po czym zaczęła go chrupać. Poczwała ból dżiąseł w miejscach, gdzie brakowało jej użębienia, które straciła w czasie ostatniej ciąży. Po wejściu do getta szybko odczuła brak odpowiedniej diety. Noszone pod sercem dziecko potrzebowało wartościowego pożywienia, a ona nie mogła mu tego dać. Często nie miała siły, by zwlec się z łóżka i zaopiekować pozostającą trójką dzieci. Mogła liczyć tylko na siebie. Mąż musiał chodzić do pracy, by zapewnić rodzinie jakikolwiek byt.

Pamiętała, jak pierwszy raz zaszła w ciążę. Jej rodzice i teściowie oszaleli z radości. Co tydzień zapraszali ich na obiad. Teściowa zawsze pytała, na co ma ochotę i specjalnie dla niej przygotowywała posiłek. Jej matka wynajęła gosposię, która codziennie przychodziła, by gotować młodemu małżeństwu obiady. Zadaniem Izabeli było chodzenie na spaceru i odpoczynek. To były niezapomniane chwile w jej życiu. Być może dlatego, gdy półtora roku po urodzeniu córki zorientowała się, że znowu zaszła w ciążę, szalała z radości. Miała już na stałe zatrudnioną niankę zajmującą się dzieckiem i gosposię prowadzącą dom. Wszystko układało się niemal idealnie.

Izabela nawet nie zauważyła, gdy zjadła cały odkrojony kawałek brukwi. Posmakowało jej, dlatego ukroiła kolejny i znowu zatopiła w nim zęby. Miała też wrażenie, że drzwi wejściowe stuknęły. Być może ktoś wyszedł, ale to nie była jej sprawa. Przyzwyczyła się już do życia pod jednym dachem z obcymi ludźmi. Dzisiaj tak by ich nie nazwała. Razem dużo przeszli i żyli się ze sobą. Szczególnie bliska stała jej się Laura. W głębi duszy podziwiała ją, bo znała jej sekret. Wiedziała, że nie musi mieszkać po tej stronie ogrodzenia. A jednak została tu dla obcych dzieci. Kiedyś, gdy rozmawiały w jedną z tych upalnych nocy, gdy człowiekowi trudno jest oddychać, Laura zdradziła, że opiekę nad Lewiatanami traktuje jak część swojego nauczycielskiego powołania. W ten sposób wciąż ich uczy.

Niedawno Laura zaczęła wspominać o chęci powrotu do nauczania. Coraz częściej opowiadała o znamienitych utworach literatury światowej, które poznała dzięki pracy u Wagnera. Powtarzała przy tym, że kiedyś wojna się skończy i wtedy Polska będzie potrzebowała światłych ludzi, którzy utworzą przed resztą drzwi do przyszłości.

Izabela skończyła jeść i resztę brukwi schowała do kredensu, a obok położyła odrobinę chleba. Musiało go wystarczyć na śniadanie. Później wróciła do pokoju, rozebrała się i położyła na sienniku. Laura zdążyła zasnąć. Widocznie miała dziś wyczerpujący dzień w szwalni.

Było już dobrze po północy, gdy Izabela przekreśliła się na lewy bok, lecz ból nie mijał. Podciągnęła nogi pod szyję, ale wciąż czuła ucisk w brzuchu. Spróbowała położyć się na plecach. Wokół panowała ciemność. Odsunęła się, by nie obudzić Laury i czekała, aż ból ustąpi.

Leżenie na wznak nie pomogło. Teraz wydawało jej się, że słyszy bulgotanie wydobywające się z jej brzucha. Podniosła się powoli i zarzuciła chustkę na plecy. Kończył się wrzesień, więc noce były już zimne. Na palcach przeszła na korytarz i wydostała się na schody. Ból stale się wzmacniał. Wreszcie wymacała drzwi wyjściowe i szarpnęła klamkę. Zimny pot pojawił się na jej skroniach. Powiew chłodnego powietrza nieco ją ocucił, ale ból nie pozwolił się wyprostować. Wreszcie otworzyła drzwi ustępu i weszła do środka.

Po jakimś czasie wstała powoli i otworzyła drzwi. W tej samej chwili poczuła opór i czyjś jęk. Nie miała wątpliwości, że kogoś uderzyła. Wychyliła się i dostrzegła zgięte wpół dziecko, które obydwie dłonie przyciskało do nosa.

– Przepraszam, nie chciałam cię uderzyć – Izabela zaczęła się tłumaczyć i ruszyła w stronę chłopca. – Pokaż – szepnęła, lecz w tym momencie dziecko puściło się pędem przez podwórko. – Poczekaj, przepraszam! – krzyknęła i natychmiast zakryła usta, przypomniawszy sobie, że jest środek nocy.

Na szczęście niebo było bezchmurne, więc zdołała zauważyć, dokąd uciekł chłopiec. Wbiegł do ich kamienicy. Była jednak pewna, że tam nie mieszkał.

Drzwi trzasnęły, więc pociągnęła za klamkę i wpadła do środka. Nasłuchiwała. Odgłosy kroków nie dochodziły z góry, ale z dołu. Podążyła ich śladem. Gdy znalazła się w piwnicy, usłyszała kolejny trzask drzwi prowadzących do jednego z większych pomieszczeń. Podążyła w tamtym kierunku. Przycisnęła ucho do drzwi. Nic nie słyszała, ale była przekonana, że to tam ukryło się dziecko.

– Nie bój się. Nic ci nie zrobię – powiedziała łagodnie, jednak nie doczekała się odpowiedzi.

– Wyjdź stamtąd. Nie musisz się mnie bać.

Znowu cisza. Popchnęła drzwi, lecz były czymś zablokowane. Spróbowała raz jeszcze, ale i tym razem nie udało jej się ich otworzyć.

– Otwórz – nalegała. – Przecież wiem, że tam jesteś.

Tym razem też nie doczekała się odpowiedzi. Znowu pchnęła drzwi, ale bez efektu.

– W takim razie zostaną tu do rana, żebyś nie był sam – obiecała i przysiadła pod drzwiami, bo wciąż czuła lekki ból brzucha. Wtedy usłyszała szelest, a po chwili drzwi się uchyliły. Ostrożnie je popchnęła i weszła do środka. Nic nie widziała, lecz to jej nie zraziło.

– Jak się nazywałeś?

– Marian – odparł chłopiec cicho.

– Nie boisz się tu siedzieć?

– Tu jest dobrze – wyznał, wciąż pozostając w najdalszym kącie.

Teraz wiedziała, gdzie był. Nie miała tylko pojęcia, co tutaj robił.

– Uciekłeś z domu? A może ktoś cię gonił i zabłądziłeś? Gdzie mieszkasz? – zadawała kolejne pytania, powoli zbliżając się do miejsca, skąd dochodził głos chłopca.

– Ja tu nie mieszkam – padła odpowiedź.

– To wiem. Gdzie masz swój dom?

– Przy Szosie Pabianickiej – wyznał.

Kobieta się zatrzymała. Wiedziała, gdzie jest ta ulica, ale nie takiej informacji potrzebowała.

– Tam mieszkałeś przed wojną?

– Tak.

– A w getcie, gdzie mieszka twoja rodzina? – spytała i zrobiła kolejny krok w jego stronę.

– Nie mam tu rodziny.

Znowu się zatrzymała, próbując poskładać strzępy informacji.

– To co tutaj robisz?

– A nie wyda mnie pani? – upewnił się Marian.

– Nie – odparła pośpiesznie i w tej samej chwili dostrzegła chudą postać tulącą się do ściany.

– Uciekłem z obozu na Przemysłowej, ale nie mogę się wydostać z getta.

Izabela wstrzymała oddech. Wiedziała, że Niemcy stworzyli odosobnione miejsce dla polskich dzieci. Widocznie nie było w nim lepiej niż w samym getcie. Wyciągnęła dłoń, chcąc pogłaskać chłopca, ale ten odskoczył i spuścił głowę. Najwyraźniej w tej chwili potrzebował czegoś innego, by odzyskać wiarę w człowieka.

## ROZDZIAŁ VII

### SŁUSZNA DECYZJA

– Nie wystarczy umieć mówić. Musisz też umieć to wszystko napisać – tłumaczyła Laura wytrwale, choć tego wieczoru robiła to kolejny raz. – Pomyśl, dlaczego akurat taka pisownia – nalegała, patrząc na najwyższego chłopca siedzącego przy stole.

– Chyba się wymienia? – zgadywał.

– Nie ma co do tego wątpliwości i na początku dzisiejszych zajęć omawialiśmy ten przykład – podkreśliła Laura po belfersku. – Musisz się skupić, bo w przeciwnym razie niczego nie zapamiętasz.

Od października Laura dwa razy w tygodniu zbierała domowników na lekcję języka polskiego. Wieczory stawały się coraz dłuższe, a chłód i nieustanne patrole odstraszały młodzieńców od włączenia się po getcie. W listopadzie poszła więc za ciosem i dołożyła jeszcze jedno wieczorne spotkanie. Z tyłu głowy wciąż miała obraz kończącej się wojny i powrót do szkoły. Była przekonana, że większość dzieci się nie uczy. Odkąd nakazano dzieciom pracować, nieliczne znajdowały w sobie determinację, by wieczorem pomyśleć o nauce.

Laura wolała patrzeć w przyszłość, by zapomnieć o teraźniejszości. Miała poczucie, że musi przygotować chłopców do życia poza gettem. Kiedy ta koszmarna wojna się skończy, ktoś będzie musiał pracować przy odbudowie Polski. Nie chciała, by Lewiatanowie zasilili grono pracowników fizycznych. Wiedziała, że nie jest to łatwe życie. Sama odczuwała ból pleców i rąk przez długie godziny ślęczenia w szwalni z igłą w dłoni.

Teraz zwróciła się do najmłodszego chłopca z prośbą, by przeliterował wyraz. Ten jak zwykle siedział skulony w kącie. Powtórzyła polecenie, bo za pierwszym razem nie zareagował. Wreszcie się ocknął i niepewnym głosem zaczął mówić:

– M-a-r-c-h-e-w – wydukał i zerknął w stronę nauczycielki.

– Świetnie sobie poradziłeś – pochwaliła Laura i się uśmiechnęła. – Może teraz coś trudniejszego – zaproponowała i podała następny przykład: – Chrzan.

Chłopiec wciąż na nią nie patrzył. Siedział na słomianej macie i przyciskał kolana do brody. To była jego ulubiona pozycja. Odkąd Izabela zabrała go do mieszkania, tak spędzał większość czasu.

– Spróbujesz? – zachęcała go.

– Kiedyś jadłem chrzan z jakimś pieczonym mięsem – przypomniał sobie Józef i aż się obliżał.

– Nie kuś, diable – sarknął jego brat.

– Panowie, dajcie szansę koledze coś powiedzieć. Przecież on doskonale wie, jak napisać ten wyraz – zachęcała Laura, mrugając porozumiewawczo do braci.

– C-h-r-z-a-n – cicho odezwał się Marian.

– Brawo! Wiedziałam, że zdołasz odpowiedzieć – pochwaliła go Laura i odruchowo wyciągnęła dłoń, by zmierzyć jego włosy. Nie zdążyła jednak. Chłopiec jak kot wyslizgnął się spod jej ręki. Nie ponowiła próby. Przez półtora miesiąca zdążyła się już nauczyć, że Marian wciąż czuje lęk przed bliskością.

– Chyba już wszystko umiecie – oświadczyła Izabela, wchodząc do pokoju, w którym mieszkała z Laurą.

Siedzący przy stole chłopcy jak na komendę kiwnęli głowami, ale karcący wzrok nauczycielki sprawił, że uśmiechy szybko zniknęły z ich twarzy.

– Jeśli dalej będziecie tacy rozkojarzeni, to będę musiała wprowadzić dodatkową lekcję ortografii – ostrzegła Laura i pogroziła im palcem.

Co jak co, ale na temat nauki Izabela nie zamierzała dyskutować z przyjaciółką. W tej kwestii całkowicie podzielała jej zdanie. Minęła stół i podeszła do Mariana. Ukucnęła przed nim i zaczęła, aż na nią spojrzy. Jego ciemne oczy zdradzały cały ból, jaki znosił przez długie miesiące. Jednak ona żywiła nadzieję, że wreszcie nadejdzie moment, gdy chłopak odrodzi się na nowo. Robiła wszystko, by mu w tym pomóc.

– Idziemy? – spytała cicho.

Marian wstał i poszedł za nią. Już nie biegł, jak przez pierwszych kilka dni, gdy stawiała jedzenie na stole. Już nie zabierał swojej porcji, by zjeść ją samotnie w ukryciu. Usiadł przy stole i nie czekając na resztę, sięgnął po chleb i zamoczył go w wodnistej zupie cebulowej.

Odkąd Izabela znalazła Mariana, traktowała go jak członka rodziny. Nie chciała słuchać narzekań Szulca, że naraża całą kamienicę. Tak bardzo pragnęła poczuć się potrzebna. Tak bardzo chciała wierzyć, że jest w stanie pomóc komuś, kto tego potrzebuje. Tak bardzo szukała namiastki tego, co utraciła.

Po posiłku sprząтали chłopcy. Trochę było przy tym przekomarzań, ale ostatecznie wypełniali swoje obowiązki.

Wieczorem Izabela zaprowadziła Mariana do pokoju Szulca i Lewiatanów. Chłopak czuł, że nie jest w nim mile widziany, dlatego nie chciał tam chodzić sam. Każdego wieczoru Izabela na nowo tłumaczyła mu, że Szymon go nie wyda.

Kiedy już zamknęła drzwi swojego pokoju, ciężko opadła na łóżko i zacisnęła powieki.

– Dużo pracy? – spytała Laura, patrząc na przyjaciółkę.

– Jest dużo, a chcę, żebyśmy pracowali jeszcze więcej. Cały dzień wyplatałam wycieraczkę. Palce mi krwawiły, a słoma kłuła niemiłosiernie. Na koniec i tak majster powiedział, że nie wyrobiłam normy i nie dostanę wszystkich kartek żywnościowych – wyznała, nie otwierając oczu.

– Mówiłaś, że ostatnio szło ci lepiej.

– Tak było, zanim nie przywieźli nowej dostawy słomy. Nigdy wcześniej takiej nie widziałam. Jest twarda i nie chce się wyginać, za to co chwila się łamie i trzeba wszystko zaczynać od nowa.

Laura dopiero teraz dostrzegła pokaleczone dłonie przyjaciółki.

– Musisz jej wycoczyć w rumianku. Zaraz przyrządę napar – szepnęła i wybiegła do kuchni.

Chwilę później wróciła z ciepłą wodą pachnącą rumiankiem. Dokładnie obejrzała dłonie przyjaciółki. Drobnych zadrapań było tak dużo, że niemal tworzyły jedną ranę.

Izabela zanurzyła dłonie w naparze i trzymała je w nim tak długo, aż całkiem wystygł. Poczwała prawdziwą ulgę, choć w głowie kołatała jej się myśl, że nie zdoła wykarmić siebie i Mariana, jeśli nie zacznie wyrabiać normy.

– Nie przejmuj się już. Przecież ci pomożemy. Chłopcy pracują i też dostają przydział, więc wystarczy i dla Mariana.

– Jesteś moim aniołem stróżem. – Izabela przytuliła się do przyjaciółki. – Gdyby nie ty, już dawno...

– Daj spokój – przerwała jej Laura, udając zniecierpliwienie. – Musimy sobie pomagać.

\* \* \*

Rankiem Marian wstał razem ze wszystkimi. Nie potrafił się wylegiwać. Oddałby wszystko, by się wydostać z getta, ale zdążył się już zorientować, że nie ma na to szans. Dotychczas nie wychodził poza podwórko. Nawet do ustępu starał się wymykać po zmroku. Kilka razy spotkał mieszkańców kamienicy. Niektórzy pytali, co tu robi i gdzie mieszka, ale zawsze wtedy uciekał do mieszkania. Bał się o tych spotkaniach opowiedzieć Izabeli. Wiedział, że powinien być ostrożniejszy, by nie ściągnąć na nikogo kary.

– Dzisiaj wrócę później, bo muszę zostać po godzinach – poinformowała go Izabela przed wyjściem.

Marian nie przepadał za rozmowami, ale jednocześnie bał się samotności. Godziny dłużyły mu się w nieskończoność. Czasem wyglądał przez okno. Rano i po południu przez ulicę przelewała się fala pracowników różnych resortów, których w Łodzi było mnóstwo. Realizacja

zamówień dla Rzeszy odbywała się nie tylko w budynkach fabrycznych, ale również w małych pokojach, w suterrenach czy w lichych komórkach wciśniętych pomiędzy kamienice.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała Izabela na widok skrzywionej miny Mariana. – Muszę pracować, żeby nas utrzymać, a jak widzisz – pokazała swoje pokaleczone dłonie – nie idzie mi to najlepiej.

– Co tam robisz? – spytał wyraźnie zainteresowany.

– Wycieraczki.

– Naprawdę?

– Niestety tak.

– Latem jeździłem na wieś do dziadków. Tam widziałem, jak babcia wyplata koszyki, maty i wycieraczki. Pomagałem jej – wyznał nad wyraz ochoczo. Dotychczas rzadko się ożywił.

– Umiesz to robić?

– To nic trudnego.

– Nie dla mnie. – Izabela westchnęła zrezygnowana.

– Mógłbym ci pomóc – zaoferował śmiało Marian.

Izabela się zamyśliła. Rzeczywiście mogłaby wtedy wyrobić normę i zyskać kartki żywnościowe. Musiała coś wymyślić.

– Najpierw musimy sprawić, żebyś się nie wyróżniał. Zaczniemy wieczorem. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Teraz muszę lecieć, bo jak się spóźnię, to już na pewno majster odbierze mi kartki.

I wybiegła, pozostawiając Mariana z lekkim uśmiechem na ustach.

Chłopak wcisnął się w kąt i zastępnął. Miał cały dzień, by po raz kolejny przekonywać się do tego, że nic mu nie grozi. Ta nieufność go spalała. Dzisiaj o dziwo nie czuł zmęczenia. Miał ochotę zobaczyć ludzi. Ostrożnie wstał i przycisnął nos do zimnej szyby. Jak na połowę listopada przystało, na zewnątrz wciąż panował mrok. Ludzie odziani w czarne płaszcze zostawiali ślady w białym puchu. Chciałby się znaleźć wśród nich. Dostatecznie długo odpoczywał, pozwalając innym o siebie zadbać. W końcu miał szansę spłacić dług.

Kiedy ulica opustoszała, wrócił na swoje miejsce, ale długo na nim nie usiedziało. Podszedł do stołu. Leżały na nim książki ułożone w równy stos. Otworzył pierwszą z nich i zaczął czytać.

\* \* \*

Izabela była wprawiona w strzyżeniu włosów. Choć jej córki miały długie warkoczki, to włosy męża wymagały strzyżenia.

Spojrzała na swoje dzieło, ale wciąż nie była zadowolona. Pejsy były zbyt krótkie. Musiała zatem jeszcze bardziej skrócić resztę włosów Mariana. Fryzura była ważnym elementem nowej tożsamości chłopca. Kiedy skończyła, spojrzała krytycznie, ale tym razem uznała, że nic więcej nie zdoła zrobić. Jeszcze dwa, może trzy miesiące i pejsy będą dostatecznie długie. Nie zapomniała też naszyć na jego ubranie żółtej gwiazdy.

Teraz Marian musiał na siebie uważać i nie rzucać się w oczy. Na szczęście chłopiec zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Izabela nie była do końca przekonana do tego pomysłu, ale wciąż miała problem z wyrobieniem normy, dlatego uznała propozycję chłopca za jedyną możliwość zarobienia na utrzymanie. Najważniejsze, że miała plan i konsekwentnie go realizowała. Od kilku dni powtarzała w zakładzie, że musi się zaopiekować dzieckiem kuzynki, która choruje i nie chodzi do pracy, a tym samym nie ma jak wyżywić dziecka. Chłopiec musi odejść z domu. Izabela zapytała majstra, czy może przyprowadzać do pracy dziecko, które będzie jej pomagało, ale nie chce nic w zamian. Wystarczy, że to ona otrzyma należne jej kartki żywnościowe.

– Wyglądasz prawie jak Żyd – powiedziała Izabela.

– Dlaczego prawie? – spytała Laura, która w milczeniu obserwowała działania przyjaciółki.

– Bo jest zbyt ładny.

Kącik ust Mariana lekko drgnął.

– Tylko nie zdejmuj czapki i nie patrz nikomu w oczy – tłumaczyła mu kolejny raz Izabela. – Z zachowaniem milczenia raczej nie będziesz miał kłopotu.

– Idźcie bocznymi uliczkami – poprosiła Laura i schyliła się, by zebrać rozrzucone po podłodze włosy. – Pewnie już się nie możesz doczekać wyjścia na dwór? – Spojrzała na Mariana pytająco.

Chłopak kiwnął głową, a zaraz potem wstał i poszedł do pokoju Szulca, żeby położyć się spać.

– Chyba trochę się denerwuje – stwierdziła Laura.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo ja się boję jutrzejszego dnia.

– Pamiętaj, żeby nie panikować. Wszystko przećwiczyliśmy kilkadziesiąt razy. Musi się udać.

– Musi! – Izabela zacisnęła kciuki.

Laura podreptała do pokoju i zdjęła sweter i spódnicę. O tej porze roku było zbyt zimno, żeby rozbierać się bardziej. Została w sięgającej kolan koszuli i bluzce, po czym wsunęła się pod pierzynę. Zanim dołączyła do niej Izabela, zdążyła już się rozgrzać.

Rankiem zbudziły je odgłosy dochodzące z kuchni. Widocznie pozostali domownicy już się obudzili. Laura rozkroiła pół bochenka chleba. Część rozdała chłopcom i Szymonowi. Dla siebie i Izabeli też zostawiła po kromce. Po śniadaniu razem wyszli z domu.

– Powodzenia – odezwał się Józef i zamachał do Mariana, gdy dotarli do miejsca pracy Izabeli.

Pomieszczenie było dosyć ciemne, bo światło wpadało jedynie przez niewielkie okienko. Dwie starsze kobiety siedziały pod ścianą na wąskiej ławce i sortowały słomę. Ledwie zerknęły w stronę nowo przybyłych. Dwie niespełna trzydziestoletnie pracownice zajęły miejsca przy oknie, by zapewnić sobie dostęp do światła. Trzech leciwych mężczyzn, którzy wciąż nie utracili sprawności w dłoniach, klęcząco nad cienkimi wiązkami słomy, wybierając z niej zbyt krótkie źdźbła.

Izabela bąknęła pod nosem coś na kształt powitania i popchnęła Mariana do środka. Pokazała, gdzie ma odwiesić płaszcz, a potem zasiedli do pracy. Izabela wzięła garść słomy, a na podłodze ułożyła wzorcową matę. Marian przez chwilę się jej przyglądał, a później zaczął przeczesywać słomę w poszukiwaniu felernych źdźbeł. Szybko odrzucił te, które gwarantowały porażkę w pracy i zabrał się do zaplatania. Jego drobne palce zgrabnie przemykały po złocistych splotach. Przypominało to koncert pianisty, który jedynie muskał klawiszę. Te zaś czarowały dźwiękiem, tak jak Marian czarował wychodzącym spod jego palców wzorem. Jednego była pewna: nie był nowicjuszem.

– O, dobrego masz pomagiera – odezwała się około południa jedna ze starszych kobiet, która zerkała zazdrośnie. – Może nam też ciutenkę pomoże?

Marian nawet nie oderwał wzroku od kolejnej maty, którą tego ranka wyplatał.

– Jak tylko skończy pomagać mnie, na pewno przyjdzie do pani – skłamała Izabela, bo nie cierpiała kobiety, która nigdy jej nie wsparła.

Do końca dnia Izabela robiła wszystko, by Marian nie musiał pomagać złoźnicy.

Kiedy wyszli, odetchnęła rześkim powietrzem i pociągnęła Mariana za sobą. Naciągnęła mu czapkę na uszy i postawiła kołnierz. Jeśli nie natkną się na patrol, nikt nie pozna, kim jest jej młody towarzysz. Szybkim krokiem, bez słowa, przebyli trasę do domu. Tam czekała na nich Laura.

– Jak było? Wszystko się udało? Nikt was nie zatrzymał? – zasypała ich pytaniami, nie pozostawiając czasu na odpowiedź.

Izabela zdjęła jesionkę i odwiesiła ją. Weszła do kuchni i wyciągnęła dłonie, by je ogrzać nad rozgrzanymi fajerkami. W saganie bulgotała zupa z buraków i ziemniaków.

– Opowiem ci wszystko, ale pod jednym warunkiem – zagroziła, patrząc na przyjaciółkę przenikliwym wzrokiem.

– Jakim? – spytała Laura, wybałuszając oczy.

– Muszę dostać dokładkę, a Marian zasłużył nawet na dwie – zaśmiała się i pokazała mu miejsce przy stole.

– Było aż tak dobrze? – Laura chwyciła za łyżkę i napełniła po brzegi gliniane miseczki.



– Dzisiaj pierwszy raz zdołałam wyrobić normę, a żebyś widziała, jak mi wszyscy zazdrościli. Ta wredna Manuela tylko łypała na Marianka, jakby chciała go zahipnotyzować, ale nasza ekipa jest nie do pokonania – zaśmiała się.

– Oby, oby – cieszyła się Laura, a kiedy zauważyła pustą miskę przyjaciółki, natychmiast ją napełniła.

– Pyszna zupa – pochwaliła Izabela.

– Jedzcie, na zdrowie.

– Teraz już będzie nam lepiej. Dzięki Mariankowi zdołamy się utrzymać. – Spojrzała w stronę chłopca, a potem zmierzwiła jego nastroszoną czuprynę. Nie cofnął się, a ona po raz pierwszy poczuła, że się jej nie boi. Mrugnęła do niego porozumiewawczo, lecz na uśmiech było jeszcze za wcześnie. Zajrzała do jego talerza i sama nałożyła mu dokładkę. Później opowiedziała o tym, z jaką łatwością przychodziło Marianowi wyplatanie mat. Wspominała, że kiedy zaczęła się wojna, często bywał na wsi u dziadków i tam pomagał przy różnych pracach. Wyplatał również koszyki, fotele i stoliki z wikliny, która jest znacznie twardsza i trudniejsza do obrobienia niż słoma.

\* \* \*

Laura usiadła na łóżku i wyciągnęła nogi. Dzisiaj miała pracowity dzień. Kolejna partia ubrań dla wojska była znacznie większa od poprzednich. Liczba zatrudnionych z każdym miesiącem malała. Zima i choroby nie oszczędzały getta. Przeciwnie, panoszyły się, zaglądały w każdy zakamarek w poszukiwaniu kolejnych ofiar, jakby ścigały się między sobą w tym, która zbierze większe plony.

W szwalni brakowało rąk do pracy. Teraz Laura już nie tylko przyszywała guziki, ale też kołnierzyki i mankiety. Szło jej całkiem dobrze, jednak od niewygodnej pozycji coraz bardziej bolały ją plecy. Na szczęście chłopcy nie pozwalali jej dźwigać ciężkich paczek. Z dumą patrzyła, jak pomagają innym kobietom w szwalni. Wtedy żałowała, że ich rodzice nie mieli szansy tego zobaczyć.

Wyjęła książkę i przeczytała fragment Pana Tadeusza opisujący zachód słońca. Dzisiaj na zajęciach zamierzała przeczytać chłopcom tekst, a później nauczyć ich recytacji. Z dumą wspominała lekcje, na których szkolili znajomość Inwokacji. Może nie byli Polakami, ale wychowywali się w Polsce, a to według Laury stanowiło wystarczający powód do tego, by znać polską literaturę.

Czekała jeszcze na powrót Izabeli i Mariana. Zdążyła już przygotować dla nich kolację, ale lubiła też chwile samotności. Wtedy mogła zapomnieć o całym świecie i wrócić do chwil, gdy jedynym jej zmartwieniem był wybór sukienki, którą włoży na spotkanie z Dawidem. Wiedziała, że lubił na nią patrzeć, a ona uwielbiała, gdy to robił. Czują się kobieco, choć dopiero stawała się kobietą. Nawet jeśli zdarzało jej się spieszyć pod spojrzeniem Dawida, ufała mu i darzyła go szczerym uczuciem. Była przekonana, że jest ono odwzajemnione. Dawid był spełnieniem jej marzeń. Gdyby wówczas przemknęła jej przez myśl, że nie będą razem, nie uwierzyłyby.

Właśnie skończyła czytać, gdy usłyszała łomotanie do drzwi. Poderwała się na ten dawno niesłyszany dźwięk i pobięła otworzyć. Kiedy przekreśliła klucz i nacisnęła klamkę, drzwi odskoczyły z impetem. Natychmiast poznała stojącego w nich mężczyznę. Patrzył na nią tęsknym wzrokiem, ale nie uśmiechał się. Zrobił krok, a ona odsunęła się na bok.

– Widzę, że się mnie nie spodziewałaś – zauważył.

– Nie sądziłam, że jeszcze się spotkamy – przyznała Laura, bacznie go obserwując i natychmiast pomyślała o Marianie. Jeśli teraz wróci do domu, Wagner może zacząć zadawać niewygodne pytania. Wprawdzie chłopak wyuczył się kłamstw na swój temat i recytował je znacznie lepiej od pacierza, ale nie miała pewności, jak zareaguje w stresującej sytuacji. Lepszą opcję stanowiło unikanie kontaktu z niemieckimi oficerami.

– Codziennie jestem w getcie i aż trudno uwierzyć, że nigdy się nie spotkaliśmy – powiedział Wagner i zajrzał do jej pokoju.

W tym samym momencie na korytarz wyrzwał Józef, a widząc porucznika Wagnera, cofnął się do pokoju. Laura miała nadzieję, że już z niego nie wyjdzie. Pomknęła za oficerem, zastanawiając się, po co przyszedł.

Tymczasem mężczyzna usadowił się na jednym z krzeseł i zapalił papierosa. Chmura drapiącego w gardło dymu zawisała nad jego głową.

– No, jak ci się wiedzie? Chyba schudłaś?

– Nie wiem – skłamała, doskonale zdając sobie sprawę ze swoich zapadniętych policzków i podkrążonych oczu. – Nie mam czasu patrzeć w lustro.

– A ja widzę duże zmiany. – Zamyślił się. Teraz zaczął formować kółka z dymu. Unosiły się coraz wyżej, pęczniały, by następnie rozpląnąć się pod sufitem. W końcu przemówił: – Może powinnaś lepiej o siebie zadbać. Wtedy skorzystałabyś na tym nie tylko ty, ale i twoi bliscy.

Laura wciąż stała, ale z każdą chwilą traciła siły. Oparła się więc o ścianę i wciąż obserwowała mężczyznę.

– Nie powiesz mi, że nie tęsknisz za dobrym jedzeniem – ciągnął, powoli wypowiadając każde słowo, jakby chciał przypomnieć jej smak ulubionych potraw, których dzięki jego dobrej woli znów mogła spróbować, gdy dla niego gotowała. – Przyrządzasz wyśmienitą pieczoną kaczkę z zasmażanymi buraczkami. Lepszych nie robiła nawet moja matka, a dotychczas to ją uważałem za najbardziej utalentowaną kucharkę.

Nie spodziewała się aż tylu komplementów. Wcześniej Wagner nie był tak wylewny. Owszem, chwalił jej dania, ale gdy miał gorszy nastrój, nie szczędził jej krytyki. Sama nie nazwałaby się wspaniałą kucharką. W rodzinnym domu nie gotowała, choć lubiła pomagać Marii w kuchni. Kiedy zamieszkała z Lewiatanami, gotowanie okazało się wyczynem i ciągłym poszukiwaniem pomysłów, jak przygotować posiłek z niczego. W rzeczywistości prowadzenie kuchni u Wagnera stanowiło dla niej nie lada wyzwanie. Jak widać, sprostała mu.

– Jadłaś już kolację?

– Nie – odparła szybko.

– I dlatego właśnie nie powinnaś tkwić w getcie. Jaki sens ma twój pobyt po tej stronie ogrodzenia, skoro nie masz już męża?

Znowu przypomniał jej, że jest sama na świecie. Znowu obudził w niej strach przed samotnością. Znowu był górą.

– Mam dla ciebie propozycję – oznajmił i zagasił niedopałek w stojącej na oknie doniczce. Później podszedł do Laury i podniósł palcem wskazującym jej twarz tak, by na niego patrzyła. – Chciałbym, żebyś dalej prowadziła mi dom. – Przypatrywał jej się swymi szaroniebieskimi oczami, tak bardzo cenionymi przez Hitlera. Mówił językiem ludzi, którzy odpowiadali za całe zło wyrządzone jej rodzinie. Nosił mundur, który utożsamiała z chaosem, z którym mierzyła się każdego dnia. – Jesteś Polką – szepnął i nachylił się do jej ucha. – Możesz stąd wyjść w każdej chwili. Wystarczy jedno moje słowo.

Laura nerwowo łapała powietrze, bojąc się poruszyć. Jego bliskość ją przerażała.

– Przyszedłem po ciebie – ciągnął, wciąż bardzo cicho.

Zadrzała, czując na twarzy jego oddech. Spróbowała się nieco odsunąć, ale zagroził jej drogę. Stała uwięziona. Krzyk nie miał sensu. Tylko wystraszyłaby współlokatorów.

Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich Szymon. Udawał zaskoczenie, lecz zbyt dobrze go znała, żeby w nie uwierzyć. Wepchnął się do środka i stanął tuż obok Laury. Wagner westchnął zniesmaczony bezczelnością Żyda i opuścił ręce, a potem się odsunął. Przez chwilę mierzył Szulca wzrokiem, by przypomnieć mu, gdzie jest jego miejsce. Wreszcie roześmiał się i zaplótł ręce na piersiach.

– Wreszcie nie będziecie musieli kłamać i będziecie mogli spokojnie żyć – powiedział Wagner szczególnie akcentując ostatnie słowa – a Laura dostaje szansę uwolnienia się. Wszyscy będziecie zadowoleni.

Szulc nie spuścił wzroku. Wiedział, że dużo ryzykuje, ale nie miał wyjścia. Laura była mu zbyt bliska, by nie spróbować o nią zawalczyć.

– Zżyliśmy się ze sobą i jesteśmy jak rodzina – wyznał po niemiecku, sondując reakcję porucznika.

– Stwierdzenie „jak rodzina” nie oznacza tego samego, co „jesteśmy rodziną”. Z tego, co mi wiadomo, Laura nie ma tu żadnej rodziny, zatem bezzasadne jest jej pozostawianie w miejscu przeznaczonym wyłącznie dla Żydów.

Laura nerwowo mięła sukienkę, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Czują, że tym razem Wagner nie odpuści. Minęło tyle miesięcy, a on wciąż o niej pamiętał.

– My już jesteśmy rodziną – bąknął pod nosem Szulc.

Wagner zaśmiał się sztucznie.

– Rodzina to mąż i żona, dzieci – zagrmiał, a uśmiech zamarł na jego ustach.

– Właśnie tak – Szymon powoli przytaknął i zerknął w stronę Laury. Jej pytający wzrok nie pozostawiał wątpliwości, że nie miała pojęcia, o co chodzi. – Jesteśmy małżeństwem. – Chwyił dłoń Laury i przycisnął ją do policzka. – Prawda? – Spojrzał na nią wyczekująco.

Powoli skinęła głową.

Twarz Wagnera zaczerwieniła się.

– Jak to? Pobraliście się? Tutaj? – zadawał kolejne pytania, nie pozwalając im odpowiedzieć. – Kiedy? Kto udzielił wam ślubu? – krzyknął. Obydwoje słyszeli jego przyspieszony, chrapliwy oddech i z obawą czekali na to, co nastąpi. – Jesteś głupsza, niż sądziłem – westchnął zrezygnowany. – Tak bardzo lubisz tych zawsonych brudasów? Nigdy tego nie zrozumiem. Nigdy. A ja chciałem dać ci pracę... Ty po prostu nie zasługujesz na moją dobroć. Brzydzę się tobą. Rozumiesz?

Po tych słowach wyszedł z mieszkania. Trzaśnięcie drzwi wyzwoliło w Laurze lawinę emocji. Opadła na podłogę i zaczęła głęboko oddychać, nie wierząc, że drugi raz zdołała umknąć Wagnerowi. Jego wizyta dała jej jednak do myślenia. Nie powinna go ignorować. Wróg w postaci niemieckiego oficera to największe utrapienie mieszkańca getta.

– Niepotrzebnie kłamałeś – szepnęła i oparła głowę na kolanach. – Teraz na pewno nie da nam spokoju.

– Miałem patrzeć, jak on cię zabiera? – odparł w języku polskim.

– On nie odpuści.

– Ja chcę cię chronić i razem z tobą być – wyznał zawstydzony.

Laura podniosła na niego wzrok. Ten dojrzały mężczyzna był starszy od jej ojca. Dotychczas nie patrzyła na niego jak na kochanka. Pomagał jej, ale to nie był powód, by go pokochać. Jej serce wciąż należało do Dawida. Słowa Wagnera o rzekomej śmierci męża powracały do niej jak bumerang, ale próbowała je zagłuszyć cudownymi wspomnieniami ich ślubu, wesela i nocy poślubnej. Każda z tych chwil przepełniała jej serce radością i emanowała nadzieją, że kiedyś znów podda się bezgranicznej miłości i zapomni o tych straconych latach.

– Proszę, zapomnijmy o wszystkim, co się tutaj wydarzyło. – Podniosła się i czekała na odpowiedź. Często szczerzość drogo ją kosztowała, ale mimo to właśnie ją stawiała na pierwszym miejscu.

Szulc spuścił głowę i wyszedł na korytarz. Nie spojrzął na nią. Nie odezwał się. Żal ścisnął jej serce, ale wiedziała, że to była jedyna słuszna decyzja.

## ROZDZIAŁ VIII TOŻSAMOŚĆ

Laura stała wpatrzona w widok za oknem, choć nic za nim nie widziała. Styczniowe wieczory tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku należały do długich, choć zadziwiająco ciepłych jak na tę porę roku. Ciemność wcześniej otulała getto. Może dzięki temu wielu mieszkańców łudziło się, że w mroku nie widać przyczajonego zła. Laura jednak wiedziała, że ono istnieje i ma twarz obłąkanego kurdupla.

Ocknęła się, zdając sobie sprawę, że Eliaz przestał recytować Odeę do młodości Mickiewicza, którego ceniła ponad miarę. Usiłowała zaszczepić tę miłość w młodych Lewiatanach, dlatego już drugi miesiąc wałkowała z nimi poezję romantyka. Wiedziała, że raz wyuczony wiersz potrafi latami przetrwać w świadomości. Wierzyła, że nauka ma sens i zaprocentuje w przyszłości.

– Józefie, teraz ty – poprosiła, odwracając się w stronę siedzącego przy stole młodzieńca.

Natychmiast dostrzegła w nim podobieństwo do Dawida. Wprawdzie miał nieco drobniejszą budowę ciała, przez co wydawał się wyższy od jej męża, jednak ich spojrzenia, mimika twarzy i gesty były niemal identyczne.

Chłopak płynnie wyrecytował utwór, choć zanim się go nauczył, zrzędził przez dwa tygodnie. Zdążył się jednak przekonać, że Laura, jak się na coś uprze, to nie ma zmiłuj. I choć nie widział sensu w klepaniu wierszyków na pamięć, to dla świętego spokoju i zadowolenia Laury, nauczył się ody.

Gdy skończył, z dumą spojrzął na brata. Tym razem nie odda mu palmy pierwszeństwa.

– Jak mi poszło? – zwrócił się do Laury wciąż zasłuchanej w jego słowa.

– Jestem z was dumna – stwierdziła, nie kryjąc wzruszenia, które odmalowało się na jej twarzy. – Rodzice też byliby dumni, gdyby was dzisiaj usłyszeli.

To stwierdzenie sprawiło, że bliźniacy spuścili wzrok. Tak bardzo brakowało im rodziny. Laura starała się zastąpić im matkę i kochali ją za to z całych sił, lecz tęsknoty za Abigail Lewiatan nikt nie był w stanie ukoić. Nie rozmawiali o tym. Nawet ze sobą. Mieli niepisaną zasadę milczenia na niewygodne tematy.

– A moi? – zainteresował się Marian, który jako pierwszy wyrecytował odę.

– Twój również pękałoby z dumy, że mają tak mądrego syna. – Laura uśmiechnęła się do niego.

– Wszyscy jesteście rewelacyjni – obwieściła Izabela. – I należą się wam oklaski – dodała, po czym zaczęła uderzać w dłoń. – Może jeszcze zadeklamujecie Inwokację? – Swoją prośbę okraszyła szerokim uśmiechem.

Dopiero niedawno Laura zauważyła, że przyjaciółka potrafi się śmiać. Odkąd zabierała Mariana do swojej pracy i dzięki temu wyrabiała normę, przestała być tak spięta. Owszem, każde wyjście na zewnątrz wiązało się z niebezpieczeństwem i przeżyła już kilka mrozących krew w żyłach momentów. Dotychczas nie dbała o swoje życie, ale teraz znów czuła, że jest komuś potrzebna i nie wyobrażała sobie, by Mariana zabrakło.

Izabela opowiadała Laurze o panicznym strachu, jaki ją ogarnął, gdy wracali z pracy i dostrzegli wchodzącego do ich kamienicy oficera Kripo. Odruchowo chwyciła Mariana za dłoń i pociągnęła go za ustę. Nie miała pojęcia, jak długo tam stali. Nie czuła smrodu. Jedyne, o czym myślała, to czy kogoś nie zabiją, gdy nie zastaną chłopca w środku. Wolała nie próbować ucieczki. W czarnym samochodzie zaparkowanym przed kamienicą wciąż siedział uzbrojony Niemiec, który nie zważałby się, gdyby tylko ich dostrzegł. Na zewnątrz było coraz chłodniej, ale ona nie drżała z zimna, lecz ze strachu. Usiłowała podtrzymać chłopca na duchu i obiecywała, że wszystko będzie dobrze. I było. Jakby ktoś wysłuchał jej prośb. Już od dawna się nie modliła, bo jaki Bóg zabrałby bezbronnej kobiecie czworo dzieci? Jaki Bóg pozwoliłby

na poniewierkę setek tysięcy ludzi? W końcu jaki Bóg dopuściłby do wojny? Zwątpiła jak wielu. Tamtego wieczoru nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła szeptać modlitwy. Płynęły jedna za drugą. Prosto z serca. Wreszcie dostrzegła Wagnera wychodzącego z kaminicy. Odetchnęła. Później tydzień leżała w łóżku z wysoką gorączką. Marian w tym czasie dbał o to, by wyrobić normę i zasłużyć na przydział kartek żywnościowych na kolejny miesiąc.

Marian skończył recytację i spoglądał na swoją opiekunkę. Skinęła do niego z uśmiechem na twarzy. Chłopak też się rozpromienił. Nawet nie próbował migać się od nauki. Nie mógłby sprawić przykrości Izabeli. Ona tak bardzo w niego wierzyła.

Tych kilka miesięcy spędzonych w obozie pozbawiło go wiary w dorosłych. Jedyne, co pamiętał z tamtego okresu, to głód, płacz i ból każdego dnia. Według strażniczki obozu zawsze za mało pracował i za dużo jadł. To już dwa powody, by otrzymać karę. Bicie po twarzy, po głowie, po plecach nie należało do rzadkości. Początkowo ze smutkiem patrzył na posiniaczone ciała innych dzieci. Z czasem widok sińców przestał wzbudzać jakiegokolwiek emocje. Wszyscy je mieli.

Na szczęście panował nad pęcherzem i nie moczył się podczas snu. Nie wszyscy mieli to szczęście. Zwłaszcza młodsze dzieci. Niektóre sikały ze strachu. Za karę nawet zimą nie miały prawa zdjąć mokrych ubrań. Musiały zaczekać, aż na nich wyschną. A jeśli to nie skutkowało, musiały spać na gołych deskach, które regularnie obsikiwane cuchnęły i gniły. Marian wciąż pamiętał krzyki i płacz tych dzieci. Bywały takie noce, że budził się, siadał na łóżku i wचाł, czy wokół nie czuć moczu. W barakach ten zapach wciąż unosił się w powietrzu. Po tym odróżniał mieszkanie w getcie.

Dzięki Laurze nie przegapił świąt. Nie mieli opłatka, ale w Wigilię Laura upiekła macę i nią się podzielili. Reszta domowników, chcąc zrobić im przyjemność, również złożyła sobie życzenia. Marian wciąż pamiętał Boże Narodzenie sprzed wybuchu wojny. Wtedy czekał na smakołyki ukryte pod choinką. Czuł, że życie może mieć sens.

– Wystarczy na dzisiaj – zakończyła Laura. – Jestem dumna z moich uczniów. Zmykajcie do spania – zakomenderowała.

Chłopcy zebrali książki, odłożyli je na półkę i wyszli do pokoju Szulca, który czytał w samotności. Od pewnego czasu był milczący i w zasadzie nie zwracał na nich uwagi. Czasem przed zaśnięciem specjalnie się przekomarzali, by go sprowokować, ale on zdawał się tego nie słyszeć. Raz czy dwa próbowali go zapytać o to milczenie, ale zbył ich.

Józef już kilka razy wspominał Laurze o kiepskim nastroju Szymona, ale i ona poprzestała na machnięciu ręką i mamrotaniu pod nosem o przemęczeniu i starości mężczyzny. Ostatecznie w domu stało się znacznie ciszej. Przy kolacji panowało dziwne napięcie. Laura nie patrzyła na Szymona, a on jedynie zdawkowo odpowiadał na pytania. Podobnie było, gdy we czwórkę szli do szwalni. Chłopcy po drodze rozmawiali z Laurą, Szymon zaś sunął za nimi w milczeniu.

Laura poszła do kuchni, by napić się wody. Dostrzegła tłący się ogień w kuchni kaflowej. To rzadki luksus. Widocznie Szifrinowie spędzili tu wieczór. Może coś gotowali na jutrzejszy poranek. Podrzuciła kilka cienkich szczap. Ogień strzelił iskrami i zaczął lizać dno czajnika. W tym czasie Laura wrzuciła do kubka kilka kwiatów lipy. Zimą lubiła pić ten napar. Usiadła przy stole, wsłuchując się w przyjemny szum gotującej się wody.

To już czwarta zima, którą spędzała w getcie. Wciąż pamiętała pierwszą, gdy był z nią Dawid. Przypomniło jej się, jak wkładała za duży ni to płaszcz, ni to marynarkę męską. Wyglądała w tym stroju żałośnie, ale nikt się z niej nie śmiał, gdy na dworze panowały trzaskające mrozy, a ona opatulona brodziła w śniegu.

Unosząca się nad czajnikiem para przypomniła Laurze, po co tu przyszła. Nalała wrzątek do kubka i obserwowała wirujące w nim kwiaty, które były wspomnieniem lata. Jakże piękne bywały letnie miesiące w Łodzi, zanim niemieckie flagi zasłoniły drzewa. Niedzielne spacerunki do parków i spotkania z bliskimi stanowiły esencję życia. Wieczorne wyjścia do teatrów przypominały rytuał zamożniejszych mieszkańców miasta.

Laura uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie próby organizacji w getcie czegoś na kształt teatru czy raczej domu kultury. Jaki powstał rwetes, gdy na słupach zawisły ogłoszenia o tworzącym się ośrodku kultury dla całej społeczności żydowskiej. Na Krawieckiej 3 ruszyły

przygotowania do pierwszych występów. Na początku miała wystąpić orkiestra składająca się z miejscowych muzyków. Powiadomieni o próbie artyści biegli jak na skrzydłach, wierząc, że muzyka złagodzi trudy codzienności. Wielogodzinne próby wreszcie przyniosły rezultat. Pierwszy koncert wzbudził wiele emocji. Wszyscy chcieli zobaczyć występ. Wszyscy, choć przez chwilę, chcieli poczuć się jak wtedy, gdy byli wolni i sami mogli decydować o swoim losie. I nawet po tym pierwszym występie nie zdziwiło ich przemówienie Rumkowskiego. To była w końcu jego zasługa, że Niemcy zgodzili się zorganizować dom kultury. Jednak jego usprawiedliwianie nazistowskich poczynań wobec mieszkańców getta już wzbudziło lekkie pomruki wśród widzów. Owszem, kolejne przedstawienia i koncerty wciąż cieszyły się popularnością, zwłaszcza tych, którzy na polityce prowadzonej przez Rumkowskiego zyskiwali dodatkową porcję jedzenia czy możliwość wypoczynku w kilkunastu domach ukrytych pośród zieleni na Marysinie. Przeciętni zjadacze czarnego chleba, często pieczonego z dużym dodatkiem trocin, mieli dość słuchania propagandowych wypowiedzi, których Rumkowski nie mógł sobie odmówić.

Nagle Laura usłyszała kroki. Zerknęła przez ramię.

– Nie wiedzieć, że tu być – odezwał się Szymon.

– Już wychodzę. – Wstała z miejsca.

– Nie, to ja przyjdę później.

– Już i tak skończyłam robić herbatę, więc kuchnia zostaje dla ciebie.

Podeszła do drzwi, ale Szulc stał niewzruszony, a jego postawa wskazywała na to, że nie zamierza się przesunąć.

– My móc porozmawiać, skoro już być sami? – zapytał cicho, choć stanowczym tonem.

Unikali tematu od wizyty Wagnera. Omijali się szerokim łukiem, bo najwyraźniej żadne z nich nie miało ochoty wracać do tamtej deklaracji. Laura nikomu o niej nie powiedziała. Wolała przypuszczać, że to wymysł Szymona, by pozbyć się Wagnera. Porucznik nie pojawił się więcej, choć Laura wcale nie miała pewności, że to się wkrótce nie powtórzy. Zdążyła już poznać Wagnera i wiedziała, że tak łatwo się nie poddaje.

– Owszem – odparła, łudząc się, że jednak nie powrócą do tamtego wieczora.

– Wtedy – zaczął, a ona była już pewna, że jej nadzieje okażą się płonne – musieć coś powiedzieć. On by cię zabrał stąd. Gdzieś... A chłopcy? Oni cię potrzebować... Oni, Izabela, Marian, ja... – Spuścił wzrok. Jego twarz stała się bardziej szara i pomarszczona niż zwykle. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od tamtego dnia nie widziała uśmiechu na jego twarzy. – Ty być ważna dla nas. Nie złościć się na mnie za to. – Wzruszył ramionami i ostrożnie spojrział na Laurę.

– Wiem, że chciałeś dobrze – odparła pojednawczo. – Dziękuję, że mi wtedy pomogłeś. Najważniejsze, że się udało.

– Ja zrobić dla ciebie wszystko – wyznał i pogładził jej policzek swoją chudą i szorstką dłonią z wyraźnie zaznaczonymi żyłami. – Wszystko – powtórzył, zbliżając się do niej.

– Nie! – Odskoczyła jak oparzona. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że może zbyt gwałtownie zareagowała. Nie chciała jednak, by Szymon wyobrażał sobie coś, czego między nimi nie było i co nie miało prawa się pojawić. – Ja wciąż mam męża – szepnęła. – On żyje. Czuję to. Dawid żyje.

Szymon bez słowa wycofał się do swojego pokoju. Ona zaś opadła na krzesło i rozplakała się. Tak bardzo pragnęła znów skryć się w opiekuńczych ramionach męża. Potrzebowała go, a jej tęsknota wzmagająca się z każdym dniem.

\* \* \*

Aneta i Gabriela Szifrin z zapałem dziergały kolejną parę skarpet. Dostały sweter, który natychmiast spruły i już po kilku wieczorach miały kilka par ciepłych męskich skarpet, w sam raz na tę porę roku – właśnie zaczynała się odwilż, ale wilgotne powietrze i silne wiatry przenikały do szpiku kości.

Od jesieni obydwie pracowały w ambulatorium. Młodsza z nich – Aneta, właśnie wtedy skończyła szesnaście lat i zdecydowała, że chce pomagać innym jak nieco od niej starsza

Gabriela. Nie była to łatwa praca.

Ambulatorium, zastępujące zlikwidowane szpitale, powinno być miejscem, w którym każdy chory otrzyma pomoc, ale w getcie było inaczej. Rzeczywiście trafiali do niego ludzie potrzebujący opieki i otrzymywali ją. Zaangażowanie i poświęcenie medyków wzbudzało podziw nawet u Niemców. Tyle tylko, że lekarze i pielęgniarki nie byli w stanie wiele zdziałać bez lekarstw i odpowiednich środków. Ambulatoria stawały się zatem umiarkowanymi dla ciężko chorych.

– Te będą dla tego małego, który leży pod oknem na dwójce – oświadczyła Aneta, przekładając kolejne oczka. Robienie skarpet nie należało do jej ulubionych zajęć. Wolała dziergać szaliki i czapki. Szydełkiem wyczarowywała wzory na chustach, którymi chętnie okrywały się Żydówki. Widok sinych palców u rąk i stóp dzieci przywożonych do ambulatorium przy Dworskiej z objawami tyfusu szybko uświadomił jej, jakie są potrzeby małych Polaków, wychudzonych, brudnych i zawszonych.

– Myślisz, że wyjdzie z tego? – Gabriela spojrzała na nią z przejęciem. – Jest taki mały. Nie ma więcej niż sześć lat.

– Dopiero teraz rozumiem, przez co przeszedł Marian – westchnęła Aneta, koncentrując się na robótce.

– Te dzieci tak cierpią.

– Nie sądziłam, że jest to możliwe.

Przez chwilę pracowały w ciszy. Chciały zrobić jak najwięcej skarpet dla dzieciaków.

– Gdybyśmy miały odpowiednie lekarstwa, mogłybyśmy uratować wszystkich.

– Wyzdrowieją tylko najsilniejsi – stwierdziła ze smutkiem Gabriela. – Nie możemy zrobić nic więcej.

Kobiety znowu zamilkły, myślami powracając do swoich małych pacjentów, którzy z powodu wysokiej gorączki majaczyli i brali je za matki, babki czy koleżanki z podwórka. Nauczona doświadczeniem wiedziały, że nie ma sensu wyprowadzać z błędu kogoś, kto nie kojarzy miejsca, w jakim się znalazł. Wolały więc grać przydzielone im role, by dodać otuchy tym, którzy dopiero zaczynali życie.

– Dlaczego w ogóle te dzieci trafiły do naszego ambulatorium? – zastanawiała się Aneta. – W obozie podobno mają szpital.

– Chyba nie mieli w nim tylu miejsc, brakuje też ludzi do opieki.

– Dobrze, że doktorzy zgodzili się przyjąć dzieciaki. W przeciwnym razie już dawno by zmarły.

– Wiesz, jak to jest z tyfusem... Jak się raz przyplącze, to trudno się go pozbyć...

– Myślisz, że Niemcy bali się zarazić od dzieci i dlatego woleli przywieźć je do nas?

– Pewnie przestraszyli się, że nie zapanują nad epidemią, która wcześniej czy później może dotknąć również ich.

– Może gdyby nie wydzielano mydła, to nie musielibyśmy leczyć tylu chorych.

Do pokoju weszli rodzice. Szifrin przez cały wieczór grał w karty z Szulcem, a jego żona poszła do sąsiadki z pierwszego piętra, by zanieść jej odrobinę czosnku dla chorych dzieci.

– Obydwoje chorzy na grypsko – obwieściła Estera, siadając na krześle i sięgając po skarpety. – Piękne, córus. Piękne! – nie kryła zachwyty. – Może zrobisz po parze dla maluchów Litwaków? Chore dzieci, spocone pod pierzyną leżą i ledwo dychają.

– Ponoć muszą się wygrzać i wypocić, żeby grypa z nich wyszła – zauważyła Aneta, popisując się wiedzą zasłyszaną od któregoś z lekarzy, zaniepokojonego falą zachorowań w getcie.

Grypa niczym tsunami zabierała całe rodziny.

– Pamiętacie, jak w trzydziestym piątym chorowałyście na grypę? – odezwała się matka, lekko przymykając powieki. – Gabrysia przywlokła ją ze szkoły, a ty nie chciałaś, żeby się nudziła, dlatego siadałaś obok niej na łóżku i czytałaś na głos książki, choć ledwo składałaś litery.

– Tak było. – Aneta zaśmiała się na to wspomnienie. – Szkoda, że twoje przestrogi przypomniałam sobie, dopiero gdy zachorowałam.

Matka cmoknęła córkę w czoło. Tak bardzo wtedy się denerwowała. Lekarz kazał jej się szykować na najgorsze. Nie chciała mu wierzyć, jednak wiotkie i rozpalone ciało dziecka stanowiło wystarczający dowód na to, lekarz może mieć rację. Modliła się całe dni. Poita córki herbatką z kwiatu lipy osłodzoną miodem lub sokiem malinowym. Dopiero po dwóch dniach gorączka zaczęła spadać. To wtedy po raz pierwszy poczuła strach o życie dzieci. Ten strach od czterech lat towarzyszył jej każdego dnia.

– Już wtedy chciałam pielęgnować chorych – wyjawiała Aneta i odłożyła na stół skończoną skarpetę, gorąco wierząc, że chłopiec, który miał otrzymać od niej prezent, dożyje jutra.

\* \* \*

Marian pochuchał na dłonie i zaczął je rozcierać. Mimo grubych rękawic zrobionych przez Anetę Szifrin palce zdążyły mu zmarnąć w czasie drogi do pracy. Wiedział, że tak po prostu musi być. Zima to chłód, nawet jeśli nie ma tęgiego mrozu. Po tej stronie płotu było mu o niebo lepiej niż w obozie. Gdyby wtedy Józef nie dał mu rękawic, pewnie już by nie żył. W obozie nikogo nie obchodziło, że dzieci marzną. Ich chude ciała wystawione na wiatr, deszcz, mróz czy śnieg nie miały szans przetrwać w starciu z żywiołem. Odmrożenia nie były niczym niespotykanym. Dzieci owijały się w koce, pod którymi spały. Każdy wkładał na siebie wszystko, co miał.

Marian rozpiął palto i stanął przy niewielkiej żeliwnej kozie ogrzewającej pomieszczenie, w którym od kilku miesięcy pracował. Pod ścianą stały wiązki słomy przeznaczonej do wykorzystania w ciągu dnia. Kiedy dostatecznie się rozgrzał, zrzucił palto i zawiesił je na gwoździu.

W tym czasie Izabela zdążyła już przyszykować dla nich dwa stołki. Woleli nie siedzieć z innymi. Skupiali się na pracy, od czasu do czasu cicho rozmawiając.

Marian przyniósł dwie wiązki słomy i rzucił je pod nogi. Obydwoje zabrali się do pracy. Pozostali jeszcze gderali nad pogodą i przenikliwym zimnem. Każdy majster w getcie urągał na brak opału. Administracja Rumkowskiego przyjmowała wszystkie skargi, ale tylko nieliczne przekazywała niemieckim zwierzchnikom, nie chcąc się zbytnio narażać. Dopiero lawinowo rosnąca liczba chorych w szpitalach oraz brak rąk do pracy sprawiły, że ktoś na górze zaczął się zastanawiać nad spadkiem produkcji. Pod koniec grudnia wszystkie resorty otrzymały znaczny przydział opału. Od tej pory, choć pomieszczenia ogrzewano oszczędnie, pracownicy mogli choć kilka godzin posiedzieć w cieple.

Majster odtrąbił przerwę na posiłek. Izabela wyciągnęła dwie grube pajdy chleba i jedną podała chłopcu. Starsza Żydówka rozlała do kubków lurowatą kawę zbożową. Siedzący po drugiej stronie warsztatu mężczyźni zawzięcie o czymś rozmawiali. Pozostałe pracownice siedziały razem, łypiąc zazdrośnie w stronę Izabeli. Każda marzyła o dodatkowym przydziale obiecanych przez Biebową<sup>3</sup> dla pracujących pięćdziesiąt pięć godzin tygodniowo. Oczywiście wyobraźni widziały dodatkowe pół kilograma chleba, po parę deka tłuszczu i kiełbasy.

– A ty nie wracasz do rodziców? – zagadnęła do Mariana najmłodsza i jednocześnie najbrzydsza z nich.

Chłopak zerknął na nią kątem oka i pokręcił przecząco głową.

– A gdzie przed wojną mieszkaliście? – dociekała dalej.

– Na Wileńskiej – odparł Marian dla świętego spokoju.

– A czym zajmowali się twoi rodzice?

– Handlem – skłamał, pamiętając wyuczoną historię swojego życia.

– To tak jak mój ojciec i bracia. Odziedziczyli kilka sklepów po dziadku. Znali wszystkich sklepikarzy. Trzymali się razem. A czym handlowali twoi rodzice?

– Jedzeniem.

– To tak samo jak my.

– Przeście gadać, bo zaraz przerwa się skończy, a chleb niezjedzony – wtrąciła się Izabela.

– Przecież jemy – obruszyła się tamta i powróciła do pytań: – A rodzice długo ten sklep prowadzili?



– Niedługo, w zasadzie otworzyli go kilka miesięcy przed wojną. – Marian kłamał jak z nut. Kobieta pokiwała głową.

– Może dlatego ich nie kojarzę – odparła i dopiero wtedy odgryzła kawałek macy. – A gdzie tak dobrze nauczyłeś się wyplatać?

Chłopak ugryzł się w język, by nie przyznać się, że tej pracy nauczył się u dziadków.

– Sąsiedzi kuzynostwa trudnili się wyplataniem różnych cacek z wikliny i słomy.

Izabela odetchnęła i dokończyła jedzenie. Miała nadzieję, że odpowiedzi Mariana zaspokoili ciekawość kobiety. Gdy skończyli jeść, zabrali się do pracy. Do wieczora mieli kilka nowych mat.

Kiedy wracali, tuż przed nimi pojawił się patrol policji żydowskiej. Izabela doskonale wiedziała, że łatwiej ich oszukać niż Niemców, ale i tak pociągnęła Mariana i skręcili w boczną uliczkę. Ich trasa do domu nieco się przez to wydłużyła, lecz najważniejsze było bezpieczeństwo.

– Idziemy na wycieczkę – powiedziała Izabela. Zawsze tak mówiła, gdy musieli zboczyć z trasy.

Początkowo panikowali, oglądając się za siebie. Z czasem nabrali większej odwagi. Już nie zerkali przez ramię w obawie, że ktoś się za nimi skrada. Dopóki nie zwracali na siebie uwagi, mogli uchodzić za rodzinę.

– Tam też są. – Marian wskazał kolejny patrol. Byli to trzej niemieccy policjanci.

– Czyli nasza wycieczka znacznie się wydłuży – odparła Izabela.

Skryli się pomiędzy kamienicami, gdzie mogli spokojnie poczekać, aż ulice opustoszeją.

Później przy kolacji na przemian opowiadali o swojej ucieczce. Izabela co rusz spoglądała na Mariana i uśmiechała się do niego. Jej twarz nabrała nowego wyrazu, policzki się zarumieniły, a oczy błyszczały. Marian stał się jej oczkiem w głowie. Choć do wiosny zostało jeszcze sporo czasu, Izabela już myślała o nowym ubraniu dla chłopca. Laura zdołała przynieść ze szwalni skrawki materiałów, które miały wykorzystać do przerabiania i łatania starych ubrań bliźniaków.

Właśnie siedzieli i cerowali ubrania, gdy w korytarzu rozległ się jakiś hałas. Spojrzały na siebie pytająco. O tej porze nikomu nie wolno było wychodzić z domu.

Nagle pojawiło się trzech żydowskich policjantów, którzy nakazali wszystkim lokatorom zebrać się w pokoju Szulca. Izabela tuliła Mariana, Laura stanęła obok Lewiatanów, a Szifrinowie trzymali się za ręce. Tylko Szymon stał samotnie.

– Nazwiska i imiona – nakazał jeden z policjantów i wyjął notes, by zapisać dane.

W pierwszej kolejności przedstawili się Szifrinowie. Później przysła kolej na Lewiatanów i Szulca. Kiedy policjant wskazał na Izabelę, ta drżącym głosem wyrecytowała swoje dane i natychmiast podała fałszywe imię i nazwisko Mariana. Policjant skrzętnie wszystko zanotował, po czym powiódł wzrokiem po zebranych i odezwał się:

– A teraz powiecie mi, kto tu nie powinien mieszkać.

Milczenie trwało, jakby nikt nie rozumiał pytania.

– Otrzymaliśmy donos, że ktoś, kto tu mieszka, nie powinien się tu znajdować.

Wszyscy wbili wzrok w podłogę. Nikt nie śmiał na nikogo spojrzeć, by nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń. Ciszę przerywały miarowe uderzenia buta policjanta oczekującego na odpowiedź.

– No, jazda! Bo zaraz zasnę!

– Nie rozumieć, w czym rzecz, ale może chodzić o krewnego Izabeli. On od niedawna z nami mieszkać – zastanawiał się Szulc, zachowując spokój. – Chłopak nie mieć co jeść, bo jego rodzice chorować na gripę i obydwoje trafić do szpitala. Co było robić? Trzeba pomóc sierocie.

– A właśnie... – Policjant zrobił głęboki wdech i spojrzał na chłopca. – Zanim tu przyszliśmy, sprawdziliśmy w wydziale meldunkowym, kto powinien tu mieszkać i twojego nazwiska nie było na liście. Dlaczego się nie zgłosiłeś do urzędu w celu zmiany miejsca zameldowania?

– Dzieciak nie wiedzieć – tłumaczył Szulc. – My też zapomnieć o tym. – Uśmiechnął się przymilnie.

– Obiecuję, że jutro z samego rana polecę do wydziału meldunkowego i załatwię sprawę – pośpiesznie obiecała Izabela.

– Tylko żebyś mi nie zapomniała – syknął policjant i podniósł się z krzesła, po czym schował notes i ruszył do wyjścia. Dwaj pozostali dołączyli do niego. Po chwili opuścili mieszkanie.

Izabela czule pogłaskała Mariana.

– Wracać do pokoju – nakazał Szymon i poczekał, aż sąsiedzi się rozejdą.

– Na razie się udało, tylko co dalej? – odezwała się Izabela. – Jutro wyjdzie na jaw, że nikt o takim nazwisku nie istnieje.

– Musimy więc podać takie nazwisko, w które wszyscy uwierzą – odezwała się Laura.

– Dokładnie – zawtórował jej Szulc. – Ja mieć pomysł. Moja daleka krewna kiedyś miał chłopca w wieku Mariana, ale on zachorował na skorbut i umrzeć. Jutro ty wmówić urzędnikom, że to być pomyłka i dzieciak przeżyć.

– To się nie uda – wątpiła Izabela.

– On nie umrzeć w szpitalu, tylko w domu. Rodzice móc się pomylić. A później sami umrzeć i nie wyprostować tego.

– Szyte grubymi nićmi, ale jak ci uwierzą, to mamy problem z głowy. Za jakiś czas zgłosisz, że Marian zgubił dokumenty i dostanie nowe.

Izabela zastanawiała się nad tym pomysłem. Może faktycznie była to szansa, by mogła przestać oglądać się za siebie?

Rano, zamiast do pracy, pobiegła z Marianem do urzędu. Tam znudzonemu pracownikowi wyrecytowali dane, których przez cały wieczór uczył ich Szulc i jeszcze przed południem Marian Kluka przybrał nową tożsamość. Od tego momentu oficjalnie nazywał się Łazarz Mirkin.

## ROZDZIAŁ IX DYLEMATY I DECYZJE

Laura wracała z resortu sama. Szymon jak zwykle musiał zostać dłużej. Ostatnio coraz rzadziej wracali razem. Rano wychodzili z domu we czworo, ale po południu chłopcy zwykle gdzieś gnali, załatwiać swoje sprawy. Trochę ją to niepokoiło. Podejrzewała, że Józef prowadzi handel wymienny. Ze szwalni znikają skrawki materiału, nici i igły. W ich domu zaś pojawiały się dodatkowe porcje mąki i kaszy. Kilka razy próbowała podpytać Eliasza, skąd mają to jedzenie, ale on tylko się uśmiechał. Widząc, jak chudzi są chłopcy, w końcu dała sobie spokój z pytaniami. Sama nie była w stanie zapewnić im niczego więcej.

Bywały tygodnie, że połowy talonów nie mogła wykupić, gdyż w sklepach niczego nie było. W tym roku mieszkańców getta nękał wyjątkowo dotkliwy głód. Widać też było ogromne zmęczenie, które niekiedy przeradzało się we frustrację prowadzącą do samobójstw.

Na początku wisielcy wzbudzali wiele emocji. Z czasem nikt już się nie zastanawiał, dlaczego kolejna osoba targnęła się na swoje życie. Przeciwnie, niektórzy zaczęli zazdrościć im odwagi.

Laura zatrzymała się przed słupem ogłoszeniowym. Dostrzegła duży plakat z wytłuszczonym hasłem nawołującym ukrywających się Żydów oraz tych, którzy mieli zabłokowane kartki żywnościowe, by się ujawnili, bo kara i tak ich nie minie, a dalsze ukrywanie się jedynie ją zaostrzy. Jeśli natomiast znajdują się wśród nich mądrzy ludzie, to mogą swoją karę odpracować w niemieckim zakładzie poza granicami getta. Praca zamiast więzienia to wspaniałomyślna oferta składana przez niemieckie władze. Laura zerknęła na datę. Wyznaczony przez gestapo termin upływał piątego marca, czyli jutro.

Laura przypomniała sobie poprzednią wywózkę, w której straciła teściową. Wspomnienie Wielkiej Szpery wciąż ją prześladowało. Tyle malców odebrano zrozpaczoną matkom.

Nie wszyscy Żydzi w getcie chcieli pracować. Łatwiej było kraść czy żebrać i choć na początku niektórzy z litości dzielili się kawałkiem chleba, to ostatnio głód nękał wszystkich, którzy nie należeli do uprzywilejowanych. Urzędnicy nie lubili stać w kolejkach z pracownikami resortów w pocie czoła wyrabiającymi narzuconą im normę. Postarali się więc o oddzielne sklepy dla siebie czy dla Sonderabteilung.

– Znowu chcą nas gdzieś wywozić – sarknął młody Żyd, wciskając dłonie do kieszeni chałatu. – Ciągłe im tylko przeszkadzamy – dodał i splunął na bruk. – Co jeszcze z nami zrobią? Już traktują nas gorzej od bydła.

– Może jednak lepsza praca poza ogrodzeniem z drutu kolczastego – odezwała się Laura, ustępując mu miejsca.

Mężczyzna szybko doczytał resztę informacji i spojrzał na Laurę.

– Myśli pani, że wezmą tylko skazańców?

– Tutaj jest tak napisane. My już mamy posady, a ostatnio ubywa rąk do pracy – zauważyła, przypominając sobie kilka szwaczek, które zmarły zimą.

– Ja już im nie uwierzę. To kłamcy, którzy manipulują nami i wykorzystują naszą naiwność.

– Oby tylko nie było gorzej – westchnęła Laura i odeszła w stronę domu.

W mieszkaniu panował mrok. Marcowe dni wciąż były krótkie, a pogoda zmienna i nieprzewidywalna. Jednego dnia świeciło słońce, a drugiego szalała śnieżycą.

Laura zapaliła świeczkę i weszła do kuchni. Szybko rozpałała ogień, który buchnął pod fajerkami i wlała wodę do garnka. Dzisiaj zamierzała zaserwować domownikom zupę z brukwi. Obrabiła i posiekała warzywo, by później wrzucić je do saganka. Wlała znacznie więcej wody, niż powinna. Wiedziała, że to oszustwo, ale nie miała wyjścia, nic innego nie było do jedzenia. Co rusz zaglądała pod pokrywkę, by sprawdzić, czy woda już się gotuje. Wreszcie wrzuciła do niej brukwie i dwa znalezione w kredensie ziemniaki, które zaczęły już kiełkować.

Warzywa jeszcze się gotowały, gdy do kuchni weszli Lewiatanowie. Obydwaj uśmiechali się szelmowsko. Laura zauważyła, że bracia coraz lepiej się dogadywali. Gdyby Abigail mogła ich teraz zobaczyć, byłaby z nich dumna. Wyrosli, przestali drzeć ze sobą koty. Częściej mówili jednym głosem. Planowała, że po wojnie zamieszkają razem na Kościuszki. W jej rodzinnym domu było wystarczająco miejsca dla całej czwórki. Nawet nie chciała myśleć, że Dawid mógłby do nich nie dołączyć. Tam był ich dom. Tam na niego zaczeka.

– Mamy coś do zupy – obwieścił radośnie Józef i położył na stole niewielkie zawiniątko.

Zdobyc była opakowana w papier z plakatu, który niedawno czytała. Rozwinęła arkusz i jej oczom ukazał się kawałek grubej końskiej kiełbasy. Nie był duży, ale pachniał lepiej od pieczonej szynki czy schabu ze śliwkami.

– Skąd to macie? – wyrwało się jej, ale natychmiast machnęła dłonią i zaczęła rozkładać kiełbasę na mniejsze kawałki. Później obsmażyła je i przełożyła do sagana z zupą. Uśmiechała się przy tym i delectowała aromatem wypełniającym kuchnię. – Danie gotowe – obwieściła dwóm głodomorom siedzącym przy stole. Jak na zawałanie do środka weszła Izabela z Marianem i Szymonem. Nareszcie mogli wspólnie zjeść posiłek.

Chłopcy szybko połykali zupę, kręcąc się przy tym na boki, jakby nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie będą mogli wybiec na podwórko.

– Ponoć można się stąd wydostać – zaczął Józef podekscytowany, gdy opróżnił miskę.

– Nogami do przodu – bąknął pod nosem Szymon.

– Właśnie że nie. Można jechać do pracy. Podobno przyjmują do zakładów zbrojeniowych gdzieś pod Częstochową.

Przy stole zapanowała cisza. Józef usiłował złowić wzrok Laury albo Szymona, ale obydwójce go unikali.

– Chcesz produkować broń dla szwabów? – upewniła się Izabela. – Tą bronią do nas strzelają. Chcesz mieć krew braci na rękach? – Spojrzała na niego zaczepnie.

Chłopak się zmieszał. Błądził wzrokiem po stole, jakby nie miał pewności, że może spojrzeć w oczy domownikom.

– Józef wymyślił plan ucieczki – Eliasz ruszył bratu z pomocą. – Posłuchajcie, to naprawdę ma sens – dodał i powiódł wzrokiem po siedzących przy stole. Tylko Marian z zapartym tchem słuchał jego słów. Reszta wydawała się pochłonięta jedzeniem.

– Sens? Tutaj nic nie mieć sens – burknął Szymon i podniósł zmęczony wzrok. – Im więcej my dla nich pracować, tym więcej oni wymagać, a jednocześnie zmniejszać talony na jedzenie. Praca po dziesięć czy jedenaście godzin dziennie być ponad siły każdego z nas. A oni chcieć z nas wycisnąć jeszcze więcej. Ty pleść głupoty, że praca w zbrojeniówce być lekka.

– Żle mnie rozumielicie. – Józef odchrząknął i z nadzieją w głosie zaczął jeszcze raz: – Możemy jechać do pracy, ale przecież wcale nie musimy tam dotrzeć. Po drodze pociąg będzie zwalniał czy się zatrzymywał, a to daje szansę na ucieczkę.

– Myślisz, że to być takie proste – zakpił Szymon. – Niemcy to nie idioci i na pewno nie po to nas tu wsadzić, żeby nie przemyśleć i odpowiednio nie zabezpieczyć pociągu wiozącego więźniów.

– Każdy plan ma luki, więc zakładamy, że Niemcy też nie wszystko dopięli na ostatni guzik – stwierdził Eliasz, starając się panować nad rosnącymi emocjami. – Wystarczy dobrze ich obserwować i czekać na ich potknięcie.

– Macie po piętnaście lat i sądzicie, że zdołacie przechytrzyć wyszkolonych strażników? – Laura z niedowierzaniem pokręciła głową. – To niedorzeczne.

– Marianowi jakoś się udało uciec z obozu, a jest młodszy od nas – przypomniał Józef.

– Marian nie miał innego wyjścia. Gdyby tam został, pewnie już by nie żył – odparła Laura, obrzucając bliźniaków ostrym spojrzeniem. – Obiecałam waszej matce, że się wami zajmę i nie zamierzam stracić was z oczu, zanim nie zmądrzejecie i nie dorośnecie.

– Laura...

– Żadne „Laura” – prychnęła. – Nie pozwolę wam się narażać. Zobaczycie, że wkrótce nas uwolnią.

– To twoje wkrótce to kolejnych pięć, a może dziesięć lat! – obruszył się Józef. – Tu i tak jesteśmy jak martwi. Myślisz, że takiego życia chcemy? Musimy spróbować... Musimy...

– Nie zgadzam się! Rozumiecie?! Nie pozwalam! Koniec! – warknęła i wstała od stołu, pozostawiając na nim talerz z resztką zupy. – Po wojnie mi za to dziękujecie – dodała, wychodząc z kuchni.

Przez kolejne dni Lewiatanowie omijali Laurę szerokim łukiem, nie chcąc jej wchodzić w drogę. Doskonale pamiętali jej płonący ogniem wzrok, który wyrażał złość, ale jednocześnie troskę i miłość. Została im tylko ona. Nie mogli zlekceważyć jej słów. Nie zasłużyła na to. I choć często mieli ochotę uciec z jej lekcyj, bo mieli wiele innych, znacznie ciekawszych zajęć, to jakiś wewnętrzny głos rozsądku nie pozwalał im na to. Wiedzieli, że Laura dba o ich wykształcenie, bo wciąż wierzy, że niedługo wojenna zawierucha ustąpi miejsca pokojowi i będą mogli kontynuować naukę, a może nawet pójść na studia. Ojciec byłby z nich dumny. Jako wykładowca na uczelni wyższej wierzył, że wiedza stanowi przepustkę do lepszego świata. Kochał swoją pracę. Uwielbiał swoich studentów, ale zbyt chętnie mówił też o swoich poglądach politycznych, co nie spodobało się nazistom. Drugiej szansy nie dostał.

\* \* \*

Aneta i Gabriela spiesznie wracały ze szpitala. Ledwie trzymały się na nogach. Cały dzień krążyły pomiędzy łózkami chorych na zapalenie płuc, oskrzeli czy grypę. Ta ostatnia choroba wciąż zbierała żniwo. Każdego dnia grabarz wywoził wóz wyładowany zwłokami tych, którzy przegrali walkę z głodem, brudem, nędzą, wirusami i bakteriami. Tylko najsilniejsi mieli szansę przeżyć, a tych z każdym miesiącem było coraz mniej.

Ambulatorium nie zapewniało lekarstw czy tak potrzebnego wartościowego pożywienia. Suchy chleb z wodą lub mętna zupa stanowiły cały posiłek. Szara skóra, zboląły wzrok i wychudzone ciała schowane pod kocami to obraz towarzyszący młodym sanitariuszkom, odkąd podjęły pracę.

Weszły do mieszkania i zdjęły ubrania, które były nieco przemoczone, gdyż od kilku dni mżyło. W kuchni zobaczyły krzątającą się matkę. Gdy tylko je dostrzegła, natychmiast usiadła przy stole i nakazała im zrobić to samo.

– Niedawno słyszałam, jak Józef i Eliasz opowiadali o planach wydostania się z getta – zaczęła, ścisząc głos. – I właśnie pojawia się świetna okazja.

– Jak to, mamuś? – zaciekała się Aneta.

– Czytałam plakat, że poszukują do pracy dziewczyn urodzonych pod koniec lat dwudziestych – wyjaśniła zaaferowana. – Podobno chcą je zawieźć do pracy w fabryce broni. Na plakacie pisali, że gwarantują podróż wygodnym pociągiem, a później zakwaterowanie u polskich rodzin.

– I myśli mamcia, że powinnyśmy tam jechać? – zapytała Gabriela.

– To jedyna szansa wyjścia stąd już teraz. Każdy powtarza, że wojna kiedyś się skończy, ale ona wciąż trwa, a my tu siedzimy jak spętane zwierzęta i nawet nosa nie wyściubimy za płot, bo Niemcy gotowi go nam odstrzelić.

– Myślisz, że zdołamy się wymknąć z takiego zakładu? – zastanawiała się starsza z córek.

– Kiedy usłyszałam słowa Józefa o ucieczce z pociągu wiozącego ludzi do pracy, to też postukałam się w czoło, ale zakwaterowanie u polskich rodzin otwiera nowe możliwości.

– Na pewno jest większa szansa na wydostanie się – zauważyła Aneta.

Matka pokiwała głową. Nareszcie córki zaczynały rozumieć, co miała na myśli.

– Nie mogę patrzeć, jak tu głodujecie, choć pracujecie całe dni. I choćbym zaklinała Boga albo błagała go na kolanach, to nasze żołądki pozostaną puste. A ja wciąż mam przeświadczenie, że z każdym dniem bliżej nam do zwierząt niż do ludzi. Śpimy, pracujemy i jemy albo martwimy się, jak zdobyć pożywienie. Ot, czym się staliśmy – westchnęła, ostatkiem sił panując nad ciszącymi się do oczu łzami. – Nie chcę dla was takiego życia.

Córki przypadły do matki i zaczęły ją tulić i całować. Wiedziały, że są dla niej najważniejsze, a decyzja o ich wyjeździe nie należała do łatwych.

Do kuchni wszedł Szifrin. Kiedy zobaczył zapłakaną rodzinę, zrozumiał, że jego małżonka realizowała swój niedorzeczny plan ocalenia córek. Dwa kwadransy temu pokłócili się o to, ale

najwidoczniej dla Estery jego zdanie się nie liczyło. Już zdecydowała. Jakub w milczeniu obserwował trzy najważniejsze dla niego kobiety. Nie wyobrażał sobie, że mogłyby ich zabraknąć.

– Mamy niewiele czasu na przygotowania. Jutro zgłosicie się jako chętne – zakomenderowała matka.

Wieczorem Aneta siedziała w kuchni, szydełkując kolorową chustę z resztek włóczki.

– Co dziergasz?

Odwrociła się, słysząc głos Eliasza.

– Dzierga się na drutach – wyjaśniła. – Ja szydełkuję.

– Dobra, dobra. Grunt, że dzięki temu małemu drucikowi robisz cuda.

– Muszę to skończyć przed wyjazdem.

– Przed czym wyjazdem?

– Moim.

– Jak to?

– Zdecydowałyśmy się zgłosić do pracy i pojutrze wyjeżdżamy – oświadczyła, a na jej twarzy zamajaczył uśmiech. – Podobno też tak chcieliście stąd uciec.

– Taaa, ale wiesz... Laura... Ona jest przewrażliwiona na naszym punkcie. – Skrzywił się wymownie.

– Moja matka chce dla nas lepszego życia i sama nas wysłała do pracy w tym zakładzie.

– Szkoda, że Laura nie może tego zrozumieć.

– Ponoć mieliście plan ucieczki w czasie podróży.

– Ba, bo to jeden.

– Może nam uda się go zrealizować. – Spojrzała na chłopaka wyczekująco.

– Musicie mieć oczy i uszy otwarte, żeby wiedzieć, gdzie są strażnicy. To łatwe, bo wagony, które podstawiają na stację Radegast, mają duże okna, więc widać, co się dzieje wokół pociągu. W środku zaś nie ma przedziałów, więc wszystkich masz jak na widelcu.

– Nie ma mowy. Nie będę skakała z pociągu. Łatwiej będzie uciec z fabryki.

– Może... odparł nieprzekonany.

Przez chwilę przyglądał się jej dłoniom. Aneta była od niego ledwie rok starsza i lada dzień miała zacząć nowe, zupełnie inne życie. Ileż by dał, by móc z nią jechać. By móc spróbować się uwolnić od tej ciemności, w której utkwiał.

– Obiecuj, że przyślesz nam kartkę. – Spojrzał na nią z nadzieją. – Nikt nam ich nie przysyła. Jakby wszyscy zapadli się pod ziemię.

– Wyślę z każdego miejsca, do którego będę się przenosić. Zasypię cię kartkami – roześmiała się, z nadzieją patrząc w przyszłość.

Eliasz wstał. Nachylił się w jej stronę, ale w ostatniej chwili się wycofał. To nie miało sensu. Pojutrze już jej tutaj nie będzie. Machnął na pożegnanie i poczłapał do pokoju Szulca opowiedzieć Józefowi o wyjeździe sąsiadek.

Tymczasem Aneta skończyła szydełkować. Zwinęła resztę wełny i zaniósła ją do pokoju. Matka też będzie potrafiła wykorzystać tę włóczkę.

W pokoju panował rozgardiasz. Wszystkie ubrania dziewcząt wylądowały na ich sienniku.

– Jutro przed robotą trzeba zrobić pranie – przypomniała Estera. – Musicie zabrać wszystkie ubrania, bo nie wiadomo, czego będziecie potrzebować.

– Nie jestem do twojego pomysłu przekonany – stwierdził ojciec, ze smutkiem patrząc na żonę. – One nie powinny jechać same. Nie ufam tym kanałiom – dodał, zaciskając pięści.

– A na co mają tu czekać? Nic lepszego tutaj nie znajdą.

– Nie podoba mi się to ... – mruzczał pod nosem, podczas gdy jego żona upychała do walizek ubrania córek.

Wreszcie i u Szifrinów zgasła świeca. Nastąpiła pierwsza z dwóch długich nocy.

Rano Estera zajęła się praniem, a mężowi przydzieliła zadanie zaprowadzenia córek do wydziału personalnego, by zgłosiły chęć wyjazdu do pracy.

Przed obiadem wszystko było załatwione, gdyż okazało się, że chętnych nie ma zbyt wielu. Dziewczęta pełne nadziei wróciły do ambulatorium. Kiedy weszły, natknęły się na doktora Goldbluma. Zdążyły go polubić. W ich oczach był cudotwórcą, który leczył ludzi swoim

dotykiem i dobrym słowem. Pacjenci doceniali troskę lekarza, a pielęgniarki w dwójnasób szanowały.

– Dzisiaj jesteśmy ostatni dzień w pracy – obwieściła Gabryisia, uśmiechając się szczerym, dziewczęcym uśmiechem.

– Jak to? Nie chcecie już mi pomagać? – zaniepokoił się.

– Nie, to nie tak – pospieszyła z wyjaśnieniem Aneta. – Po prostu wyjeżdżamy stąd.

Lekarz z zapartym tchem słuchał wyjaśnień. Kilka razy zapewnił się, czy są przekonane do tego pomysłu. Nie ufał Niemcom.

– Kiedy to wszystko się skończy, wróćcie do Łodzi. W moim szpitalu potrzeba takich sumiennych dziewczyn – poprosił i uściskał je kolejno, a później wrócił do pacjentów.

Dyżur upłynął siostram Szifrin na doglądaniu potrzebujących. Gdy miały się na korytarzu, uśmiechały się do siebie, wciąż myśląc o zbliżającej się chwili, gdy znów zasmakują wolności.

Po powrocie do mieszkania zebrały suche ubrania ze sznurka rozwieszonego w kuchni i zapakowały je do walizek. Matka przygotowała kolację, na którą zaprosiła wszystkich lokatorów. Nie mieścili się przy wspólnym stole, dlatego młodszy siedzieli w niewielkim oddaleniu. Oprócz kraszonej margaryną kaszy, był też chleb przyniesiony przez Laurę. Pomieszczenie wypełniała ekscytacja wymieszana ze strachem i niepewnością.

Nie dzielili zbyt długo. Rano wszyscy musieli zająć się codziennymi obowiązkami. Tylko Eliasz zdołał ubłagać Szymona, by ten pozwolił mu odprowadzić sąsiadki do punktu zbornego na Marysinie. Józef żałował, że sam nie wpadł na ten pomysł.

Ranek powitał ich słoneczną pogodą. Estera i Jakub szli przodem wraz z Gabrysią. Za nimi kroczył Eliasz, mocno ściskając walizkę Anety. Co jakiś czas ukradkiem spoglądał na dziewczynę. Im bliżej stacji, tym więcej ludzi mijali. Młode dziewczyny tłoczyły się przed wejściem, pilnując, by nikt im nie zabrał walizki. Większość ochotniczek była przerażona i smutna.

Aneta ze strachem spojrzała na matkę. Ta jednak unikała jej wzroku, jakby nie chciała, żeby córka ujrzała w nich wątpliwości, na których ujawnienie było już za późno. Gabryisia wyczuła nastrój siostry. Sama walczyła z lękiem, dlatego złapała jej dłoń i mocno ją ścisnęła.

Przed wejściem na stację stało kilku żydowskich policjantów z listami. Do punktu mogły wejść jedynie te osoby, których nazwisko widniało na liście. Szifrinówny ustawiły się w długim ogonku i w napięciu czekały na swoją kolej.

– W walizkach macie po pół bochenka chleba, a tu jeszcze po marchewce – obwieściła Estera i uśmiechnęła się, żeby dodać córkom otuchy. – Tylko nie chwalcie się tym nikomu.

– Najlepiej nie rzucajcie się nikomu w oczy – poradził ojciec. – Im mniej osób będzie was kojarzyło, tym lepiej.

Siostry zgodnie pokiwały głowami i znowu wyjrzały na topniejący przed nimi tłum. Kolejka posuwała się dość szybko. Policjanci sprawnie kontrolowali obecność i wręczali bilety na przejazd.

– Uważaj na siebie i pisz, gdy tylko będziesz mogła – poprosił Eliasz. – A po wojnie wracaj do Łodzi. Na pewno się spotkamy – obiecał i postawił walizkę przy Anecie. Wiedział, że powinien już wracać. Nie lubił pożegnań, a to stało się coraz trudniejsze. Jeszcze kilka dni temu nawet nie pomyślałby, że może tęsknić za Anetą, a dzisiaj od rana czuł dziwny ucisk w żołądku. W ostatniej chwili, w przyпіlywie odwagi złapał dłoń dziewczyny i ją ucałował. Potem już nic nie mówił. Odwrócił się i pognął do resortu.

Aneta zawstydzona spuściła wzrok, jednak nie miała czasu rozpamiętywać pocałunku, gdyż nieuchronnie zbliżał się czas pożegnania z rodzicami. Matka przytuliła córki i ucałowała ich jasne czoła. Ukradkiem otarła łzy. Dopiero gdy odsunęła się nieco, do Anety i Gabrysi podszedł ojciec. Przez chwilę szeptał nad ich głowami modlitwę, później musnął ustami ich blade policzki i odszedł na bok.

Wreszcie nadeszła chwila, gdy nazwisko Szifrin zostało odnalezione na liście osób uprawnionych do wyjazdu.

– Jedźcie drugim pociągami – poinformował je młody żydowski policjant. – Przejdźcie na prawo, żeby nie zastawiać wejścia na peron – nakazał.

W jednej ręce ściskając bilet, a w drugiej walizkę, jak na komendę odwróciły się, a potem pomachały rodzicom.

Gdy opuściły dłonie, tłum poniósł je na prawą stronę. Zaczekały na sygnał wymarszu. Idąc wraz z innymi na stację Radegast, mijał miejsca, które przez ostatnie lata stanowiły ich codzienny widok. W kamienicach trudno było dostrzec firany czy zasłony. Dzielnica z każdym dniem ubożała.

Wreszcie dotarły na stację. Miały czas, by przyjrzeć się pierwszemu podstawionemu pociągowi. Kiedyś jechały takim do rodziny w Warszawie. To było latem trzydziestego szóstego roku. Rodzina ojca kupiła kamienicę w stolicy i bardzo chciała się nią pochwalić. Mieszkania mieli wynajmować, ale zanim to nastąpiło, zaprosili Szifrinów, by pokazać im swój nabytek. Jakub długo się nie zastanawiał, zapakował rodzinę do pociągu i pojechał. Okazało się, że stolica tak bardzo im się spodobała, że zamiast umówionego tygodnia, spędzili w niej prawie dwa i wciąż odkrywali miejsca, do których chcieli wracać.

Aneta patrzyła teraz na potężną lokomotywę, nad którą unosiły się kłęby dymu. Wagony szybko wypełniały się ludźmi.

Z drewnianego budynku wyszedł zawiadowca stacji i zagwizdał, dając sygnał do odjazdu. Kolejny pociąg miał nadjechać lada moment.

Ciężka lokomotywa drgnęła i wagony zaczęły się toczyć po szynach. Po chwili chmura dymu zniknęła.

Ledwie jeden pociąg pognął w dal, podstawiono drugi i cały proces rozpoczął się na nowo. Ludzie tłoczyli się, chcąc jak najszybciej wejść do środka, by zająć miejsca przy oknie. Niektórzy nigdy nie podróżowali pociągiem, inni już dawno zapomnieli, jak to jest mknąć w nieznaną.

Aneta i Gabrysia pospieszyły w stronę wejścia. Pokazały bilety i wsiadły do środka. Zająły pierwsze wolne miejsca, na jakie się natknęły i wsunęły walizki pod siedzenia. Czekwały kilkanaście minut, zanim pociąg opuścił stację. Nie bacząc na nic, złapały się za dłonie i przytuliły do siebie. To miał być początek ich nowego – lepszego życia<sup>4</sup>.



## ROZDZIAŁ X GDZIE LILAK?

Bzy. Izabela uwielbiała ich zapach i smak. Jej babka, a potem matka przyrządzały smaczną przekąskę z lilaka. Wybierały najdorodniejsze kwiaty kwitnące w ich niewielkim ogrodzie, później długo ubijały białka jajek na sztywną pianę i łączyły z żółtkami wymieszanymi z cukrem, a potem dodawały niewielką ilość mąki. W ten sposób powstawało delikatne ciasto, w którym zanurzały okazałe kwiaty, by następnie smażyć je na głębokim tłuszczu. Zapach smażeniny roznosił się po całym mieszkaniu i zwiastował pyszny deser. Zajadała go ze smakiem, a gdy dorosła, zaczęła przyrządzać ten przysmak swoim dzieciom.

Zamyśliła się. Oczywiście wyobraźni znów widziała swoje trzy córeczki, które urodziła, zanim zaczął się koszmar wojny. Dla nich rwała kłiszcze bzu na mniejsze części i maczała je w cieście. Gdy wyjmowała je z tłuszczu, odkładała do wystygnięcia, by córki się nie poparzyły. Później siadały razem przy stole i jadły. Ich roześmiane, umazane tłuszczem buźki były niczym promyczki rozświetlające każdy dzień.

Maj czterdziestego czwartego w niczym nie przypominał żadnego maja sprzed wojny. Na łódzkich Bałutach brakowało wszystkiego. Lilaków również.

Izabela przyspieszyła kroku. W domu czekał już na nią Marian. Musiała jednak spróbować wykupić talony. Stała w długiej kolejce, łudząc się, że może dzisiaj uda jej się dostać nieco więcej przydziałów.

– Znów nic nie ma – skarżyła się jedna z klientek, wychodząc ze sklepu.

– Co się dzieje? – zastanawiała się Izabela.

– Może jaka klęska albo co? – odparła stojąca obok niej chuda, zgarbiona kobieta w czarnej chustce zakrywającej włosy.

– Na przednówku zawsze trudno o jedzenie – wyjaśniła druga.

– Ale nigdy nie było aż tak źle – zauważyła Izabela. – Już trzeci raz w tym tygodniu stoję, żeby wykupić talony i znowu nic z tego.

– Jakby pioruny chciały, żebyśmy wymarli z głodu – wtrąciła młoda dziewczyna, wychyliwszy się zza pleców zgarbionej właścicielki czarnej chustki.

– Czy oni nie rozumieją, że nas potrzebują? – Izabela z niedowierzaniem pokręciła głową.

– A może już nie?

– Ej, tam. Marudzita i tyle.

Izabela zbliżyła się do sklepowego okna i zajrzała do środka. Rzeczywiście nie było niczego poza kilkoma bochenkami czarnego chleba. Znowu będą musieli skromnie dzielić jedzenie, by wystarczyć go do następnego tygodnia.

Gdy wracała z zakupami, w oddali dostrzegła zbliżający się patrol Sonderabteilung. Przycisnęła do piersi bochen i spuściła wzrok. Choć oni też byli Żydami, różnie się o nich mówiło. Wiedziała, że potrafili być tak brutalni jak Niemcy. Niemal nie oddychając, minęła policjantów, gdy nagle usłyszała:

– Hej! Zatrzymaj się!

Nie zatrzymała się, licząc, że to nie do niej skierowany jest rozkaz.

– Stój! Ogłuchłaś?!

Tym razem nie miała wątpliwości, że to właśnie ona jest adresatką tych słów. Zatrzymała się.

– Czernin? – usłyszała swoje nazwisko i natychmiast rozpoznała głos. – Izabela Czernin?

Skinęła głową i powoli odwróciła się w stronę mężczyzny.

– Dobrze cię zapamiętałem. Byliśmy w twoim mieszkaniu po tym donosie, że kogoś ukrywasz – wyjaśnił.

Izabela ponownie pokiwała głową, mając nadzieję, że i tym razem uda jej się wyjść bez szwanku z tego spotkania.

– Widzę, że zakupy się udały – zauważył, zaskakując ją zmianą tematu.

Uśmiechnęła się, patrząc na chleb, jedyne pożywienie na najbliższe dni.

– Dobrze, że masz pracę, to i pojesz trochę. Te łajzy i nieroby tylko kradną, a później płaczą, jak trafią do więzienia, a stamtąd wyjeżdżają do Rzeszy na roboty. Tam ich nauczą pokory. My, co uczciwie pracujemy, nie musimy się bać.

Izabela nie zamierzała polemizować. Już dawno się nauczyła, że z ludźmi mającymi pałki za paskiem nie warto dyskutować, nawet jeśli plotą bzdury. Co z tego, że każdego dnia pracowała po dziesięć godzin. I tak głodowała.

Nagle policjant dotknął kosmyka włosów wystających spod jej ciemnej chustki i spojrzał na nią w dziwny sposób. Przestraszyła się. Już dawno żaden mężczyzna tak na nią nie patrzył. Odruchowo się cofnęła. Widocznie wyczuł jej obawy, dlatego sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zawiniętą w kolorowy papier niewielką tabliczkę czekolady. Izabela zdębiała. Nie widziała takich rarytasów od początku wojny. A w getcie mogła o nich tylko śnić.

– To dla ciebie – oświadczył, podając jej smakołyk.

Zaskoczona spoglądała to na czekoladę, to na mężczyznę, nie mając pojęcia, co powinna zrobić. Marian i Lewiatanowie, których po trosze traktowała jak synów, byliby wniebowzięci. Ale zdawała sobie sprawę, że takich frykasów nikt tutaj nie rozdaje ot tak sobie.

– Nie trzeba – odezwała się i głośno przełknęła napływającą do ust ślinę.

– Weź. – Jeszcze bliżej podsunął zawiniątko.

Ostrożnie podniosła głowę i przyjrzała się stojącemu przed nią mężczyźnie. Miał krótkie, niemal czarne włosy. Spod ciemnego munduru wystawał kołnierzyk koszuli wyglądającej na stosunkowo nową. Spodnie też nie były ani poprzecierane, ani łatane jak u innych mieszkańców getta. Powiodła wzrokiem w dół i przez chwilę nie mogła wyjść z podziwu. Buty mężczyzny były zupełnie nowe i wypastowane na błysk. Ukradkiem zerknęła na stojącego obok drugiego policjanta. Jego buty nie wyglądały na dużo starsze, choć nosiły oznaki użytkowania. Odruchowo spojrzała na swoje znoszone obuwie. Nikt z ludzi, których znała, nie miał pantofli w lepszym stanie. Dopiero teraz przypomniała sobie pogłoski, że ci, którzy zapisali się do oddziału specjalnego, byli sownie nagradzani za swoją pracę przeciwko bliźnim. Nigdy nie znała nikogo takiego, więc nie umiała odnieść się do tych plotek. Dzisiaj nabierały one dla Izabeli innego wymiaru.

– Uznajmy, że to na przeprosiny za fałszywe oskarżenia o przechowywanie osób poszukiwanych – nie ustępował, wciąż machając czekoladą przed jej nosem.

Miała tego dość. Złapała czekoladę i podziękowała, po czym wsadziła zdobycz do siatki, skłoniła się lekko i ruszyła w stronę domu.

– O które jutro kończysz robotę?! – krzyknął policjant za jej plecami.

– O siedemnastej – odparła, odwróciwszy się na moment. Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że popełniła błąd.

– Przyjdę, żeby cię odprowadzić do domu – odparł, uśmiechając się do niej.

Zaskoczyła ją to, ale odniosła wrażenie, że w jego słowach pobrzmiwała nuta troski i szczeroci. Wołała jednak nie czekać dłużej. Odwróciła się i podreptała do mieszkania.

Kiedy weszła do środka, czuła potworne zmęczenie, a w jej głowie wirowały dziwne myśli. Położyła chleb na stole i usiadła na stołku w kuchni. Czego ten człowiek mógł od niej chcieć? Czyżby odkrył prawdę o Marianie i chciał ją sprowokować, by się przyznała? Pogrążona w rozmyśleniach nie dostrzegła wchodzącej Laury. Ta jednak na tyle dobrze znała przyjaciółkę, że niemal natychmiast dostrzegła jej kiepski nastrój. Kiedy usłyszała, co przydarzyło się Izabeli, aż przysiadła na stołku.

– Jeśli on odkryje prawdę o Marianie, to wszystkich nas zamkną w więzieniu, a potem wywiozą na roboty – biadoliła.

– Przepraszam – wyszeptła Izabela. – To moja wina, powinnam zachować czujność i skręcić gdzieś w bramę, jak zobaczyłam patrol. Gdyby mnie sobie nie przypomniał, to nie byłoby tego całego zamieszania.

– Nie mogłaś tego przewidzieć.

– Żeby uśpić moją czujność, dał mi czekoladę – dodała, wyjmując z siatki podarunek.

Laura aż rozdziawiła usta. Wedłowską czekoladę widywała tylko w domu Wagnera. Kilka razy udało jej się ułamać maleńką kostkę, którą po przyniesieniu do domu dzieliła sprawiedliwie między chłopców.

– Jemu chyba nie chodzi o to, żeby zrobić ci krzywdę – powiedziała niepewnie. – Nikt nie dawałby czekolady komuś, kto się dla niego nie liczy.

– Co masz na myśli? – Izabela wyprostowała się na taborecie.

– Wiem, jak to brzmi, ale, moim zdaniem, po prostu mu się spodobałaś.

Kobieta postukała się w czoło, prychnęła i wstała od stołu. W milczeniu kroila chleb, z którego sypały się wióry, którymi coraz częściej wypełniano pieczywo.

Tego wieczoru nie wracały do tego zdarzenia, co nie oznaczało, że o nim nie myślały. Izabela sama nie potrafiła zdecydować, które z rozwiązań jest gorsze. Nie chciała stracić Mariana, którego pokochała jak własne dziecko, ale też nie zależało jej na kontaktach z mężczyznami, zwłaszcza tymi, którzy służyli w Sonderabteilung. Czekoladę ukryła w szafie za ubraniami i postanowiła na razie o niej zapomnieć.

Rankiem wyszła jako pierwsza z mieszkania. Nie chciała czuć na sobie pytającego wzroku Laury. Wolała nie myśleć o tym, co miało nastąpić po południu. Marian pojawił się w zakładzie niemal godzinę później i próbował wypytać ją, dlaczego tak wcześniej zniknęła z domu. Zbyła go kłamstwem, że majster kazał jej przyjść wcześniej, żeby posprzątała warsztat. Marian w to nie uwierzył, ale wiedział, że jak ktoś nie chce o czymś mówić, to nie ma takiej siły, by go do tego zmusić. Sam też wolał milczenie niż bezwocne gadulstwo. W obozie rzadko się odzywał, wiedząc, że za każde słowo, które nie spodoba się strażnikom, może otrzymać srogą karę. Tę regułę długo stosował w mieszkaniu Izabeli, wciąż nie potrafiąc nikomu zaufać.

Kiedy majster pozwolił im wyjść z resortu, Izabela zgłosiła się do zamiatania podłogi. Nie pozwoliła też Marianowi, żeby na nią zaczekał. Posprzątała w kilka minut, ale przez pół godziny krążyła nerwowo po niewielkim pomieszczeniu i rozmyślała. W końcu ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała na podwórko. Tuż przy rozwalającej się bramie stał znajomy policjant i żuł źdźbło trawy. Dostrzegł ją niemal natychmiast i machnął ręką na powitanie. Bez pośpiechu wyszła na podwórko. Wtedy mężczyzna skierował się w jej stronę.

– Serwus, już myślałem, że gdzieś mi umknęłaś – powiedział, a w jego roześmianych oczach nie dostrzegła wrogości, jaką zapamiętała z ich pierwszego spotkania.

– Musiałam posprzątać – wyjaśniała, nerwowo miętosząc trzymaną w dłoniach siatkę na zakupy.

– Mogłaś mnie zawołać, pomógłbym ci.

Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Ten człowiek najwidoczniej oszalał i całkiem zapomniał, kim był i co należało do jego obowiązków, za które nienawidzili go inni Żydzi.

– Z tego wszystkiego nawet się nie przedstawiłem. Jestem Zachary Fiszgrund. – Wyciągnął rękę i czekał na reakcję Izabeli, która po namyśle uściśnęła mu dłoń. – Mogę cię odprowadzić? – spytał.

Wiedziała, z czym może się wiązać odmowa. Wolała nie ryzykować niezadowolonia członka Sonderabteilung. Skineją więc głową na zgodę i, idąc obok siebie, wyszli z podwórka na ulicę Marysińską. Tłumy powracające do domów Żydów nieco stopniały, ale Izabela wolała spuścić głowę, na wypadek gdyby spotkała kogoś znajomego. Spacer w towarzystwie policjanta nie wróżył nic dobrego.

– Smakowała ci czekolada? – odezwał się, przerywając ciszę.

– Nie było okazji, by jej skosztować – skłamała, bo w innej sytuacji najchętniej pochłonęłaby ją, dzieląc się tylko z najbliższymi.

– Dzisiaj też mam coś dla ciebie – wyznał tajemniczo i wyciągnął z kieszeni marynarki papierowe zawiniątko. – Zamknij oczy – polecił, zatrzymując się. Izabela zrobiła to samo, po czym posłusznie zamknęła powieki. Wtedy tuż przy ustach poczuła coś chłodnego. Odruchowo oblizała wargi i poczuła smak mięty. – Lubisz pastylki miętowe? – upewnił się, gdy otworzyła oczy. Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy do jej ust trafił miętowy cukierek. Odświeżający smak był niczym wiosna po długiej mroźnej zimie. – Jeśli ci smakują, to weź resztę – namawiał, widząc rozkosz na jej poszarzałej twarzy.

Umysł Izabeli protestował, ale ciało nie chciało go słuchać. Ssała cukierek, usiłując zapomnieć, od kogo go otrzymała. Czuła wewnętrzny ból, lecz nie znajdowała w sobie tyle siły, by go zdławić. Pomyślała o Marianie, o tym, że jej zaufała i powinna zrobić wszystko, by go nie zawieść. Rósł i potrzebował jedzenia, którego ona nie była w stanie mu zapewnić. Ucieszyłyby się, gdyby mógł zjeść czekoladę czy poczuć smak pastylek miętowych.

Wyciągnęła dłoń po kolejny prezent, choć nie patrzyła w oczy ofiarodawcy.

– Dziękuję – szepnęła.

– Jutro przyniosę ci coś znacznie lepszego – oświadczył.

– Nie możesz mi codziennie czegoś dawać – obruszyła się. – Ludzie zaczną gadać.

– Co z tego? – Wzruszył ramionami. – Niech gadają, po to mają języki. Pracuję na swój przydział jedzenia, a to, co z nim robię, nie powinno nikogo interesować. Daję go tobie, bo... – zawahał się, ale po chwili dokończył – ...bo cię polubiłem.

Dziwne ukłucie w żołądku obudziło czujność Izabeli. Wprawdzie Marian w spisie ludności getta funkcjonował pod nazwiskiem Łazarz Mirkin i miał legalne dokumenty, ale jednak strach wciąż pozostał. Musiała być ostrożna, jak wtedy, gdy poszła do wydziału meldunkowego. Urzędnik patrzył na nią znudzony, jakby nie rozumiał połowy jej słów, po czym bez pośpiechu wyciągnął odpowiednią księgę ewidencji ludności getta i równie powoli szukał podanego przez Izabelę nazwiska. Strona po stronie sprawdzał spis, aż w końcu znalazł. W rubryce obok nazwiska i roku urodzenia znajdowała się adnotacja o zgonie. Urzędnik wskazał Izabeli tę rubrykę i spojrzął na nią wyczekująco. Raz jeszcze opowiedziała wymyśloną historyjkę o tym, jak Łazarz Mirkin zaraził się grypą. Jego stan był agonalny, a do tego zachorowali też jego rodzice i nie miał się nim kto zaopiekować. Izabela przeniosła umierającego chłopca do swojego mieszkania i zaopiekowała się nim. Wyzdrowiał, ale jego rodzice nie przeżyli. Widocznie w urzędzie uznano, że wszyscy zmarli. Urzędnik pomlaskał chwilę, łypnął raz i drugi to na Izabelę, to na księgę, aż wreszcie przekreślił informację o zgonie. To był jedyny raz, kiedy Izabela poczuła, że czyjaś śmierć w getcie nie poszła na marne.

Izabela otrząsnęła się ze wspomnień.

– Dziękuję za wszystko, ale nie chciałabym cię narażać – skłamała gładko.

Mężczyzna spojrzął na nią zaskoczony.

– Nie będzie to dobrze odebrane, jeśli ktoś taki jak ty będzie widziany z kimś takim jak ja – usiłowała naprędce znaleźć wyjaśnienie.

– Mogę lubić, kogo chcę i nic nikomu do tego – warknęła hardo. – Chyba że tobie ze mną nie po drodze? – Spojrzął na nią z obawą.

Zaprzeczyła, nie mając innego wyjścia. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, a ona poczuła jeszcze większą niepewność o przyszłość swoją i Mariana. Nie odmówiła kolejnego spotkania. Nie wyrzuciła wciśniętych jej do ręki miętowych cukierków. Nie zabrała dłoni, gdy Zachary całował ją na pożegnanie.

Tamtego wieczoru opowiedziała Laurze o spotkaniu z Fiszgrundem i o jego wyznaniu. Zgodnie uznały, że trzeba czekać na rozwój sytuacji, choć niewiele od nich zależało.

\* \* \*

Estera wyjęła z szafy dwa małe kłęбки włóczki i nabrała oczka na druty. Na zewnątrz panowało przyjemne ciepło, ale lepiej było zawnazę przygotować się na zimę. Poprzedniego roku nie zdążyła zrobić dla siebie kamizelki, którą mogłaby nosić pod płaszczem czy zarzucić na plecy w chłodniejsze dni. Ostatnio wciąż miała zimne ręce i stopy.

– Odpocznij trochę – odezwał się mąż, podnosząc głowę z poduszki i spoglądając w stronę żony siedzącej na krześle przy oknie. – Dostyc narobiłaś się w zakładzie.

– Muszę coś zrobić, bo inaczej oszaleję. Cięgle o nich myślę – westchnęła. – Gdzie są? Co robią? Dlaczego nic nie wiemy?

– Przecież dostałaś kartkę od córek – przypomniał.

– Ale to było kilka dni po tym, jak wyjechały, a teraz minęły prawie dwa miesiące i nic, żadnej informacji. Nawet słówka.

– Wiesz, że to bardzo niebezpieczne. Może uznali, że lepiej się nie narażać. To mądre dziewczyny – pocieszył żonę Józef.

Właśnie obudził się po wieczornej drzemce. Od kilku tygodni po powrocie do domu kładł się do łóżka i zasypiał. Przed wieczorem budził się na krótko, po czym zjadał kawałek chleba i ponownie zasypiał.

– Ale gdyby choć parę słów skreśliły, to wiedzielibyśmy, że żyją, a tak... – przerwała Estera, bojąc się dokończyć zdanie. – Nie powinnam ich wypuszczać z domu – dodała i położyła robotkę na stole. – Teraz błądzą gdzieś po świecie i nawet nie możemy im pomóc.

– Już nic na to nie poradzimy. Musimy się modlić, by im się udało. My chyba stąd nie wyjdziemy.

Estera położyła głowę na kościstym ramieniu męża. Przez ostatnie lata posiwiiał i podupał na zdrowiu. Powłóczył nogami, a chroniczny ból stawów nie dawał mu wytchnienia. Najgorzej było jesienią. Wówczas miał wrażenie, że jego ciało przestaje go słuchać. I choć do jesieni pozostało jeszcze kilka miesięcy, to tej wiosny wyjątkowo dotkliwie dawał mu się we znaki.

– Co się z nami stało? – pochlipywała. – Co się stało z naszymi dziećmi?

– Pozostaje nam nadzieja. – Józef pocałował zapadnięty policzek żony. – Jeśli jej w sobie nie obudzimy, wówczas umrzemy z tęsknoty.

Estera skryła twarz w dłoniach i zapłakała. Nie takiej przyszłości chciała dla córek. Gdy się rodziły, wierzyła, że wychowa je na mądre kobiety, które kiedyś stworzą własną rodzinę. Będą kochającymi matkami i szanowanymi żonami. Dzisiaj pozostała jej modlitwa za ich życie.

Kobieta przez chwilę szeptała słowa modlitwy kojącej jej serce. Kiedy nieco się uspokoiła, złapała za druty i zaczęła przerabiać oczka. Uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że córki już dawno wyrabiały ładniejsze wzory na swetrach czy czapkach. Mogły ich w ogóle nie robić, gdyż dla zmarzniętego człowieka nie miały one znaczenia, jednak Aneta i Gabrysia w coraz to nowy sposób przekładały oczka, by każda z ich robotek nie tylko dawała ciepło, ale też cieszyła oczy.

– Moje kochane... – szeptała.

Wieczorem Szifrinowa znów zaczęła wspominać. Cisnące się do oczu łzy nie pozwoliły jej dłużej pracować. Poszła do kuchni. W mieszkaniu panował półmrok, dlatego dopiero po chwili dostrzegła skuloną postać.

– Kto tu? – zagaiała, zbliżając się do stołu.

– To ja, Iza.

– Jesteś chora? – Estera podeszła do sąsiadki i bezwiednie przyłożyła dłoń do jej czoła. – Nie masz gorączki – obwieściła. – Coś się stało?

Izabela milczała, nie wiedząc, czy lepsze jest kłamstwo, czy przerażająca prawda. Od kilku dni udawała, wymawiając się kiepskim humorem, bólem głowy, zmęczeniem i dolegliwościami żołądkowymi. Nie było w tym nic nietypowego. Wszyscy cierpieli z powodu głodu i związanych z nim dolegliwości. Tylko że kolejne kłamstwa piętrzyły się, nie dając rozwiązania.

– Czasem warto wyrzucić z siebie troski, by poczuć, że inni też je mają. Takie jest życie. Tylko głupcy się nie przejmują, bo nie rozumieją, co się wokół nich dzieje. Gdybym mogła cofnąć czas, nie wysłałabym córek w nieznane. Ta niewiedza o ich losie mnie paraliżuje – wyznała Estera. – Wciąż widzę je siedzące przy stole i dziergające czapki i szaliki. Cała kamienica chodziła w swetrach, które zrobiły moje córki – dodała i tym razem w jej smutnym głosie pobrzmiiała duma.

Izabela spojrzała na kobietę ze współczuciem. Sama też nie miała informacji o bliskich. Złajała się w duchu za to, że ostatnio jej myśli zajmował ktoś zupełnie inny, ktoś, na kogo nie powinna zwracać uwagi. A jednak nie potrafiła zapomnieć. Wstydziła się swych myśli.

– Jest ktoś, kto chce mi pomóc – zaczęła niepewnie.

– Tak bardzo brakuje takich ludzi... Zostaliśmy sami... Całkiem sami... – odparła Estera w zamyśleniu.

– Nie wiem, czy powinnam się z nim zadawać. To nie jest dobry człowiek.

– To dlaczego myślisz, że chce ci pomóc?

– Daje mi jedzenie, ale wiem, że przyjdzie taki czas, gdy będę musiała mu za to zapłacić.

– Sama musisz sobie odpowiedzieć na pytanie, ile jego pomoc jest warta i czy zdołasz bez niej przetrwać.

Izabela się zamyśliła. Nie potrafiła jednoznacznie ocenić sytuacji.

– Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, namawiając córki do wyjazdu z Łodzi. Tęsknię za nimi, bo do tej pory mogłam nad nimi czuwać. Teraz codziennie zadaję sobie pytanie, czy coś im nie grozi, czy sobie poradziły – zmieniła temat Estera i kiwała głową ze smutkiem. – Może w getcie nie jest najlepiej, ale przynajmniej byliśmy wszyscy razem. Dla starych ludzi najważniejsza jest obecność najbliższych.

– Nie tylko dla starych. Każdy chce mieć kogoś bliskiego, by mógł się czuć potrzebny.

– Wiem, ile dla ciebie znaczy ten chłopiec. – Estera spojrzała na Izabelę mętnym wzrokiem.

– Zrób wszystko, by pomóc jemu i sobie.

Izabela przygryzła drżącą wargę. Wolałaby nigdy nie stanąć przed takim wyborem, ale każdego dnia było coraz trudniej o jedzenie. Od dawna nie dostali choćby kawałka masła czy słoniny. Wątpliwej jakości chleb zapychał brzuch na krótko. Ludzie ślaniali się na nogach, usiłując znaleźć pożywienie. Grupa uprzywilejowanych mieszkańców getta patrzyła na głodujących z wyższością, ciesząc się, że zadbali o swoje dobro.

– Tym, co nas odróżnia od zwierząt, jest sumienie – dodała Estera. – Jeśli żyjesz z nim w zgodzie, to nie obawiaj się ludzkich języków.

Starsza kobieta wstała, nalała wody do kubka i wypila duszkiem. Otarła usta i wyszła z kuchni bez słowa, pozostawiając Izabelę zatopioną w myślach. Kiedy weszła do pokoju, Jakub pochrapywał, nakryty jedynie starym kocem, który zdołali zabrać z domu, gdy przyszli po nich gestapowcy. Estera położyła się obok męża i wsunęła nogi pod koc.

Przez dłuższy czas nie mogła zasnąć. W jej głowie wirowały wspomnienia ostatnich dni spędzonych z córkami. W pewnej chwili jawa zaczęła mieszać się ze snem i ujrzała swoje córki siedzące pośród chorych ludzi. Z troską słuchały ich narzekań, podawały lekarstwa przeciwbólowe, by ulżyć ich cierpieniu. Wszyscy zwracali się do nich życzliwie i z ogromnym szacunkiem. Duma przepełniała jej matczyne serce. W pewnej chwili Gabriela zdjęła biały kitel i wyszła ze szpitala. Tuż za bramą czekał na nią przystojny mężczyzna. Dziewczyna ujęła jego ramię i ruszyli, śmiejąc się do siebie. Estera nie widziała jego twarzy, ale przepełniała ją radość. Była przekonana, że jej najstarsza latorośl znalazła swoje szczęście. Właśnie tego dla niej chciała.

Odkąd pamiętała, przygotowywała swoje córki do roli żony i matki. Uczyla je dbać o dom i rodzinę. Liczyła, że na starość zaopiekują się nią i Jakubem. Gdyby zamieszkała u którejś z córek, mogłaby pomagać prowadzić dom i opiekować się wnukami.

Teraz wciąż widziała Gabrysię wędrującą z mężczyzną. Zdawało jej się, że pozostają w zasięgu jej ręki. Nie mogła dłużej tylko się przyglądać. Tak bardzo tęskniła za dziećmi. Musiała się upewnić, że są szczęśliwe. Potrzebowała ukoić nerwy. Dotknęła ramienia córki, ta natychmiast obejrzała się za siebie. Była taka piękna. Miała roześmiane usta i pełne życia oczy. Jej skóra zaróżowiona była od promieni słońca, które mocno przygrzewało, sprawiając, że wokół panowało przyjemne ciepło. Jej wypielęgnowane włosy, misternie ułożone w fale i podpięte na czubku głowy niewidocznymi spinkami, pachniały szamponem ziołowym, a nie szarym mydłem. Zbliżyła się, by ją pocałować. Natychmiast wyczuła kwiatowy zapach unoszący się wokół córki. Przymknęła powieki, rozkoszując się nim. Kiedy ponownie je otworzyła, Gabrysia śmiała się i ciągnęła za rękaw idącego z nią mężczyzny. Ten, znudzony jej szturchnięciami, odwrócił się w stronę Estery. Kobieta rozdziawiła usta i zamarła. W ułamku sekundy przypomniała sobie, skąd znała tę twarz. Wówczas mężczyzna miał na sobie mundur i stał przed stacją, sprawdzając na długiej liście nazwiska Żydów zgłaszających się do wyjazdu na roboty. Z jego oczu zionęła pustka. Ta sama, którą i teraz dostrzegła. To nie mogła być prawda. Nie tego pragnęła dla swych dzieci. Życie z kimś takim nie mogło dawać szczęścia.

Usiłowała wydobyć z siebie krzyk, ale dźwięki więzły jej w gardle. Chwyciła dłoń Gabrysi i mocno ją pociągnęła. Córka jednak stała niewzruszona i ze zdziwieniem patrzyła na szalejącą matkę. Ta poruszała ustami, chcąc wypowiedzieć ostrzeżenie, ale wciąż nie była w stanie nic zrobić. Zdawało jej się, że krzyczy coraz głośniejsze, choć nikt jej nie słyszał. Wreszcie zerwała się z miejsca i dopiero wtedy otworzyła oczy. Z przerażeniem rozglądała się wokół siebie. Po

chwili zorientowała się, że wciąż jest w swoim pokoju. Otarła pot z czoła, jednak koszula nocna była cała przepecona, dlatego musiała ją zdjąć. Odrzuciła koc i wstała, nie chcąc obudzić Jakuba. Przebrała się i wróciła do łóżka. Potrzebowała bliskości, która ukołaby skołatanę serce. Przysunęła się do męża. Wtedy poczuła chłód jego ciała, choć przykrywała go kołdra.

– Jakub? Jakub? – próbowała go ocucić, coraz mocniej potrząsając jego ramieniem.

Mężczyzna przewrócił się na plecy, ale nie otworzył oczu, nie spojrzął na nią, nie uśmiechnął się, nie pogładził po dłoni. Zasnął snem wiecznym, pozostawiając ją samą z troskami i niepewnością.

## ROZDZIAŁ XI PRZYJAŹŃ

Początek lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku był odmienny od trzech poprzednich, kiedy utworzono getto. Powietrze przepelnione było zapachem strachu, bólu i niepewności. Skrzące się zielenią liście na drzewach nie dawały ukojenia zszarpanym nerwom. Emanujące ciepłem słońce nie kusilo do wyjścia na zewnątrz.

W drugiej połowie czerwca spadła na getto informacja o szykujących się wywózkach. Nikt nie miał pewności, że akurat jego to nie dotknie. Każdego dnia Niemcy nawoływali, by Żydzi zgłaszali się do pracy poza granicami Łodzi. I znów nikt nie miał pojęcia, dokąd jadą transporty. Nikt nie wiedział, kiedy wróci. I nikt nie miał pewności, czy przeżyje.

Estera Szifrin skończyła szeptać modlitwę za duszę zmarłego męża i w myślach przywołała obraz córek. Sięgnęła pod poduszkę i wyjęła nieco pogniecioną kartkę z kilkoma słowami skreślonymi przez Anetę zaraz po opuszczeniu getta. Znała je na pamięć. Patrząc na litery, miała wrażenie, jakby ktoś poganiał jej córkę, nie dając jej czasu na wyrażenie prawdziwej tęsknoty za rodziną. Od wyjazdu Anety i Gabrysi minęły cztery miesiące, a ona wciąż nie dostała od nich innego znaku życia. Jak mantrę powtarzała sobie, że córki są młode i bystre. Na pewno spróbują ucieczki. Taką obietnicę wymogła na nich, zanim odprowadziła je na stację.

Estera ostrożnie wsunęła kartkę z powrotem pod poduszkę i wstała z łóżka. Odkąd została sama, każdego ranka mobilizowała się, by wyjść do resortu. Wiedziała, że tylko wtedy nie oszaleje z tęsknoty. Czasem po powrocie z pracy siadała w kuchni i nie wychodziła z niej aż do wieczora. Potrzebowała obecności innych ludzi, nawet jeśli nie miała siły z nimi rozmawiać.

Włożyła cienką sukienkę, którą niedawno zwięzła, po czym podreptała do kuchni, by odkroić kawałek chleba do zjedzenia w czasie krótkiej przerwy w pracy.

– Zapowiadać się ciepły dzień – odezwał się Szulc, widząc krojącą chleb kobietę.

Jej mruknięcie miało mu wystarczyć za odpowiedź.

– Pani się wyspać? – nie poddawał się.

Kiwnięcie głową.

– Mogłoby wreszcie popadać – ciągnął, nabierając wody do naczynia. – Parno od kilku dni – wyjaśnił, po czym usiadł przy stole i wypił zawartość kubka.

Kobieta skończyła kroić chleb i resztkę schowała do kredensu.

– Pani zastukać do moich drzwi przed wyjściem, to razem pójść do roboty. We dwójkę raźniej – stwierdził, po czym wyszedł z kuchni.

Kobieta od kilku dni czuła narastający niepokój po wyjściu z domu. Po ulicach wciąż krążyło gestapo, a i żydowskich policjantów wszędzie było pełno. Przyglądali się każdemu ruchowi i najmniejszy, który uznali za niebezpieczny, sownie karali biciem i wsadzeniem do więzienia. Stamtąd codziennie wyjeżdżało kilkanaście ciężarówek, nikt nie wiedział, dokąd zabierani są więźniowie.

Estera wróciła do pokoju, schowała chleb do torby, a włosy nakryła chustką, którą ciasno zawiązała pod brodą. Później wyszła na korytarz i cicho zastukała do drzwi. Niemal natychmiast stanął w nich Szymon. Chwilę później wyszli na ulicę.

– Dziękuję – odezwała się, gdy odeszli nieco od domu.

– Za co? – zdziwił się. – Ja iść w ten sam kierunek.

– Za wszystko – odparła cicho. – Że o mnie dbacie.

– My już jak rodzina.

– Jak rodzina... – powtórzyła smutny głosem.

Szymon uświadomił sobie, że użył złych słów. Cóż, jego słownictwo było bardzo ubogie. Te polskie sformułowania niezwykle go męczyły. Nie miał do nich głowy. Kiedy przeprowadził się



do Polski, długo próbował uczyć się języka, ale brakowało mu cierpliwości do opanowania zasad odmiany czasowników. Za dużo końcówek, których użycia nie mógł zrozumieć. Poddał się, narażając się na żarty ze strony żony i córki. Eliza bardzo szybko nauczyła się języka, więc kiedy musiał napisać jakieś pismo do urzędu, to na nią zrzucił ten obowiązek.

– My trzymać się razem – próbował wybrnąć, choć smutek z twarzy kobiety nie zniknął. – Duże sprzątanie wy robić? – zmienił temat.

– Kazali dokończyć produkcję kredensów, dopóki w stolarni będzie drewno. Ostatnie sztuki mebli wyjadą w przyszłym tygodniu, a później mamy wysprzątać cały resort – wyjaśniła.

– Może dać wam inne zadania – odparł Szymon.

– Majster mówi, że to dziwne, bo od początku nie było żadnego przestoju w fabryce. Czyżby już niemieckie rodziny nie potrzebowały naszych mebli?

– To wszystko dziwne – zamyślił się. Nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej, gdyż zza rogu wyszedł patrol Sonderabteilung.

Trzy pary świdujących oczu obserwowały parę nieco przygarbionych ludzi. Szulc spuścił wzrok i chwycił dłoń Estery. Pociągnął ją bliżej mijanego ogrodzenia, by zejść z drogi patrołowi.

– Te! Zobacz! – odezwał się najniższy z policjantów – Jacy zakochani starsuszkowie – zaśmiał się. – Normalnie jak nowożeńcy.

– Ty możesz tylko pomarzyć o żonie – roześmiał się drugi z mężczyzn i poklepał niskiego towarzysza po plecach. – Musiałbyś stawać na palcach, żeby ją pocałować – dodał i wybuchnął gromkim śmiechem.

Śmiech dwóch policjantów i ich poklepywania po plecach wprowadziły Szulca w konsternację. Wolałby jak najszybciej odejść i nie wzbudzać zainteresowania. Teraz jednak nie wiedział, czy ucieczka nie byłaby gorsza. W obydwu przypadkach mógł narazić życie swoje i Estery. Zaciśnął dłoń, słuchając przekomarzań policjantów. Poczuł, że kobieta też odwzajemniła uścisk.

Na szczęście przedłużające się docinki wyprowadziły z równowagi niskiego policjanta, który z markotną miną ruszył przed siebie, nie dbając o to, co zrobią jego towarzysze, którzy wciąż weseli podążali w ślad za nim, zapominając o Esterze i Szymonie. Ci widząc, że są wolni, bez zwłoki pospieszyli w przeciwnym kierunku.

– Czy dla pieniędzy można zrobić wszystko? – zastanawiała się kobieta, zabierając dłoń.

– To nie pieniądze, tylko jedzenie wygrywać – wyjaśnił Szymon.

– Zachowują się, jakby nie byli Żydami...

– Tu przeżyć najsilniejsi. Reszta umrzeć.

– Że też nie wstydzą się spojrzeć sobie w twarz.

– Pewnie nie mieć w domu luster – zażartował i uśmiechnął się, by dodać kobiecie otuchy.

Właśnie dotarli do szwalni, więc Szulc machnął na pożegnanie, zanim jednak odszedł, umówili się, że po południu przyjdzie po nią do resortu, by nie musiała martwić się o powrót do domu.

Odetchnęła. W resorcie czuła się bezpiecznie. Praca nie należała do najłżejszych, bo w stolarni ciągle się pyliło, więc nieustannie kichała, ale dzielnie zgarniała łopatą trociny.

Gdy już zapełniły wózek, razem ze współpracownicą ciągnęła go pod piec, w którym palono, by właściwie prowadzić prace zabezpieczające meble przed wysyłką w głąb Niemiec.

Gdy uprzątnęły stolarnię, musiały zebrać wszystkie skrawki materiałów. Żaden nie mógł się zmarnować. Niemcy żądali od majstra szczegółowych raportów, ile materiału użyto do produkcji, by ścinki nie trafiły do żydowskich rodzin.

Suche powietrze gryzło w gardło, a pył z drewna wżerał się w oczy i nos. Tego dnia Estera kilka razy łączywie popijała wodę. Wreszcie majster pozwolił im wracać do domu. Szifrinowa zdjęła fartuch i otrzepała sukienkę.

Dochodziła osiemnasta, ale na zewnątrz wciąż panował upał. Zmęczona całodzienną pracą powoli mijają kamienice. W żadnym oknie nie wisały firanki, już dawno zostały przerobione na ubrania, dlatego przez szybę można było dostrzec smutne twarze. Przyspieszyła mimo zmęczenia. To nie był dobry czas na powolny spacer. Nogi bolały ją coraz bardziej i szybko

doستاła zadyszki, ale nie mogła zwlekać. Od kilku dni na ulicach było szczególnie niebezpiecznie.

Wreszcie dotarła pod szwalnię. Odetchnęła, widząc stojącego przy furtce Szulca. Gdy ją dostrzegł, natychmiast wyszedł na ulicę. Z kieszeni wyjął jabłko i podsunął je kobiecie.

– To dla mnie? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Skąd pan je wziął?

– Jeden oficer przynieść koszulę z poodrywane guziki. Ja przyszyć mu te brakujące, a on mnie zaskoczyć i dać jabłko.

Estera zamierzała zapytać o coś jeszcze, ale już niemal czuła smak papierówki, który kojarzył jej się z dzieciństwem. Zatopiła zęby w soczystym owocu i natychmiast poczuła ból dziąseł, które od dawna krwawiły. Dwa kompletnie czarne zęby wyrwał jej Jakub. Dwa kolejne ruszały się od dłuższego czasu, ale nie znalazła w sobie determinacji, by poprosić kogoś o ich wyrwanie. Od czasu do czasu pobolewały ją, jednak codziennie zmagala się z bólem dziąseł, który odzywał się, nawet gdy żuła skórę od chleba.

– Nie dam rady zjeść – powiedziała z żalem i oddała podarunek.

– To pomóc? – Szymon podał niewielki scyzoryk, który zawsze przy sobie nosił.

Kobieta odkroiła kawałek jabłka i przepołowiła go na dwie części. Jedną podała Szymonowi. Z drugiej odcięła maleńką cząstkę i włożyła ją do ust. Gryzła ostrożnie. Z kolejnymi kawałkami postąpiła dokładnie tak samo i nim doszli do domu, zdołała zjeść cały owoc.

– Dziękuję, ale powinienś dać to Laurze – stwierdziła, nieco zawstydzona.

– Laura być dla mnie jak córka i zawsze o nią dbać, ale czasem też musieć myśleć o innych – odparł i przepuścił Esterę w drzwiach kamienicy.

Od tamtego dnia Szymonowi w drodze do pracy towarzyszyła Estera. Czasem, gdy wyszli wcześniej, Szulc odprowadzał ją do stolarni, a po południu czekał na nią pod szwalnią. Razem czuli się bezpieczniej.

\* \* \*

– Ja nie dać rady. Naprawdę nie dać – zarzekął się Szulc, chowając twarz w dłoniach.

– Nie takie ancymony nauczyłam czytać i pisać, to ciebie nauczę mówić po polsku.

– Przecież ja umieć mówić.

– Ale przyszedłś do mnie po pomoc, bo wiesz, że wciąż kaleczysz język – przypomniała Laura. – Musisz się bardziej przyłożyć, bo w przeciwnym razie niczego się nie nauczysz – tłumaczyła tak samo jak swoim uczniom, którzy wycofywali się za każdym razem, gdy ponosili porażki.

– Ja być na to za stary – stwierdził i podrapał się po łysiejacej głowie. – Po co ci zawracać głowę.

– Bo masz prawo i obowiązek myśleć o przyszłości i o tym, co będziesz robił po wojnie. Ona nie może trwać wiecznie. Ktoś wreszcie nam pomoże, a my musimy być gotowi tę pomoc przyjmując i wykorzystując ją jak najlepiej. Wtedy znajomość języka na pewno się przyda.

– Ty jeszcze wierzyć w przyszłość.

– Owszem, inaczej moje życie nie miałoby sensu. Ty też powinieneś myśleć o przyszłości i o odszukaniu Elizy. Ja zrobię wszystko, by znaleźć Dawida i Abigail, bo innej rodziny nie mam. Mam nadzieję, że Maria wciąż mieszka w naszym mieszkaniu i będziemy mieli dokąd wrócić.

– Ja też chcieć zostać w Polska. Tutaj grób mieć moja żona. Tutaj znać ludzie.

– Jeszcze wszystko będzie dobrze.

Szulc się zamyslił. Jego sklep na początku wojny został splądrowany. Nie spodziewał się, że cokolwiek odzyska. Miał jednak w domu skrytkę, o której nikt nie wiedział. Jeśli kamienica nie została zburzona, to część jego majątku bezpiecznie na niego czekała. Na początek wystarczy.

– Ja już się uczyć – stwierdził, z ufnością zerkając na Laurę.

Przez następną godzinę pełną entuzjazmu Laura tłumaczyła zasady odmiany czasowników. Szulc marszczył brwi i coraz głośniejszą sapał, ale walczył z chęcią ucieczki z lekcji. W uszach wciąż miał słowa nauczycielki.

Kiedy rankiem Laura wyszła z chłopcami z domu, wzięła ich na spytki.

– Gdzie się włóczyliście cały wieczór?

– Kręciliśmy się tu i tam – odparł wymijająco Józef i schował ręce w kieszeniach.  
– Wiecie, że ostatnio za najmniejsze przewinienie można skończyć w więzieniu, a stamtąd już nie ma wyjścia.  
– Nic się nie martw – uspokajał Eliasz, równie tajemniczy jak brat.  
– Jak mam się nie martwić? – oburzyła się Laura. – Tutaj mam tylko was. Rozumiecie? Jesteśmy rodziną, a rodzina się o siebie troszczy. Jasne?  
– Jasne, jasne – powtórzył niechętnie Józef, a Eliasz pokiwał głową na zgodę.  
– Od dzisiaj zabraniam wam wychodzić z domu – oświadczyła i pogroziła im palcem. – Idziemy razem do resortu i z powrotem. Później nie wyściubiacie nosa poza podwórko – dodała stanowczo.

Bliźniacy smętnie kiwnęli głowami. Nie było sensu dyskutować. Do szwalni dotarli w zupełnej ciszy, później rozeszli się do swoich stanowisk pracy. Chłopcy zaczęli pakować do worków uszytą bieliznę dla wojska, a Laura usiadła do stołu. Dzisiaj miała przyszywać kołnierzyki do koszul. W sali wciąż przybywało pracowników, jednak wiele miejsc pozostało pustych. Kiedy na zegarze wybiła siódma, w zakładzie brakowało około trzydziestu procent szwaczek.

– A gdzie reszta? – spytała siedzącą obok kobietę, która też miała przyszywać kołnierze. – Ostatnio nie było kilku osób, ale dzisiaj to jakiś pogrom.  
– Ponoć wczoraj wieczorem zczyścili kamienice – odparła kobieta drżącym głosem.  
– Kto czyścił? Jak to zczyścili?  
– Niemcy – odparła cicho.  
– Co oni zczyścili? – dopytywała Laura, nie rozumiejąc.  
– Opróżniali kamienice z mieszkańców. Pędzili ich na Marysin, a potem na stację. Laura się zamyśliła. Dotychczas sądziła, że w domu jest bezpiecznie.  
– Może zabrali ich na jakieś roboty?  
– Niemcy nic nie mówili, tylko krzyczeli, bili i szczuli psami, jak ktoś się ociągał. Brali wszystkich jak leci, nawet chorych, a jaki z nich pożytek w pracy?

Teraz obydwie zamilkły. Rzeczywiście nie wyglądało to najlepiej. Całe szczęście, że zakazała chłopcom wieczornej włóczegi. Przydadzą się, by obserwować okolice i w razie czego dać sygnał do ucieczki, gdy po nich przyjadą. Tylko dokąd mieliby uciec?

Laura chwyciła igłę i drżącymi dłońmi zaczęła podszywać kołnierzyk dla jednego z tych ludzi, którzy w dręczeniu i upodlaniu innych widzą najwyższy cel. Zagryzła dolną wargę i usiłując nie myśleć nad tym, do kogo trafi koszula, zaczęła zastanawiać się nad kolejną wywózką. Idąc do pracy, widziała plakaty informujące o robotach w Rzeszy. Widocznie brakowało chętnych, dlatego zaczęto przymuszać do pracy. Miała nadzieję, że ani jej, ani chłopców to nie spotka.

– Ruth, A pamiętasz Józefinę? – odezwała się, nie podnosząc oczu znad roboty. – Tak pięknie śpiewała.

– To dziwne, że wstydziła się przyznać, że jest śpiewaczką operową – zauważyła sąsiadka. – Taki głos...

– Kiedyś mówiła, że z koncertami zjeżdżała Europę wzdłuż i wszerz.  
– Taka artystka i wyładowała w getcie...  
– Długo nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się stało. Nie potrafiła pracować fizycznie. Miała służbę, która wszystko za nią robiła, a nagle sama musiała pracować na utrzymanie.  
– Krążyły plotki, że próbowała się powiesić, ale sznur się urwał.  
– Nagle przestała rozumieć, co się wokół niej dzieje. Nic dziwnego, że targnęła się na życie. Ciekawe, gdzie teraz jest – zamyśliła się Laura.

Od pewnego czasu Niemcy nie osiedlali w getcie nowych Żydów, więc starsi mieszkańcy już dobrze się znali. Pracownicy poszczególnych resortów byli dla siebie niemal jak rodzina. Laura przypomniała sobie jeszcze jednego muzyka, który pracował w ich szwalni. Był to młody kontrabasista grający w orkiestrze łódzkiego teatru. Mężczyzna miał długie, szczupłe palce, którymi sprawnie przebiegał po strunach. Niestety w szwalni liczyła się tylko siła męskich mięśni.

– A pamiętasz, jak Samson cieszył się, gdy się dowiedział, że jest nabór do orkiestry? – spytała Laura pogrążoną w myślach sąsiadkę.  
– Myślał, że to dla niego szansa na wyrwanie się stąd.  
– Podobno obiecywali im, że będą mogli koncertować poza murami getta.  
– A później przyszła rzeczywistość. Grali tak, jak im Niemcy pozwolili.  
– Nieraz widziałam, jak włączył się smętny i zawiedziony. Mówił, że o kulturze i sztuce trzeba zapomnieć, bo w getcie nie mają one racji bytu. Opowiadał o jakichś malarzach zatrudnionych w drukarni, dla których szczytem możliwości było układanie matrycy do wydrukowania propagandowych plakatów.  
Znowu zamilkły, skupiając się na robocie. Norma musiała być wyrobiona. Inaczej Szymon miałby problemy.

\* \* \*

Izabela z Marianem wyszli na końcu. Kobieta musiała posprzątać suterene, w której pracowali. Każdy miał wyznaczony dyżur i dzisiaj była jej kolej, a że nie chciała, by chłopiec sam wracał do domu, kazała mu zaczekać. Dochodziła osiemnasta i na dworze panował przyjemny chłód. Od kilku dni po południu przechodziły przelotne opady deszczu, które zmywały kurz z getta i sprawiały, że powietrze stawało się przejrzyste.

Izabela zamknęła drzwi na klucz, który odłożyła w umówione miejsce. Na plecy zarzuciła dużą chustkę, którą zrobiła dla niej Aneta Szifrin, i wyszła na podwórko.

– Chodź, chodź – ponagliła Mariana gapiącego się w okno na pierwszym piętrze.

– Ciekawe, skąd mają margarynę – zapytał, nie odrywając wzroku od okna.

Izabela podążyła za jego wzrokiem. W mieszkaniu młoda kobieta smarowała grube pajdy margaryną.

– Na pewno pracuje w jakimś urzędzie – stwierdziła Izabela i głośno przełknęła napływającą do ust ślinę. – My takich frykasów od dawna nie widzujemy.

– Ale bym teraz zjadł jajecznicę z trzech jaj na boczku. – Marian przymknął powieki w rozmarzeniu. – Mama robiła najlepszą – dodał i natychmiast posmutniał.

– Jeszcze będziemy taką jeść. – Izabela poklepała go po ramieniu i delikatnie popchnęła w stronę drogi. – Wracajmy do domu.

Szli w milczeniu, zatopieni we wspomnieniach z czasów, gdy nikt nie martwił się o to, co jutro włoży do garnka. Właśnie skręcili w podwórko, gdy dostrzegli przed kamienicą Zacharego Fiszgrunda. Stał oparty o ścianę i żuł źdźbło trawy. Gdy zobaczył Izabelę, podeszedł do niej.

– Co tak długo? Już myślałem, że coś się stało – zapytał, mocno przejęty.

– Musiałam dłużej zostać w pracy – odparła pospiesznie, nie rozumiejąc zdenerwowania policjanta.

– Bałem się, że cię zabrali... Teraz to już nic nie wiadomo. Ciągłe tylko wywózki... Nikt nam nie mówi, gdzie i kiedy planowana jest łapanka. W ostatniej chwili dają nam adres i każą iść – narzekał.

Słuchała go, choć wciąż miała co do tego człowieka mieszane uczucia. Mimo że za każdym razem przynosił jej coś do jedzenia, nie umiała się do niego przekonać. Czowała, że oczekiwał czegoś więcej niż cmoknięcia w policzek, ale nie potrafiła się zdobyć na inny gest. Chwilami dręczyły ją wyrzuty sumienia, że wykorzystuje uczucie Zacharego, by Marian i Lewiatanowie mogli zjeść coś więcej niż suchy chleb.

– Łazarzu, idź na górę – poleciła Marianowi.

Chłopak ruszył w stronę wejścia.

– Poczekaj, mam coś dla ciebie – zatrzymał chłopca Zachary i podał mu małe zawiniątko. Marian odwinął utłuszczony papier. W środku był kawałek słoniny. – Wiem, że to niewiele, ale ostatnio brakuje jedzenia.

– Dla nas nigdy go nie było – szybko wtrąciła się Izabela i w tym samym momencie uświadomiła sobie bezsens ataku wymierzonego w Zacharego. Może we wstąpieniu do policji widział drogę do przetrwania.

– Chyba i na nas Niemcom przestaje zależeć – dodał.  
– Leć na górę – ponagliła Mariana Izabela, a sama pociągnęła mężczyznę w stronę ławki pod ścianą. Wolała nie zapraszać go do mieszkania. Wprawdzie wszyscy wiedzieli o ich spotkaniach, ale uznała, że powinni pozostać na neutralnym gruncie. – Dokąd wywożą ludzi? – zmieniła temat, gdy zostali sami.

– Najpierw mówili, że w głąb Rzeszy, na roboty, ale ostatnio usłyszałem, jak Niemcy rozmawiali o tym, że nie mogą nadążyć ze sprzątaniami w Chełmnie, bo tak dużo ludzi tam przywożą. Ostatnie transporty właśnie tam pojechały. Nie mam pojęcia, w czym rzecz.

– Może jakąś fabrykę tam otworzyli i potrzebują rąk do pracy – zastanawiała się na głos.

– Rozmawiałem z jednym urzędnikiem z meldunkowego i zdradził mi, że od połowy czerwca do teraz wyjechało kilka tysięcy ludzi<sup>2</sup>. Wszyscy do Chełmna.

– Tyle ludzi? W jedno miejsce? – dziwiła się Izabela.

Zamilkli pochłonięci swoimi myślami. Rzeczywiście ludzie znikali bez śladu. Izabela cieszyła się, że na razie z ich kamienicy nikogo nie wywieźli. Dzień, w którym odebrano jej dzieci, wciąż był żywy w jej pamięci. Wtedy weszli jeszcze do trzech innych mieszkań i dosłownie wyciągnęli z nich wszystkie dzieci i starców. Ból, jaki wywoływało to wspomnienie, nigdy jej nie opuszczał.

– Spróbuję się czegoś jeszcze dowiedzieć – obiecał Zachary i spojrzął na Izabelę. – Nie pozwolę, by coś ci się stało – szepnął i przyciągnął jej dłoń, na której złożył pocałunek. – Jesteś dla mnie najważniejsza.

– Przeستاń – poprosiła i odsunęła dłoń. – Mówiłam już, że mam męża.

– Ale tutaj go nie ma. Zresztą nawet nie wiesz, gdzie on teraz jest – przypomniał bez ogródki. – Potrzebujesz opieki i ja ci ją zapewnię. Możesz mi zaufać.

– Dziękuję ci za to, co już dla mnie zrobiłeś, ale nie mogę dawać ci nadziei. To nie jest w porządku.

– Tutaj nic nie jest w porządku – zauważył i wstał. Przez chwilę krążył nerwowo. – Wiesz, że są kobiety, które dałyby wszystko, żebym z nimi był? – rzucił, nie patrząc w jej stronę. – Wiedzą, że opłaca się być z kimś takim jak ja.

– Ale ja taka nie jestem. Nie potrzebuję protektora, który w zamian za opiekę chce mnie.

– To nie jest prawda! – Zachary natychmiast stanął przed Izabelą. – Ja nie chcę niczego w zamian. Po prostu pozwól mi przy tobie być. Może kiedyś nadejdzie dla nas lepszy czas.

Izabela już sama nie wiedziała, co byłoby dla niej najlepsze. Tak trudno było decydować w chwili, gdy ma się tak mały wpływ na własny los. Uznała więc, że lepiej nie palić za sobą mostów.

Piętnastego lipca od rana padało. Na szczęście w sobotę nie musiała wychodzić do pracy i też siedziała z Laurą, patrząc na strugi deszczu spływające po oknie. Tu, gdzie odpadł kit, woda płynęła po parapiecie. Laura położyła ścierkę, by uchronić podłogę przed zamoczeniem, i poszła się położyć.

– Złe się czujesz? – Izabela spojrzała z troską na przyjaciółkę.

– Mam kiepski humor – przyznała Laura, przykrywając się kocem pod samą brodę.

– Co się stało?

Dopiero po dłuższej chwili Laura odpowiedziała.

– Dzisiaj Dawid obchodzi swoje imieniny. Nie wiem, czy jest sam? Czy jest zdrowy? Czy jeszcze o mnie pamięta?

– Nie możemy zwątpić, że nadejdzie czas, gdy będziemy mogły kochać i być kochane.

– Staram się o tym pamiętać, ale to trudne. Wierzę, że Dawid żyje, ale boję się, że się nie odnajdziemy.

– Lauro, musimy być dobrej myśli. – Izabela przysiadła na łóżku i objęła przyjaciółkę. – A teraz pomyśl nad życzeniami imienninowymi, które złożyysz Dawidowi, gdy znowu się spotkacie.

Laura zamknęła powieki i wciąż wtulona w ramiona Izabeli, zaczęła wyobrażać sobie chwilę spotkania z mężem. To było jej największe marzenie.

Laura do wieczora trwała w melancholijnym nastroju i Izabela wcale nie miała ochoty zostawiać jej samej, ale obiecała koleżance z pracy, że posprząta za nią w resorcie.

Ledwie wyszła z podwórka, gdy dostrzegła zmierzający w jej stronę patrol. Spróbowała zakreślić, ale było za późno.

– Stój! Dokumenty! – zawołał funkcjonariusz Sonderabteilung i podbiegł w jej stronę.

Izabela trzęsącymi się dłońmi wyciągnęła niewielki zwitek papieru i podała mężczyźnie. Ten pospiesznie przebiegł wzrokiem po kartce.

– Gdzie leżesz? – spytał ostro, wciąż trzymając dokumenty Izabeli.

– Muszę wrócić do resortu, żeby posprzątać, bo w poniedziałek majster zmyje mi głowę za bałagan.

– W sobotęś będziesz sprzątać? – Policjant zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– A co w tym dziwnego? W getcie nic nie działa tak jak powinno – odparła Izabela, czując narastającą irytację.

– Widzisz ją, jaka bezczelna? – zauważył drugi z policjantów, który dotychczas jedynie się przysłuchiwał. – Dyskutować jej się zachciewa. Chyba nikt jej nie nauczył kultury. Jak cię wsadzimy do ciupy, to się nauczysz trzymać język za zębami – zagroził i potrząsnął dłońią zwiniętą w pięść.

Izabela trzęsła się jak osika, w myślach łajając się za lekkomyślność. Sama nie wiedziała, co w nią wstąpiło. Powinna być ostrożna. Musiała chronić Mariana, a nie wzbudzać niepotrzebne zainteresowanie policji. Nie mogła tak głupio wpaść. Nie teraz, gdy policjanci tylko czekali na najmniejsze potknięcie, by pozbyć się z getta kolejnych Żydów. Westchnęła głośno i schyliła głowę, patrząc na zdarte czubki znoszonych butów. Jeśli właśnie wydała na siebie wyrok, to jest prawdziwą idiotką.

– W jednym ma rację, świat stanął na głowie.

Izabela nie śmiała spojrzeć na policjanta, który wciąż nie oddał jej dokumentów. Nagle poczuła dreszcze rozchodzące się po całym ciele. Objęła się ramionami i niczym skazaniec czekała na wyrok.

– Wczoraj wstrzymali transporty i nie wiadomo, kiedy je wznowią. Po co zapychać więzienie. Tylko przybywa nam roboty. – Mężczyzna machnął ręką i oddał dokumenty.

Izabela przez chwilę stała w osłupieniu. Nie mogła uwierzyć, że to mogła być prawda. Podejrzała, że to rodzaj gry, w której jeden z policjantów odgrywa rolę dobrego, a drugi złego.

– Bierz i zmykaj do roboty, żebyś wróciła przed nocą, bo wtedy na pewno cię zamkniemy – ostrzegł drugi, widząc jej opieszałość.

Izabela szybko chwyciła dokumenty i nie oglądając się za siebie, podążyła do resortu. Szła, łapczywie łapiąc powietrze. Na przemian to uśmiechała się, to ocierała łzy szczęścia.

W suterenie szybko wzięła się do pracy. Nie zamierzała ryzykować kolejnego zetknięcia z patrolem.

Gdy wróciła do mieszkania, Laura spała. Izabela nie chciała jej przeszkadzać, dlatego pospiesznie rozebrała się i wsunęła pod koc. Ciepło bijące od przyjaciółki sprawiło, że szybko zasnęła.

Niemal tydzień później, w piątek, na ulicach getta zaroilo się od patroli żydowskiej policji. Gdzie okiem sięgnąć, widać było mundurowych, którzy bacznie śledzili każdy ruch podążających do resortów ludzi. Po ulicach częściej niż zwykle jeździły niemieckie samochody oficerów gestapo.

Izabela popchnęła Mariana zapatrzonego na przejeżdżające auto.

– Tata też chciał mieć takie auto – powiedział.

– Potrafił prowadzić auto? – spytała Izabela, widząc ekscytację na twarzy nastolatka.

– Był mistrzem kierownicy. Zabierał nas z mamą na wycieczki za miasto. Czasem w niedzielne przedpołudnie jeździliśmy do Pabianic na obiad do takiej pięknej restauracji na rynku. W słoneczne dni pomagałem tacie zdjąć dach. Mama śmiała się, gdy wiatr rozwiewał jej długo układane włosy i upierała się, że tata musi jej zrekompensować te niedogodności pysznymi lodami. Później wszyscy zatrzymywaliśmy się gdzieś w miasteczku i delektowaliśmy się lodami.

– Moje dzieci też uwielbiały lody.

– Najlepsze są śmietankowe.

- A ja wolę truskawkowe.
- Teraz zjadłbym każde...

Marian oblizał się, przypominając sobie smak słodczy. Odtworzył też w pamięci roześmiane twarze rodziców. Wiedział, że nigdy więcej ich nie spotka. Na szczęście trafił na Izabelę, która otoczyła go opieką, jakiej nie mógł oczekiwać od obcej osoby. Nie naciskała, gdy początkowo całymi dniami milczał. Nie denerwowała się, gdy rzucał się na jedzenie, które dla niego przygotowała. Dała mu szansę i zaufała mu, wpuszczając go do domu. A teraz ufał jej jak nikomu na świecie.

Właśnie doszli do kamienicy, w której mieścił się ich resort. W drzwiach już czekał majster. Był to chudy, przygarbiony starszy mężczyzna. Przed wojną pracował w ratuszu.

- A wiadomo co tam się stało? Czemu tylu ich łązi po ulicach? - spytał na powitanie, wiedząc o kontaktach pracownicy z członkiem Oddziału Specjalnego.

- Nie mam pojęcia - przyznała zgodnie z prawdą.
- Może jakiś przełom na froncie.
- Może i przełom, choć nie zauważyłam radości ze zwycięstwa.
- Oby, oby, ale podpytaj, kogo trzeba i daj znać. Lepiej wiedzieć, na co należy się przygotować.

Na szczęście mieli tyle pracy, że nikt nie miał czasu snuć domysłów. Kiedy po południu wyszli z resortu, Izabela pożegnała się ze współpracownikami i razem z Marianem podążyła w stronę domu. Liczba patroli wcale nie zmalała.

- Może szykują jakieś wywózki i dlatego tak pilnują porządku, by jak najwięcej ludzi wsadzić do więzienia - zastanawiała się na głos.

- Nigdy nie chciałbym się znaleźć w więzieniu, bo na pewno nie jest w nim lepiej niż w obozie...

Izabela wdrygnęła się, słysząc ból w głosie Mariana. Powinna była ugryźć się w język. Milczała, by nie prowokować złych wspomnień.

Kiedy weszli na swoje podwórko, spostrzegła siedzącego na ławce Zacharego. Poderwał się, gdy również ją zobaczył.

- Idź na górę - poleciła Marianowi, sama zaś podeszła do mężczyzny. - Nie wiem, czy to rozsądne, że tu przychodzisz. Nie powinieneś teraz patrolować ulic?

- Skończyłem służbę - wyjaśnił, wyjmując z kieszeni zwitek papieru. Rozwinął go i podsunął Izabeli. - Cukier dla was.

- Nie wiem, jak mam się odwdziżyć. Nie musisz za każdym razem przynosić nam jedzenia.
- Nie muszę, ale chcę. Dopiero teraz widzę, jak bardzo jesteśmy podzieleni. Nawet tu są równi i równiejsi. Nie sądziłem, że ci, co najciężej pracują, mogą mieć najgorzej.
- Dziwny ten świat - przyznała i przysiadła na ławce.

Zachary dołączył do niej. Przez chwilę milczeli. Wreszcie Izabela zapytała o zamieszanie panujące na ulicach.

- Będą kolejne wywózki na roboty?
- Nic o tym nie wiem.
- To po co tyle patroli na ulicach?
- Sam nie rozumiem. Podobno dowództwo gestapo nakazało lepiej pilnować getta.
- Przecież stąd nie ma ucieczki, najwyżej wywózka na przymusowe roboty, jakbyśmy tutaj pracowali dobrowolnie - westchnęła z rezygnacją. - A może Hitler podbił kolejny kraj i znowu chcą do nas przysłać grupę Żydów?
- Bardziej wygląda mi na to, że czegoś się obawiają. Jakby nagle ktoś odebrał im tę bezczelność i butę, z której słyną<sup>2</sup>.

- Myślisz, że powinniśmy bać się bardziej niż zwykle?
- Nie mam pojęcia, co siedzi w głowie Hitlera, ale lepiej przygotować się na najgorsze.
- Na śmierć?
- Izabelo... nawet na śmierć.

Głęboko westchnęła. Kiedy zabrano jej dzieci, marzyła o śmierci. Teraz potrzebowała nadziei, że zdoła przetrwać i zaopiekować się Marianem. Los wystarczająco ich doświadczył.

Potrzebowali się. Byli jak dwa źdźbła trawy pośród całej łąki. To wojenna zawierucha zbliżyła ich do siebie, dając im szansę na przetrwanie.



## ROZDZIAŁ XII POŻEGNANIE

Wiatr delikatnie muskał zielone liście tulące się do nielicznych drzew sterczących niczym maszty na okręcie rozbujanym przez wysokie fale. Białe, puszyste obłoki płynęły po niebie, nie patrząc na ziemię, by uniknąć przykrego widoku smutnych, chorych, głodzonych ludzi, ostatkiem sił szukających nadziei.

Okna kamieniec były pootwierane, by do środka wpadło choć trochę powietrza. Panujący od kilku dni upał obezwładniał i pozbawiał sił. Ludzie, którzy właśnie wyszli z resortów po całym dniu pracy, powoli sunęli do domów.

Szymon szedł obok Estery, z niepokojem spoglądając na kobietę, która od kilku dni uskarżała się na ciągłe zmęczenie. Jemu też doskwierał upał. Od wielu dni nie mieli od jedzenia nic prócz czarnego chleba. Sklepy zionęły pustkami. Ludzie mdleli na ulicy.

W oddali widać było gromadzący się tłum. Szymon wziął Esterę pod ramię i pomógł jej utrzymać równowagę. Sunęli zółwim tempem. Kilkadziesiąt osób zgromadziło się przy słupie ogłoszeniowym, obok którego jakiś człowiek coś wykrzykiwał. Szymon powoli przesunął się w stronę mężczyzny. Coraz wyraźniej słyszał jego słowa. Poznał też jego głos.

– Tylko tam jest bezpiecznie – twierdził Rumkowski. – Tylko osiedlenie się w Rzeszy daje gwarancję dobrej pracy i spokojnego życia.

Otoczający go tłum mruczał niechętnie i posapywał nieufnie. Niektórzy pokazywali sobie wywieszane plakaty, na których Niemcy obiecywali pracę ochotnikom. Jedni dopytywali o warunki wyjazdu, drudzy kręcili głowami z niedowierzania i odchodzili, zlorzecząc Hitlerowi.

– Praca jest naszą szansą – ciągnął Rumkowski. – Naród żydowski udowodnił, ile potrafi osiągnąć.

– A kto zagwarantuje nam, że będziemy bezpieczni? – spytał głos z tłumu.

– Jedźcie tam do pracy, bo jesteście najlepszymi fachowcami i obywatele Niemiec to wiedzą. To im zależy na waszej obecności. Będą was szanować.

– Jeśli tak, to dlaczego tutaj tego nie robią? – spytał ktoś inny.

– Tutaj trwa wojna, więc trudno wymagać, by ktoś się nad nami rozczulał. Nie możecie jednak zapomnieć, ilu z nas przeżyło właśnie dzięki ciężkiej pracy. A dzisiaj mamy szansę wrócić do normalnego życia – tłumaczył.

– Obiecujesz, że przeżyjemy? – spytała starsza kobieta, wychyliwszy się zza pleców młodego chłopaka o zmęczonym spojrzeniu.

– Nie namawiałbym was, gdybym nie był przekonany, że to szansa dla naszego narodu – oświadczył Rumkowski, a potem wsiadł do swojej bryczki i odjechał.

Szulc pociągnął Esterę za rękę. Po chwili tłum zaczął topnieć.

Niektórzy pozostali pod słupem, czytając po raz wtóry ogłoszenie. Być może liczyli, że znajdują w nim potwierdzenie słów Chaima Rumkowskiego. Jego obietnice wciąż rozbrzmiewały w uszach tych, którzy każdego dnia zmagali się z głodem.

– Estero, wierzysz mu? – spytał Szulc.

– My i tak jesteśmy za starzy, by zaczynać wszystko od nowa. Lepiej nam będzie tutaj dożyć ostatnich dni, niż tłuc się po świecie w poszukiwaniu lepszego życia.

Szulc pokiwał głową i pogadził dłoń kobiety. Mądrze mówiła. Lubił jej słuchać. Cieszył się z ich wspólnych powrotów do domu. Dla obojga stały się tak oczywiste, że żadne nie wyobrażało sobie, by mogło wyjść do pracy lub z niej wrócić samo.

Tydzień później Szymon wyszedł ze szwalni. Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Wyszedł na drogę, ale nie dostrzegł Estery. Oparł się plecami o drewniany płot i rozglądał się na boki. Większość pracowników wracała do swoich mieszkań, w których z każdym dniem

widać było coraz większą nędzę. Ludzie zdążyli wyprzedzić wszystkie wartościowe przedmioty, jakie posiadali. Drewniane, solidne, duże stoły, kredensy czy szafy spalono w piecu, by zimą nie zamarznąć. Wyposażenie mieszkań wciąż się kurczyło do niezbędnego minimum.

Wreszcie Szymon dostrzegł zmierną kobietę. Szła powoli, jakby rozważała, czy zrobienie kolejnego kroku ma sens. Majster wyszedł jej naprzeciw.

– Długo szłaś – odezwał się poprawną polszczyzną.

Lekcje systematycznie udzielane przez Laurę i ogromne zaangażowanie ucznia zaczęły przynosić nadspodziewane efekty. Przez kilkanaście tygodni Szulc znacznie poprawił wymowę, ale przede wszystkim coraz lepiej radził sobie z odmianą czasowników.

– Musiałam posprzątać trociny – wyjaśniła, ocierając pot z czoła. – Mogę chwilę odpocząć?

– Nie czekając na odpowiedź, oparła się plecami o płot. Słońce chyliło się ku zachodowi, choć wciąż świeciło ostro. Przytknęła dłoń do czoła, by osłonić oczy przed jasnym blaskiem. – Myślisz, że Bóg widzi, co tu z nami wyprawiają?

– Gdyby ktokolwiek o tym wiedział, nie mógłby spać spokojnie. Bóg na pewno ma ważniejsze sprawy, dlatego jeszcze nie dostrzegł naszego cierpienia. – Chwycił Esterę pod ramię. – Wracajmy do domu.

Szli bez pośpiechu. Szymon widział, z jakim zmęczeniem zмага się Estera. Chciał jej pomóc, ale wiedział, że potrzebowała przede wszystkim jedzenia. Z zamyślenia wyrwały go krzyki i ujadanie psów.

Szulc przyłgnął do niewysokiej kamienicy z łuszczącą się farbą na okiennicach i pociągnął za sobą Esterę. Posuwali się wzdłuż ściany. W oddali stały trzy ciężarówki, do których wpychano ludzi. Na odcinku kilkunastu metrów panowała kompletna pustka, gdyż wszystkich stłoczono przy samochodach. Grupa niemieckich policjantów stała, mierząc z broni do ludzi.

Szymon pamiętał, że kilka metrów dalej jest spore podwórko. Miał nadzieję, że tam uda im się przeczekać łapankę. Właśnie zmierzali w kierunku wejścia na plac, gdy niespodziewanie nadjechały trzy kolejne ciężarówki, odgradzając im drogę ucieczki. Niemal natychmiast wysypali się z nich Niemcy i ruszyli do kamienic po obydwu stronach ulicy. Jeden z policjantów dopadł do Estery i Szymona i pchnął ich w stronę ściany. Kazał im stanąć tyłem i podnieść ręce. Zaczął przeszukiwanie. Chwilę później pojawiali się kolejni wystraszeni Żydzi, im też nakazano oprzeć się o ścianę i trzymać ręce w górze.

Jakaś kobieta głośno zawodziła.

– Ja nie chcę na roboty. Mnie tu dobrze. – W akcie desperacji złapała gestapowca za nogę.

– Oj, mieliście tu za dobrze i nie potrafiłście tego docenić – syknął Niemiec i odtrącił ją. Kobieta upadła na ziemię, ale po chwili podczołgała się do innego policjanta i znowu zaczęła błagać, by jej nie zabierał.

Ten roześmiał się szyderczo i zdzielił ją w twarz, a kiedy zbyt długo się nie podnosiła, szarpnął ją za ramię i niemal natychmiast stanęła na nogach. Potem ustawił ją tyłem do ściany i uśmiechając się sztucznie, zapytał:

– Nie chcesz dla nas pracować? Nie chcesz przysłużyć się Rzeszy, która jak matka karmiła cię przez ostatnie cztery lata?

Tym razem kobieta zamilkła, tłumiąc w sobie spazmatyczny płacz. Bała się podnieść wzrok.

– I ktoś taki ma zasłużyć na życie? Nigdy! – krzyknął, po czym wycelował broń w sam środek jej czoła i wystrzelił. Martwe ciało osunęło się na ziemię. – Ktoś chce dołączyć? – spytał i powiódł wzrokiem po stojących w rzędzie.

Szymon ukradkiem zerknął w stronę przyjaciółki. Łzy ściekały jej po twarzy. Osłabione ręce osuwały się po ścianie. Jej blade, zapadnięte policzki drżały. Tak bardzo chciał ją objąć i pocieszyć. Tak bardzo chciał, żeby ta chwila okazała się koszmarem, z którego może się obudzić.

– Będę przy tobie – szepnął. – Nie zostawię cię.

Jej usta rozchyliły się, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale nie zdołała. Kolejne łzy spływały po jej policzkach.

Niemcy nakazali wszystkim wsiadać do ciężarówek. Psy coraz głośniejszym ujadaniem. Ciężarówkami szybko wypełniły się Żydami, którzy już dawno przestali czuć się ludźmi<sup>2</sup>.

Izabela przekręciła się na drugi bok. Nie miała siły zwlec się z łóżka. Paraliżował ją strach. Nie wierzyła, że zdoła przeżyć. Każdego dnia znikali kolejni ludzie. Nie mogła uwierzyć, że nie ma z nimi ani Szymona, ani Estery. Byli jak rodzina. Pomagali sobie w najtrudniejszych momentach.

Resorty pozamykano, bo nie było komu w nich pracować. Nieliczni szczęśliwcy, którzy jeszcze pozostali, snuli się po mieszkaniach opętani strachem, bólem i głodem.

Nagle stukanie do drzwi wyrwało ją z letargu. Poderwała się na łóżku, budząc tym Laureę, która nieprzytomnym wzrokiem rozglądała się po pokoju.

– Izabelo, mogę wejść? – rozpoznały głos Zacharego.

– Wejdz do kuchni, zaraz przyjdę! – powiedziała i narzuciła na ramiona chustę. – Leż spokojnie, zaraz wracam – odezwała się do Laury. – Coś się stało? – spytała, gdy weszła do kuchni.

– To koniec! – wykrzyknął, gdy tylko ją zobaczył. – Nie mamy już żadnych szans!

– Co się dzieje? – Spojrzała na jego rozpaloną twarz. – Co ci jest? Żle się czujesz? – dopytywała, jednocześnie przykładając dłoń do jego spoconego czoła. Dotyk zimnego potu szybko dał jej odpowiedź. To nie choroba ciała, lecz duszy przygnała go tutaj w takim stanie.

– Już stąd nie wyjdziemy... Nikt...

– O czym ty mówisz?

– Wczoraj wywieźli Rumkowskiego<sup>2</sup> i wiesz, dokąd go zabrali?

Izabela pokręciła głową.

– Na stację. Nawet jego... Tyle dobrego zrobił dla nas, a teraz go zabierają. Był jak ojciec, który troszczy się o swoje dzieci.

– Ojciec? – Izabela zmarszczyła brwi w zdziwieniu. – Handlował nami jak towarem. Wyciskał z nas ostatnie poty, żeby tylko przypodobać się Hitlerowi. Odebrał matkom setki dzieci, by tylko ocalić własną skórę. Takiego człowieka mam szanować?! – Splunęła pod nogi.

– Gdyby nie on, już dawno by nas tu nie było. To on wiedział, jak rozmawiać z Niemcami i jak ich omamić.

– Omamić? Ich? Chyba nas, a w zasadzie was, bo ja go nienawidzę całym sercem i cieszę się, że wreszcie go stąd zabrali. Może wyznaczą na jego stanowisko kogoś, kto naprawdę o nas zadba, a nie tylko będzie robił nam papkę z mózgu.

Zachary zmrzążył oczy, a na jego czole pojawiły się grube bruzdy. Nie tak postrzegał Chaima Rumkowskiego. Słuchał jego słów i rozumiał jego czyny. Wiedział, że tego wymagał od niego okupant. Sam też zgłosił się do służby, żeby pomagać. Rozumiał, jak ważny jest porządek i przestrzeganie zasad ustanowionych przez Niemców. Nie chciał, by jego rodacy cierpieli z powodu łamania prawa. Był przekonany, że wystarczy wszystkich powiadomić o zmianach i przypilnować, by się do nich dostosowali. Na początku szło mu bardzo dobrze. Tych, którzy nie zdążyli przyszyć do ubrań gwiazdy, napominał. Tych, którzy zamiast pracować, woleli żebrać, prowadził do najbliższego resortu. Z czasem dostrzegł, że inni członkowie służby chętniej sięgają po drewniane pałki i niezdyscyplinowanym w ten sposób tłumaczą obowiązujące zasady. Nie rozumiał takiego zachowania. Dla niego broń była tylko niezbędnym elementem stroju.

– Rumkowski to grzesznik i zanim trafi do piekła, musi odpokutować na ziemi swoje przewinienia. Życzę mu, żeby wrócił tu jako świnia – warknęła Izabela.

Zachary spojrzał na nią z troską. Nie chciał jej stracić, ale widział, co się dzieje wokoło. Każdego dnia wyjeżdżały kolejne transporty Żydów. Nawet kilku jego kolegów wywleczono z domów i zamknięto w wagonach, a potem nie pozwolono im udowodnić, że należą do Oddziału Specjalnego. To kazało mu się zastanowić nad przyszłością. Dotychczas miał przeświadczenie, że chroni go mundur.

– Jeśli taki ma być i nasz koniec, to chciałbym, żebyś wiedziała, że jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. Żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. Może wtedy mielibyśmy szansę być razem.

– Wiesz, że już złożyłam obietnicę innemu mężczyźnie, ale jestem ci ogromnie wdzięczna za to, że wciąż mi pomagasz i tak dobrze traktujesz Mariana. On na to zasłużył.

– Mariana?

Izabela zakryła usta. Dotychczas udawało jej się utrzymać pochodzenie chłopca w tajemnicy.

– Tak, często go tak nazywam, bo widzę w nim jego ojca, którego dobrze znałam, a do którego jest bardzo podobny. Nie dziw się zatem, gdy zamiast Łazarz, powiem do niego Marian – poprosiła.

– Jesteś wyjątkową kobietą...

Uśmiechnęła się lekko i spojrzała na niego. Był dość przystojny i aż nadto sympatyczny. Dziwiło ją, że nie miał żony.

– Nigdy nie spotkałeś tej wymarzonej?

– Spotkałem, ale za późno – westchnął. – Wcześniej związałem się z taką, na którą nigdy nie powinienem zwrócić uwagi.

Zaskoczył ją tym wyznaniem.

– Aż tak źle trafiłeś?

– Wyszła nie za mnie, tylko za moje pieniądze. Później myślała tylko o nich. Nie chciała dać mi dzieci. Nie rozumiała mojego żalu. Piła i tańczyła z obcymi mężczyznami, karząc mnie w ten sposób. Kiedy wybuchła wojna, uciekła z jednym z kochanków, zabierając większość moich pieniędzy. Wtedy byłem na nią wściekły. Po latach widzę to zupełnie inaczej. Jej ucieczkę traktuję jako dar niebios. Sam nie wiem, czy zdobyłbym się na to, by ją przegnać z domu.

Patrzyła w jego oczy, które zaczęły odzyskiwać blask.

– Czy mogę z tobą zostać? – zapytał w końcu.

– Pokój Estery stoi pusty. Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś go zajął – odparła, ciesząc się z tego, że będą dzielić gospodarstwo.

Izabela podniosła się i skierowała do pokoju uprzednio zajmowanego przez Szifrinów. Otworzyła drzwi i pokazała wnętrze. Oprócz łóżka, szafy i niskiego taboretu nie było w nim więcej mebli.

– Zaraz wrócę ze swoimi rzeczami. Nie jest tego dużo, więc szybko się uwinę.

Izabela wróciła do pokoju i opowiedziała Laurze, co usłyszała od Zacharego. Ta wystraszona pobięła zajrzeć do pokoju chłopców, by się upewnić, że nigdzie nie wyszli. Wciąż wierzyła, że dom jest najbezpieczniejszym miejscem.

Zajrzała do pokoju i ku swojemu zdziwieniu zastała w nim tylko Mariana. Chłopak właśnie się obudził i nie miał pojęcia, gdzie są bliźniacy. Laura wróciła do swojego pokoju, by się ubrać. Gdy była gotowa, w pośpiechu wybiegła na podwórko.

Izabela zajrzała do pokoju Mariana.

– Dzisiaj na śniadanie mamy resztkę kaszy. Nie mam pojęcia, co jutro zjemy. Żaden sklep nie działa – wyjaśniła markotnie. – Chcą nas zgłodzić – dodała i powlokła się do kuchni. Wymieszała z wodą ugotowaną wczoraj kaszę i wlała mętną zupę do dwóch misek.

Właśnie kończyli jeść, gdy do mieszkania wkroczył Zachary z niewielkim tobołkiem na plecach. Wszedł do pokoju Szifrinów, a po chwili zjawił się w kuchni, ściskając w dłoniach ćwiartkę chleba.

– To na obiad i kolację – wyjaśnił. – Nie wiem, kiedy dostanę kolejny przydział, więc musimy oszczędzać. Powinienem już wracać na służbę. Rozpakuję się wieczorem.

Podał Izabeli chleb i zbiegł ze schodów. Chwilę później przez okno obserwowała, jak przechodzi przez podwórko. Owinęła chleb w lnianą ściereczkę i delektując się jego zapachem, odłożyła go na półkę w kredensie. Posprzątała ze stołu i zagnała Mariana do porządkowania pokoju. Chłopak marudził i wymawiał się, że to bałagan pozostawiony przez Lewiatanów. Widząc surową minę Izabeli, zrezygnował z dalszych dyskusji i zabrał się do pracy.

Kobieta weszła do pokoju, który od dzisiaj należał do Zacharego i zajrzała do szafy. Odkąd zaginęła Estera, nie wchodziła do tego pomieszczenia. Rzeczy kobiety pozostały nietknięte. Teraz nadszedł czas, by zrobić z nimi porządek. Otworzyła szafę i wyjęła kilka starych ubrań. Pozostałe półki opustoszały już wcześniej, w miarę jak odchodzili inni mieszkańcy tego pokoju. Izabela zabrała ubrania i wyszła. Położyła je na krześle, żeby po powrocie Laury sprawiedliwie podzieliły je pomiędzy siebie.

Do obiadu znów usiedli tylko we dwoje. Marian łączywie gryzł swój kawałek chleba. Izabela odkroiła kromkę dla siebie, resztę schowała do kredensu.

Później położyła się na łóżku, by odpocząć. Coraz bardziej martwiła ją nieobecność Laury. Zdawało jej się, że zasnęła, dlatego nie od razu otworzyła oczy, słysząc hałas. Przypuszczała, że to Lewiatanowie wrócili do domu. Dopiero gdy usłyszała szczekanie psa, poderwała się na równe nogi. Wówczas drzwi otworzyły się z całym impetem i do pokoju wszedł uzbrojony gestapowiec z głośno ujadającym psem. Mężczyzna szarpnął ją za ramię i powlókł na korytarz, gdzie już stał oszołomiony Marian. Dopadła do chłopca i przytuliła go. W tle słyszała kolejne komendy wydawane przez mundurowych. Rozkazali jej wziąć najpotrzebniejsze rzeczy. Później zostali zagonieni na klatkę schodową. Byli tam też inni mieszkańcy kamienicy.

Gdy wyszli na podwórko, dostrzegła wchodzącego przez bramę Zacharego. Zaskoczony widokiem stłoczonych ludzi, podbiegł do stojącego najbliżej niego policjanta i zaczął dopytywać, dokąd zabierają tych ludzi. Ten najwyraźniej nie miał ochoty na tłumaczenia, dlatego usiłował zbyć mężczyznę. Nie było to łatwe zadanie, bo Zachary nie ustępował. Wreszcie gestapowiec nie wytrzymał i wycelował broń w jego głowę. Mężczyzna powoli podniósł dłonie i zaczął się oddalać na bezpieczną odległość, jednocześnie lustrując tłum w poszukiwaniu znajomych twarzy. Wreszcie ją dostrzegł. Ścisnęła kościstą dłoń Mariana i coś mu szeptała do ucha. Zachary zbliżył się do nich.

– Po co tu przyszedłeś? – szepnęła, nie kryjąc złości.

– Żeby z wami być – wyznał i chwycił ją za drugą dłoń. Wolną zaś zrzucił na ziemię swoją czapkę, symbol przynależności do Sonderabteilung.

– Uciekaj, póki możesz.

– Jestem z tobą i to jest najważniejsze.

– Wariat – szepnęła i pocałowała jego policzek.

Poganiani przez kilkunastu Niemców ruszyli w stronę stacji Radegast.

Laura ostrożnie wyjrzała za bramę podwórka, przy którym mieszkała. Na ulicy było niemal pusto. Ten widok przyprawił ją o dreszcze. Pamiętała czasy, gdy na ulicach było tak tłoczno, że trzeba było się przepychać, by zdążyć do resortu.

Wyszła na drogę i przywarła do ściany. Przesuwała się dość szybko, wciąż oglądając się za siebie. Pierwsza myśl, jaka pojawiła się z chwilą wyjścia z mieszkania, to szwalnia. Od kilku dni już nie chodzili do pracy, ale może chłopcy postanowili stamtąd coś ukraść. Szybko przemknęła na Marysińską. Weszła na podwórko i pociągnęła za kłamkę. Drzwi były zamknięte. Zeszła ze schodów i przeszła wzdłuż muru, zaglądając do środka. Nikogo nie dostrzegła w hali. Przeszła z drugiej strony budynku i znowu zajrzała do szwalni. Po Lewiatanach nie było śladu. Przysiadła na kamieniu i zaczęła zastanawiać się, dokąd mogli pójść. Niedaleko był cmentarz. Pomyślała, że może tam się zaszli. Opowiadali jej, że czasem tam chodzą.

Wyszła na ulicę. Wkrótce skręciła w prawo w Okopową i wciąż zachowując ostrożność, posuwała się naprzód. Wreszcie stanęła w bramie cmentarza i się rozejrzała. Nikogo nie dostrzegła. Poszła dalej, wciąż bacznie obserwując cmentarz. Cisza i brak żywej duszy pozwoliły jej zrozumieć, dlaczego Lewiatanowie tak chętnie tu zaglądali. Skręciła w bok i minęła kilkanaście świeżych grobów. Szła dalej, nie zatrzymując się. Wreszcie dostrzegła mur, który wyznaczał granicę zarówno terenu cmentarza, jak i getta. Zawróciła. Przez kolejne pół godziny szukała chłopców, ale nikogo nie spotkała.

Kiedy wyszła na ulicę, przyspieszyła kroku. Minęła szwalnię, gdy dostrzegła patrol. Czym prędzej czmychnęła w boczną drogę.

– Stój! Ręce do góry! – usłyszała rozkaz wydany w języku niemieckim.

Spojrzała przed siebie. Kilkanaście metrów dalej stało dwóch niemieckich policjantów.

– Gdzie to się łązi? – zapytał jeden z nich, gdy do niej podszedł. – Tu stoisz i czekasz na resztę towarzystwa. Kapujesz?

Skinęła głową, nie śmiąc się odezwać.

Po chwili dołączyli do niej kolejne osoby wyprowadzane z domów. Tłum gęstniał. Inni niemieccy funkcjonariusze prowadzili mniejsze grupki więźniów. Laura niepewnie spoglądała na boki. Wychudzone ciała zlewały się w jedno. Miała wrażenie, że zna tych ludzi, choć

jednocześnie nic o nich nie wiedziała. Płynęli niczym fala. Kobiety się potykały. Nawet nie ocierały łez, coraz głośniejsze pochlipując. Mężczyźni, przygarbieni, pozbawieni wiary w swoją siłę, sunęli noga za nogą, skupiając się na tym, by nadążyć za resztą i nie narazić się na większy gniew rozjuszonych strażników, którzy nie szczędzili razów kolbami karabinów.

Znała każdą z mijanych kamienic. Wiedziała, z której odpada tynk, a przy której oberwały się okiennice. Teraz to nie miało najmniejszego znaczenia.

Kiedy dotarli na stację, tuż przed nią stali policjanci Schupo oraz oficerowie Gestapo. Tłum szybko ustawiono w kilka rzędów, które kierowano do oficerów notujących nazwiska. Nie było czasu na sprawdzenie dokumentów. Kolejka szybko przesuwała się do wejścia. Laura podała swoje dane i wraz z innymi weszła na peron. Stało już na nim kilkadziesiąt osób. Jedni siedzieli, oszczędzając siły, inni dreptali, usiłując ustalić, dokąd ich wywożą. Psy zaciekle ujadają, gdy ktoś chciał zejść z peronu. Najwidoczniej niektórzy od dawna na nim stali, bo szukali miejsca, gdzie mogliby załatwić swoje potrzeby. Wzdłuż płotu oddzielającego stację od reszty getta kucały kolejne osoby, by ulżyć pęcherzowi.

Laura szła w głąb peronu w poszukiwaniu bliskich. Modliła się, by nikogo z nich tu nie spotkać. Jej modlitwy nie zostały wysłuchane i nieco dalej dostrzegła stojącą na peronie Izabelę. Zaczęła się przeciskać w jej stronę.

– Kochana, ciebie też złapali? – odezwała się, stając obok.

Izabela rzuciła się jej na szyję. Mocno przytuliły się do siebie.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

Izabela odwróciła głowę i zerknęła na Zacharego, który jakimś cudem dowiedział się od strażników, że czekają na transport do Auschwitz.

– Podobno do jakiegoś olbrzymiego obozu pracy – wyjaśnił mężczyzna.

Dopiero teraz Laura dostrzegła stojącego za nim Mariana. Chłopak pamiętał opowieści o wyjeździe Anety i Gabrysi. Nurtowały go więc prozaiczne pytania o to, ile wagonów trzeba będzie podstawić, by zmieściło się w nich tyle osób. Z tego, co kojarzył, miejsc siedzących nie było tak wiele, a nie wyobrażał sobie stać przez całą podróż.

– Najważniejsze, że jesteśmy razem – zauważyła Izabela i raz jeszcze przytuliła przyjaciółkę. Teraz dołączył do nich Zachary i Marian. Stali we czworo, objęci w przyjacielskim uścisku.

– Lauro, gdzie chłopcy? Są tutaj?

– Nie znalazłam ich nigdzie. Nie mam pojęcia, gdzie się zaszli, ale wierzę, że uda im się skutecznie schować. Może oni będą mieli szansę na lepsze życie.

– Oby.

Dochodziła szesnasta, gdy nagle usłyszeli gwizd, a w oddali pokazała się ogromna lokomotywa. Ludzie wychylali się, by ją zobaczyć. Coraz głośniejszy stukot kół zwiastował rychły transport.

Kiedy lokomotywa wtoczyła się na peron, ogłuszający łoskot zaciąganego hamulca zmusił wszystkich do zakrycia uszu i zamknięcia oczu. Jakież było ich zdziwienie, gdy je otworzyli. Darmo się rozglądali w poszukiwaniu wygodnych wagonów z oknami i drewnianymi ławkami.

– I to tym mamy jechać? – spytała Izabela.

– Może tam trzeba będzie wrzucić bagaże – wyjaśnił szybko Zachary.

– Myślisz, że będzie ich aż tyle? Nam pozwolono wziąć tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Inni też mają po jednej walizce.

– Niektórzy nie mają ich wcale – wtrąciła Laura.

– Pewnie będziemy czekali na pociąg dla ludzi – dodał Marian, ale w tej samej chwili kilku strażników podbiegło do drewnianych wagonów z jednym małym oknem i poczęło podnosić rygle, by otworzyć drzwi.

Ludzie odsuwali się, by nie utrudniać zadania. Po chwili jednak usłyszeli wyraźny rozkaz wsiadania do środka. Tłum zdębiał. Nikt nie wziął tych słów na poważnie. Kolby karabinów poszły w ruch i w szybkim tempie ładowały na plecach stojących najbliżej. Ludzie zgięci wół posuwali się do przodu i wchodzili do wagonów. Strażnicy ustalali liczbę pasażerów w wagonie. Jeśli ocenili, że zmieści się więcej osób, wypychali je do środka. Resztę kierowali do następnego wagonu. Oszołomieni ludzie szukali ławek. Nie znajdując ich, rozglądali się za

jakimkolwiek miejscem do siedzenia. Szybko okazało się, że jeśli każdy z nich postawi swoją walizkę, to dla nich już nie wystarczy miejsca. W niektórych wagonach układano bagaże jeden na drugim i prowizorycznie wiązano, by nie spadły. W innych uznano, że najlepiej będzie walizki ułożyć w rzędzie pod ścianą, by na zmianę na nich siadać.

Do każdego wagonu wstawiono wiadro, a na schodach siedział strażnik czekający na sygnał do odjazdu.

Na peronie znacznie się rozluźniło, choć wyglądało na to, że potrzeba jeszcze dwóch, a może nawet trzech pociągów, by upchnąć w nim resztę oczekujących.

– Musimy się wycofać jak najdalej od torów – oświadczył Zachary i pociągnął Izabelę na skraj peronu. – Może wreszcie podstawią lepsze wagony.

Tymczasem pociąg odjechał<sup>10</sup>. Niemal natychmiast pojawił się kolejny. I tym razem były tylko wagony towarowe. Strażnicy otworzyli drzwi i zaczęli wypychać kolejnych więźniów do środka.

Laura dostrzegła, że tuż za nimi stanęło kilku strażników, którzy popychali stojących na skraju Żydów. Tłum dosłownie przelewał się przez peron i zniknął w kolejnych wagonach. Kątem oka dostrzegła zbliżających się wysokich rangą oficerów. Pokrzykiwali na strażników, by się nie ociągali. W jednym z nich dostrzegła znajome ruchy. Odwróciła się, by się upewnić. Jego twarz nieco ogorzała, ale oczy pozostały takie jak dawniej. Właśnie otwierała usta, by podzielić się swoim odkryciem z przyjaciółmi, gdy ich wzrok się spotkał. Patrzył na nią, jakby nie rozumiał, skąd się tutaj wzięła. Uśmiechnęła się odruchowo, jakby zobaczyła starego znajomego. W tej samej chwili ktoś ją popchnął, a za plecami usłyszała:

– Do środka! Szybciej! Szybciej! – pokrzykiwali niemieccy strażnicy.

Laura, zanim się odwróciła, dostrzegła jeszcze, jak Wagner wrywa innemu oficerowi listę więźniów. Najwyraźniej szukał czegoś ważnego, bo jego mina srospępniała. Później Laura chwyciła dłoń Mariana i Izabeli, obok której szedł Zachary. Trafili do jednego wagonu. Niewielkie okienko zalepione drutem kolczastym wpuszczało mało światła, dlatego ludzie potykali się o stojące w nieładzie bagaże.

– Trzeba to ustawić pod ścianą – zarządził Zachary i zaczął przestawiać walizki. Z pomocą przyszedł mu Marian i inni mężczyźni.

Kilka starszych kobiet siedziało na podłodze z przyciągniętymi do brody kolanami i szeptało modlitwy. Młodsze szukały miejsca, w którym mogłyby spokojnie usiąść. Zanim je znalazły, do wagonu wpełchnięto kolejną grupę oszołomionych pasażerów.

– Chyba jest nas dużo więcej niż w pierwszym pociągu – szepnęła Izabela. – Podusimy się w tym ścisku.

– Przesuńcie się do okna – polecił Zachary, widząc pękający w szwach wagon.

Kobiety podążyły we wskazanym kierunku. Kubeł na nieczystości został ustawiony w najciemniejszym kącie.

– Czy ktoś zabrał ze sobą chusty, żeby móc nimi zaścielić kawałek podłogi dla tych, którzy nie dadzą rady stać? – spytał Zachary.

Kilka kobiet przecisnęło się do swoich walizek i podały Zacharemu jakieś ubrania. Chwilę później usiadły na nich cztery najstarsze kobiety i ślaniający się na nogach mężczyzna. Więcej miejsca nie było.

– Mam nadzieję, że szybko dotrzemy do celu – mruzczała jedna z siedzących kobiet. – Długo tak nie wytrzymamy.

Pozostały poczęły biadolić, że są zmęczone i głodne. To akurat łączyło wszystkich pasażerów wyjeżdżających ze stacji Radegast.

– Najstarsi niech usiądą na bagażach, reszta musi poczekać na swoją kolej – wyjaśnił Zachary, wskazując równo ustawione walizki. – Musimy jakoś wytrzymać.

Gdy z peronu zniknęli wszyscy podróżni, drzwi wagonów zamknięto i zaryglowano. W wagonie zrobiło się jeszcze ciemniej. Z zewnątrz dochodziły odgłosy rozkazów. Lokomotywa poczęła pluć kłębamii dymu drapiącego w oczy i gardło. Po chwili rozległ się ogłuszający świst wydobywający się z trzewi olbrzyma i wagony drgnęły. Ludzie zadrżeli niczym szmaciane lalki, ale stali tak blisko siebie, że bez trudu zachowali równowagę. Izabela przytuliła się do Laury, wciąż ściskając dłoń Mariana.

– Najważniejsze, że jesteśmy razem – powtarzała.  
– Kiedyś będziemy się z tego śmiały – dodała Laura, nie dając po sobie poznać strachu szalejącego w jej sercu. – Nigdy wcześniej nie podróżowałam w ten sposób.

Zachary zbliżył się do nich i objął je obie. Czuli jego siłę i troskę. Jego opiekuńcze ramiona dawały nadzieję.

Pociąg powoli sunął po torach. Przeciężone wagony skrzypiały. Ludzie wciąż płakali, modlili się i złorzeczyli. Ktoś zaczął się przepychać w stronę okna, twierdząc, że się dusi. Marian odsunął się, by zrobić miejsce. Niespodziewanie lokomotywa zahamowała. Niektórzy z impetem uderzyli o ścianę. W pewnej chwili drzwi otworzono na oścież. Jasność wdzierająca się do środka wszystkich oślepiła. Laura zasłoniła oczy dłońmi, Izabela odwróciła głowę i położyła ją na ramieniu Zacharego.

– Lewiatan?! – wszyscy usłyszeli pytanie, lecz nikt nie odpowiedział. – Laura Lewiatan?! – padło ponownie.

– Jestem – odezwała się, odejmując dłoń od oczu. Rozpoznała Wagnera.

– Wychodzisz – poinformował i lułą pistoletu zaczął rozdzielać na boki pozostałych pasażerów. – Zróbcie miejsce. To Polka. Ona nie jedzie. Zróbcie miejsce, mówię! – powtarzał coraz bardziej zirytowany powolnymi ruchami podróżnych.

Laura drgnęła, słysząc te słowa. Tak bardzo pragnęła, by nie okazały się projekcją jej umysłu.

– Uszczypnij mnie – poleciła Izabeli. – Szybko, szcyp.

Przyjaciółka wypełniła polecenie. Laura ruszyła w stronę wyjścia. Zrobiła dwa kroki i obejrzała się za siebie. Izabela stała w miejscu.

– Chodź! – Machnęła na nią dłonią. – Wysiadamy.

Izabela patrzyła zdziwiona. Wreszcie drgnęła, ciągnąc ze sobą jeszcze dwie najbliższe jej sercu osoby.

– Wychodź! – ponaglał Wagner, nie zwracając uwagi na nikogo więcej. – Pospiesz się!

Laura stanęła tuż przed nim. Wtedy odwrócił się i wyskoczył na pobocze. Laura wychyliła się, ale widząc głęboki rów, zawahała się. Wówczas oficer wyciągnął do niej dłoń. Przyjęła ją z wdzięcznością. Po chwili stanęła na ziemi. Jej usta bezwiednie rozchyliły się w uśmiechu. Opatrzność nad nią czuwała. Dostała kolejną szansę od losu i zamierzała ją wykorzystać. Spróbuje się odwdziżyć Wagnerowi za to, co dla niej zrobił. Razem z Izabelą będą dla niego pracowały, jeśli tylko tego zechce. Właśnie, Izabela. Odwróciła się, by się upewnić, że przyjaciółka zdążyła wysiąść.

– Stop! Do środka! – usłyszała polecenie strażników, którzy stali przy drzwiach i właśnie zamierzali je ponownie zatrasnąć.

Widziała rozczarowanie odmalowane na twarzy przyjaciółki, która zrobiła jeszcze krok, jakby chciała mieć pewność, że rozkaz nie był skierowany pod jej adresem. Nagły wystrzał z pistoletu zmusił ją do zatrzymania się. Szkarłatna plama rozrastała się na jej brzuchu. Krzyżący ludzie usiłowali schować się w głąb wagonu. Zachary dopadł do niej pierwszy. Przycisnął dłoń do jej brzucha, usiłując zatamować krwawienie. Jego palce natychmiast zrobiły się czerwone od krwi. Izabela osunęła się na niego. Teraz usiadł na podłodze i na swych nogach ułożył drobne ciało kobiety, dla której zrobiłby wszystko.

– Nie! Nie! Tylko nie to! – Krzyk rozpaczyny wydobył się z ust Laury.

Niewzruszeni strażnicy zatrasnęli drzwi i zasunęli zasuwę. Któryś z nich machnął na maszynistę czekającego na sygnał. Parowóz szarpnął i ruszył.

– Nie, błagam! Nie! – wykrzykiwała Laura, uderzając w tors stojącego przy niej mężczyznę.

– Tylko nie to! Tylko nie to! – powtarzała i w tym momencie podjęła decyzję.

Nie zostanie tutaj. Nie opuści przyjaciół. Rzuciła się w pogoń za odjeżdżającym pociągiem. Kolejne wagony mijały ją, a ona usiłowała znaleźć możliwość chwycenia się czegoś, by móc się dostać do środka.

– Wracaj! Wracaj! – w oddali słyszała głos Wagnera, ale nie przestawała biec. – Stój!

To słowo zapamiętała jako ostatnie. Huk wystrzału dotarł do niej, zanim poczuła rozrywający ból. Upadła, uderzając głową o kolejowy podkład. Głosy oddalały się, a ona osuwała się w bezdenną otchłań zionącą chłodem. Światła wokół niej zamigotały i poczęły



blednąć, jak świece kolejno dogasające po radosnym świętowaniu Chanuki. Czas stanął w miejscu.

## DRODZY CZYTELNICY,

bardzo Wam dziękuję, że z taką dużą otwartością przyjęliście część pierwszą *Nauczycielki z getta*. Wasze opinie pozwoliły mi uwierzyć, że warto napisać ciąg dalszy losów Laury, a moje obawy, że niespokojny czas, jaki nastał, nie sprzyja poznawaniu kolejnej tragicznej historii, okazały się na wyrost.

Mam nadzieję, że w drugiej części Laura pozostanie postacią z krwi i kości, którą rozumiecie i której współczujecie, bo choć sama bohaterka jest postacią fikcyjną, to całe tło łódzkiego getta rzeczywiście tak wyglądało. Bardzo ważne było dla mnie uchwycenie tamtej rzeczywistości, bo wiem, że dzięki temu możecie lepiej poznać minione czasy.

Serdecznie dziękuję Wydawnictwu Jaguar, że zdecydowało się wydać tak ważną dla mnie książkę i wspierało wszystkie moje działania promocyjne. Szczególne słowa podziękowania za duży szacunek i partnerstwo kieruję do Pań: Ewy Holewińskiej, Anny Salwy, Anny Pawłowicz i Agnieszki Słowik, z którymi współpracowałam przy wydaniu obydwu części powieści.

Ogromne podziękowania kieruję do dr. Adama Sitarka pracującego w Centrum Badań Żydowskich Uniwersytetu Łódzkiego, który czuwał nad tym, by moje wyobrażenia o Łodzi w czasie II wojny światowej nie odbiegały od rzeczywistości i pozostały zgodne z prawdą historyczną.

Gorące podziękowania kieruję w stronę Blogerów książkowych i Bibliotekarzy, którzy doprowadzili do tego, że moje książki trafiły w ręce wielu nowych Czytelników. Wszyscy sprawiacie, że siadam do pisania nawet wtedy, gdy mam zły nastrój albo kiepskie samopoczucie, bo pisząc dla takich odbiorców, czuję się znacznie zdrowsza i szczęśliwsza.

Zapraszam też do odwiedzenia mnie w mediach społecznościowych, gdzie codziennie możemy dyskutować o literaturze, ale nie tylko.

<sup>1</sup> Sonderkommando to nazwa grup pracujących w obozach np. w krematoriach. W getcie oficjalna nazwa Oddziału Specjalnego to Sonderabteilung, w skrócie Sonder.

<sup>2</sup> Pierwszego kwietnia 1940 r. nastąpiło uroczyste ogłoszenie zmiany nazwy Łodzi na Litzmannstadt na cześć niemieckiego generała Karla von Litzmanna, który był bohaterem I wojny światowej, dowodził armią niemiecką w czasie tzw. bitwy łódzkiej w 1914 roku, a później członkiem partii nazistowskiej. Herbem miasta stała się podwójna złota swastyka na niebieskim tle.

<sup>3</sup> Hans Biebow (ur. 1902 r., zm. w 1947 r.) – naczelnik niemieckiego Zarządu Getta.

<sup>4</sup> Czwartego marca 1944 r. 750 mieszkańców getta Niemcy wysłali do Częstochowy do pracy w firmie Hasag, a 10 marca 850 osób wywieziono do tej samej firmy w Skarżysku-Kamiennej.

<sup>5</sup> Dwudziestego trzeciego czerwca 1944 roku wyruszyły pierwsze transporty do ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem. Do 14 lipca wywieziono tam blisko 7200 osób.

<sup>6</sup> Według Księgi Rodzaju Bóg po sześciu dniach pracy nad stworzeniem świata uświęcił siódmy dzień tygodnia odpoczynkiem. Na pamiątkę tego wydarzenia siódmego dnia tygodnia, w sobotę, obchodzi się szabat – czas odpoczynku, modlitwy, wewnętrznego spokoju oraz oczekiwania na Mesjasza.

<sup>7</sup> Dwudziestego lipca 1944 r. miała miejsce nieudana próba zamordowania Hitlera.

<sup>8</sup> Dziewiątego sierpnia 1944 r. wyruszyły pierwsze transporty ze stacji Radegast w kierunku Oświęcimia. Swoją drogę kończyły w obozie Auschwitz-Birkenau. Do końca sierpnia wywieziono tam około 70 tysięcy osób. Większość od razu kierowano do komór gazowych, część trafiła do innych obozów.

<sup>9</sup> Dwudziestego ósmego sierpnia 1944 r. do obozu Auschwitz-Birkenau wywieziony został Mordechaj Chaim Rumkowski z rodziną.

<sup>10</sup> Dwudziestego dziewiątego sierpnia 1944 r. ze stacji Radegast wyjechał ostatni transport do obozu zagłady w Auschwitz.